

Wiedźma Opiekunka 1

Gromyko Olga



calibre 0.9.43

OLGA GROMYKO

WIEDŹMA

OPIEKUNKA

CZEŚĆ 1

... Historia miłosna ze szczęśliwym zakończeniem nie ma najmniejszej szansy, by stać się legenda...

Cyniczny minstrel

Rozdział pierwszy Nadzieje pesymistów na to, że wiosna będzie chłodna i długa, rozwiały się już w połowie kwietnia. Ledwo co stopniały ostatnie sople, już zawiąły gorące południowe wiatry, wytapiając z pąków kwiaty, a z ziemi – soczyste, młode trawy. Ptaki nieco zdziwione nieoczekiwanym ciepłem, wily gniazda. Zwierzęta liniały, a ludzie wyciągnęli ze skrzyń buty i kurtki, na wszelki wypadek ni chowając futer i welonek. Ledwo trzy tygodnie wcześniej w dół

rzeki ciągnęły karawany lodowatych kier, a dzisiaj już łąki zamgłiły się żółtymi chmurkami mniszków i przekwitały śliwy. Leśne jeziorko, które nie zdążyło jeszcze porosnąć grzybieniami, otoczone było pędami sitowia i przyprószone kwiatami wierzby. Na powierzchni wody tańczyły słoneczne odbłaski, nad rozgrzanym piaskiem drgało powietrze, ważki z furkotem śmigły w pogoń za muchami. Soczyste i jaskrawe wiosenne liście zielonym płomieniem trzepotały na gałązkach, ptasia orkiestra wykonywała brawurową symfonię, w głębi lasu odzywała się natchniona kukułka. Wszystko było tak piękne i upajające, że od samego tylko patrzenia na górę konspektów, pożółkłych zwojów, podniszczonych grimuarów i cała resztę tego świństwa ciemniało mi w oczach, a w duszy kiełkowała nieprzeparta chęć, by iść i utopić się w jeziorze. -

Bilet 127, punkt trzeci - nieubłaganie kontynuował Len. – Samoistny rozpad zaklęć i jego przyczyny.

- A...E... No, na przykład... - Doskonale, pamiętasz. Idziemy dalej. Z wdzięcznością spojrzałam na wampira. Gdyby nie on, już dawno zwichnęłabym sobie język i zmęczyła gestami ręce, dowodząc, że cenne wiadomości o samoistnym rozpadzie jeszcze nie zarosły kurzem w odmętach mojej pamięci. - Bilet 128, punkt pierwszy. Historia rozwoju magii. - A może to opuścimy? - Na egzaminie też będziesz opuszczać? - Y-y-y – Ja naprawdę wolę napisać siedemnaście reakcji kondensacji energii. No powiedz, co to za różnica, w którym roku Rion Kopylski wynalazł

multipolarną transgresję? - Nie Rion Kopylski, tylko Połowia Biełorska, tak w zasadzie twoja krajanka. - Chodź, powtórzmy te najważniejsze, sprawy a potem wrócimy do historii. - Porzuć nadzieję, tęgogłowa pannico. Nie będzie dla ciebie ani litości, ani dyplomu. - O żeś ty wapierszu jeden! – rzuciłam się na Lena i szcypi kończynami, potoczyliśmy się po plaży. Próba obrony mojego dobrego imienia była skazana na porażkę. Wampir bardzo szybko znalazł się na górze i zadowoleniem przyglądał prawą ręką roztrzepane włosy, lewą bez widocznego wysiłku przyciskając mnie do piasku. - Oj, Len – jęknęłam po chwili, rezygnując z walki o wolność. - Błagaj o litość. - Za nic! - no to sobie leż – wielkodusznie pozwolił wampir. -

Ale Len! Ja powinnam powtarzać! Mam egzamin za trzy dni! Wampir demonstracyjnie ziewnął, nie zabierając ręki. - Powtarzaj. Bilet 128, punkt pierwszy. Historia rozwoju magii. - Nie wiem! –

Rzuciłam się ostatkiem sił, jednak jego ręka wydawała się zrobiona ze stali i nawet nie drgnęła. -

Właśnie! To się bierz do nauki, - Nie zamierzam! I tak mi się nie trafi! - w takim razie bez sensu wysłałem do Szkoły zapytanie o młodego specjalistę? - Zrobiłeś to? -Tak, i już żałuję. Z ciebie to taka magiczka jak z kozła mleczna krowa! - Len, jesteś skarbem! – pisałam z zachwytem. -

Wiem – smętnie zgodził się wampir. – A na dodatek durniem, jakiego ze świecą szukać.

Wydawało mi się, że znam cię na tyle długo i dobrze, żeby nie popełniać takiego błędu. - Pusc mnie już będę grzeczna! - Coś mi się nie bardzo chce wierzyć – westchnął Len, ale się odsunął.

Uskrzydłona wspaniałą perspektywą otworzyłam konspekt, ale długi słupek dat i imion szybko przywrócił mi rozum, więc ponownie się zbuntowałam. - Powiedz mi z łaski swojej, dlaczego powinnam zaśmiecać sobie głowę tymi kretynizmami? Bo jeszcze uznam, że strzygi na cmentarzu czy strzygonie w lesie będą mnie odpytywać o nazwisko wynalazcy lewitacji albo zdechną ze strachu na sam dźwięk daty utworzenia Międzyzrasowego Konwentu Magów! - Nie zaśmiecać, a trenować. Ty się ucz a nie rozprasza. I narzuć koszulę, bo już ci się ramiona spaliły.

-Poważnie? Póki co jeszcze nie czuję. Poczekaj, poleżę jeszcze parę minut, niech opalenizna mocniej złapie. Bo kto wie jakie będzie lato. W zeszłym roku dobrego słońca nie było wcale i łąziłam blada, jak wampir ... Znaczą się upiór.. nawet największy złośliwiec nie zdobyłby się na to, by nazwać Lena bladym. Opalenizna rozlewała się na jego skórze równiej niż warstwa melasy, a na dodatek wampir nie musiał godzinami wystawiać się na działanie słońca czy nacierać specjalnymi maściami. - No to zaczynamy. Będę podawał datę, a ty mi ją dokładnie omówisz –

zapropozował Len. Nie wypuszczając z rąk książki, przekręcił się na plecy i słodko przeciągnął, co sprawiło, że jego skrzydła zaszeleściły po piaski. – 147 rok przed naszą erą. -Mhym... Teoria urzeczowienia życzeń? -Tak. Podglądasz. Zamknij konspekt. O, żeby go leszy wziął! Nie odmówiłabym, gdyby leszy wziął nie tylko konspekt, ale też zwoje, grimuary, egzaminy, Szkołę, a przy tej okazji jeszcze Lena. - Kaiel idzie – wyjaśnił wampir, zrywając się na nogi i śpiesznie otrząsając piasek z piersi i spodni. – Nie było mnie tu! Nie było i nie będzie. - Dobrze –

burknęłam, po cichu ciesząc się z nieoczekiwanej chwili oddechu. Chociaż oddechu dosyć wątpliwego.

Kaiel był naszym wspólnym bólem głowy. Po pierwsze, uważał Lena za coś w rodzaju chodzącego notatnika oraz konsultanta w sprawach „wagi życiowej” sunąc śladem władcy jak pies myśliwski za lisem. Po drugie, był święcie przekonany, że umiera na straszliwą chorobę, tylko nijak nie potrafi określić jaką. Kella go rozczarowała (porywcza zielarka rozłościła się jękami „zawodowego chorego” do tego stopnia, że do reszty wyszła z siebie. Wyrzuciła symulantowi wszystko, co o nim myśli, czym śmiertelnie obraziła cierpiącego), więc Kaiel przerzucił się na mnie. Całe wakacje i praktykę przeddyplomową spędziłam w Dogewie, zbierając materiał na temat właściwości unikalnego zjawiska przyrodniczo- magicznego zwanego „efektem brudnopisu”, przy okazji trenując praktyki lecznicze na cierpiących wolontariuszach (Len i Kella wiedzieli o tym doskonale, ale zielarka chętnie powierzała mi nieskomplikowane operacje – typu zaklęcia opryszczeni - i z jeszcze większą radością zwałała na moje barki Kaiela). Ten dość młody wampir (miał ze stu osiemdziesiąt, dwieście lat) wyglądał na całe trzydzieści i moim oraz Kelli wspólnym zdaniem, był zdrowy jak ryba. Niemniej jednak sumiennie badałam go na każde zawołanie, uczciwie próbując odnaleźć w

krzepkim i utuczonym ciele złowieszcze oznaki nadciągającej śmierci. Dur brzuszny, gruźlica atak serca, tężec i gangrena znikwały w okamgnieniu, wystarczyło tylko, żebym przekonała Kaiela, że ich objawy są zupełnie inne. Wierzył, ale jedynie przez moment. Mijały dwa-trzy dni i już znajdował u siebie nowe symptomy i z jękami leciał do mnie, święcie przekonany, że tylko ja jedna mogę uratować go przed nieuchronną zagładą. Len miał jeszcze gorzej. Jediną oficjalnie potwierdzoną chorobą Kaiela była skleroza. O dziwo, tę konkretną diagnozę wampir symulant ignorował całkowicie i z oburzeniem odmawiał

przyjmowania przygotowanych przez Kellę eliksirów na polepszenie pamięci. Moje pierwsze zetknięcie z Kaielem miało miejsce jesienią dwa lata wcześniej, kiedy to Len, z daleka wyczuł

kolejnego petenta, zbliżającego się do Domu Narad, po czym zerwał się z fotela i zupełnie mając za nic władczą godność, wyskoczył przez otwarte okno. - Mam już tego typa po dziurki w nosie i głębiej – narzekał potem. – Nie może dnia przeżyć bez władcy nie może. Wczoraj też był...biedny i cierpiący. Chomąto mu znikło. A dokładniej to sobie chłopina popił wieczorkiem i nie pamięta, gdzie wypręgał konia. A ja mam dłużyć w jego podświadomości i przekopywać się przez brudne gacie. Łazi do mnie z kompletnymi bzdurami, zamiast lepiej poszukać... – dodał z rozdrażnieniem. -No i co znalazł to chomąto? -Ano znalazł. Wpakował je pod piec. -No dobra, takie miejsce mnie osobiście by do głowy nie przyszło i nie przejmuj się tak, trzeba mieć lżejsze podejście do życia, bo zanim skończysz dwie setki, zamienisz się w prawdziwą strzygę, paskudną, wściekłą, przynudzającą i wredną. Skoro już ten facet ...znaczy się wampir... zebrał się na odwagę i przyszedł do ciebie, pewnie to chomąto jest dla niego jak rodzone dziecię. Może to był

prezent od teściowej z okazji ślubu? Ulituj się nad biedakiem, niechaj znajdzie to swoje chomąto i się ucieszy! - A on następnym razem pójdzie o krok dalej i wyśle mnie na poszukiwanie topora –

Len zdenerwował się jeszcze bardziej. - Może jednak będzie się krępował? - Niedoczekanie! Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko, że naprawdę nie miałam pojęcia kogo bronię!

Topór, portki, dziwne dźwięki na strychu, nocne strachy starszej córki, koso patrzący sąsiad, fakt, że nie wzeszły nasiona ogórków zebranych przed dwoma laty, występujący we śnie grób, wiadro, które utonęło (albo wypłynęło) w studni, krakanie wrony pod oknem, bulgotanie w lewym podżebrzu – i to wszystko to musieliśmy z Lenem zbadać, wyjaśnić, doradzić i tak dalej i tym podobne. Nic dziwnego, że władca uciekał przed gorliwym poddanym jak przed dżumą.

wDogewie schowanie się przed Kaielem, zresztą jak i przed dowolnym innym wampirem było niemożliwe. Wyczuwały mnie na odległość wiorstwy, jak ścierwik zdechłą krowę. Ale o ile Len czy Kella, zauważali go zawczasu i mogli (co też robili) dać nura w krzaki i się przycziąć, to mnie pozostawało tylko zgrzytanie zębami w uprzejmie wyduszonym powitaniu. Dzień dobry, Kaielu

– rzuciłam możliwie najbardziej niedbale, udając, że jestem całkowicie pochłonięta nauką.

-Może dla kogo i dobry, a może dla kogo i ostatni – skomentował Kaiel smętnie, jota w jotę trzymając się swojego zwykłego scenariusza, i stanął obok mnie, zasłaniając słońce – Nie widziałas przypadkiem władcy? - Nie, nie było go tu i nie będzie – odpowiedziałam przewracając stronę.

Smutne doświadczenie podpowiadało, że tak łatwo się Kaiela nie pozbędę. I miało rację. Nie odchodził tylko sapał głośno na moim ramieniu. W żadnym wypadku nie należało zadawać mu jakichkolwiek pytań, tym bardziej o zdrowie. W przeciwnym razie już nie było możliwości uniknąć szczegółowego opisu wypełnionego cierpieniami dnia i dokładnie takiej samej nocy. -

Coś się jakoś niewyraźnie czuję- zaczął Kaiel, nie doczekawszy się zainteresowania z mojej strony.

Wcale się nie zdziwiłam. To było jego dyżurne zdanie. Cała skuliłam się w oczekiwaniu nieuniknionego i milczałam, jak krasnolud na przesłuchaniu. Ile krwi mi napsuł ten „umierający” wampir - nie da się wyrazić słowami. - W głowie mi się kręci... Serce głośniej bije. I w oczach ciemnieje ... - kontynuował wyraźnie nabierając wiatru w żagle i dochodząc dokładnie do tego samego co zawsze logicznego wniosku: - To chyba śmierć moja przyszła. - Moim zdaniem, ona od zeszłego lata nigdzie nie oschodziła. - I jak ci nie wstyd żartować z takich rzeczy! – Oburzył

się Kaiel. – Wy ludzie, to nie macie serca ani litości. Nie ma w was współczucia dla bliźniego.

Umrę na twoich oczach, a ty nawet nie zapłaczesz. - Nie zapłaczę – potwierdziłam. - Kaielu, pan mnie przeżyje. No co panu znowu do głowy strzeliło? Od jak dawna się panu w głowie kręci?

Kwadrans? - Cztery kwadransy – dumnie poprawił mnie wampir. – Z rana się normalnie czułem, przed obiadem też, a jak skończyłem sadzić ziemniaki, i się wyprostowałem, to mi od razu w oczach ciemnieć zaczęło... Prawie że jęknęłam ze złości. - Kaielu, po prostu się pan przegrzał się na słońcu. Proszę chwilę posiedzieć w cieniu, wypić szklankę wody, i ta pańska śmierć odejdzie z niczym. - Gorącej czy zimnej? – skrupulatnie dopytał wampir. - Ciepłej, przegotowanej! -A to na pewno pomoże? - Na pewno, na pewno, tylko niech pan już stąd idzie, i nie stoi na słońcu, bo będzie panu gorzej. Jedynie bezpośrednie zagrożenie zdrowia mogło przegnać Kaiela z plaży.

Nieco pojaśniała na twarzy i oddalił się rześkim krokiem całkiem zdrowego wampira. Len wygrzebał się z krzaków i wznowiliśmy katorżnicze prace w granitowych kopalniach nauki.

Koniec końców nie udało mi się nauczyć, czytaj: logicznie poukładać w pamięci historii rozwoju magii – wykułam ją na blachę jak ten szpak, nie wnikając w sens słów. Len z ubolewaniem przekonał się, że nic więcej ze mnie nie wykrzesze, i ogłosił krótką przerwę. Moje ramiona spaliły się do reszty i zdaniem Lena, zaczęłam przypominać gotowanego raka. I mimo, że ciepły piasek wabił i kusił, musiałam narzucić koszulę i przenieść się w cień pod wierzby. Marcowy huragan powalił jedno z drzew, wyrwawszy je z korzeniami, i teraz powoli, w cierpieniach konało na ziemi, wypuściwszy ledwo co rozwinięte listki. - Len, chodź mi pomóż, co? Wydawać by się mogło, że wampir drzemał, wyciągnięty w niewielkim cieniu, ale chętnie podniósł się i podszedł

do drzewa. Jeszcze raz pomyślałam, że obcowanie z telepatą ma swoje zalety – nie zadając pytań Len jednym pociągnięciem podniósł wierzbę i ustawił odziomkiem w jamie. - Nieco bardziej na lewo... teraz do mnie ... dobrze, tak trzymaj. – Na czworakach zaczęłam entuzjastycznie wyrównywać i udeptywać ziemię dookoła pnia. Prace leśne zbliżały się ku końcowi, gdy w krzakach ponownie zaszeleściło i wynurzyła się z nich Kella z bukietem młodych pokrzyw. Przed ich leczniczymi oparzeniami chroniły zielarkę grube rękawice z płótna.

Na widok Lena, wampirzyca zachłysnęła się z oburzenia. - Władco! Co ty tutaj robisz?! -

Trzymam drzewo – uprzejmie, choć mało zrozumiale wyjaśnił Len, wyraźnie próbując nie patrzeć w oczy zielarki, z których strzelały błyskawice

- Po całej Dogewie cię szukają! - Po co? - I mnie jeszcze pytasz?! Za pół godziny przybywa poselstwo z Arlissu! - Kella, wczoraj wyraźnie dałem do zrozumienia, że nie chcę i nie zamierzam go podejmować. Sami się bawcie. - „Nie chcę” i „nie będę” to dwie różne rzeczy.

Zabieraj się natychmiast idziemy do Domu Narad! - Kella, a mogę wiedzieć, z kim rozmawiasz?

– przemiłym tonem zapytał władca. Zielarka nieco spuściła tonu: - Władco, masz obowiązek być tam obecny. - Nic z tych rzeczy. - Będzie skandal! - Będzie – pobojeńnie zgodził się Len. -

Władco! - Zielarko? - Błagam, przyjmij ich. - Nie. - Len! - Nie. - Twój niezrozumiały upór uderza mnie w samo serce! - Gdybyś miała serce, to byś mnie rozumiała. Kella jakoś dziwnie zamilkła po czym rzuciła w moją stronę spojrzenie z ukosa. - Len, czy ja cię czasem od czegoś nie odrywam? – spytałam nieśmiało, wyczuwając pismo nosem. – To idź sama powtórzę, już mi niewiele zostało. - Wcale mnie nie odrywasz. Idź, Kella. Nie ma sensu przedłużanie tej bezmyślnej rozmowy. Na pobladłej twarzy Zielarki wyraźnie malowała się chęć potraktowania Lena pokrzywą. - Ty, parszywy smarkaczu! – uniosła się, zapomniała o konwenansach. – Już mam powyżej uszu twoich głupich wybryków. I bez tego załatwiłeś sobie, a Dogewie przy okazji taką renome, że gorzej się nie da. Władać jest łatwo, chociaż raz posłuchaj i chociaż raz zapomnij i swojej dumie, ty napuszony dzieciaku!

Kella nagle uświadomiła sobie na kogo podniosła głos i na jej twarzy pojawiły się ceglaste rumieńce. W rozszerzonych źrenicach ukazał się strach. -Aek’vill kress – ze złością wycedził

władca, przerywając wyteżoną, przeraźliwą ciszę. – K’ere-ell. Kie-Lanna. Zabrzmiało to jak policzek. Zielarka zachwiała się, po czym upuściła pokrzywę pod nogi Lena, Kella zakryła twarz rękoma i potykając się jak postrzelona sarna rzuciła się do ucieczki, nie patrząc przed siebie. -

Len... - zaczęłam ostrożnie. - Bądź cicho, dobrze? - A może...

- Wiem. Przesadziłem. Ona również - Wampir cofnął się o krok i otaksował wykopane drzewo krytycznym spojrzeniem – I już wystarczy na ten temat, chodź się przygotować do egzaminu.

Wzruszywszy ramionami, zebrałam z ziemi konspekty, ale proces nauczania napotkał trudności i po chwili zakończył się całkowicie. Len zauważalnie stracił zainteresowanie magią praktyczną, zrobił się roztargniony i prawie nie słuchał moich odpowiedzi. Bardzo szybko znudziło mi się brzmienie własnego głosu i obojętne potakiwanie wampira. Z trzaskiem zamknęłam konspekt i tym sposobem wyrwałam Lena ze stanu melancholii po czym ogłosiłam, że już wystarczy, a tak w ogóle to ja chcę jeść, a Kryna obiecała, że upiecze na kolację pasztet. Czy władca uczyni nam ten zaszczyt i przyłączy się do posiłku? Nie, nie uczyni – po części z powodu braku czasu, po części z niechęci do podrobów. Może zajrzy później, bliżej nocy ...I czy nie zabrałabym ze sobą jego spodni? W wilczym pysku mogą nieco stracić na wyglądzie. Zapewniłam Lena, że posiadanie spodniami władcy sprawi mi

ogromną, z niczym nie porównaną radość. Tym razem mój sarkazm okazał się chybiony. Władca syknął „Odwróć się!”, a gdy pozwolił mi się obejrzeć, schludnie złożone spodnie leżały na piasku. Obok otrząsał się biały wilk, doprowadzając do porządku kosmate futro. I tak się rozstaliśmy. Wilk zniknął w lesie, węsząc po śladach Kelli, a ja, przerzuciwszy spodnie przez ramię, ruszyłam do najbliższego przesmyku przestrzennego –

podczas pracy nad dyplomem gruntownie zbadałam siatkę portów i tyneli „brudnopisu”.

Zupełnie nie zaskoczył mnie fakt, że prawie natychmiast natknęłam się na Kellę, która starannie podlewała łzami krzak jaśminu. Krzak nie wyglądał na specjalnie zachwycony. Trzeba przyznać, że dogewska Zielarka miała wprost fenomenalny talent do pojawiania się przed nosem ludzi szukających samotności i znikania akurat w chwili, gdy ktoś pilnie potrzebował jej pomocy.

Podeszłam do płaczącej dziewczyny i usiadłam obok. Mówiąc prawdę „dziewczyna” była tak dziesięć starsza ode mnie, choć wyglądała na równolatkę. Z tego powodu Kella często zadzierała nosa, pobłażliwie wołając na mnie „mała”. Czy to moja wina, że wampiry żyją pięć razy dłużej?

Nawet gdybym nie wiem jak chciała, to mało prawdopodobne wydawało się, bym dożyła czasów, kiedy różnica wieku przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. W związku z czym dawno już machnęłam ręką na etykietę i zwracałam do Kelli per „ty”. Nie żeby jej się to szczególnie podobało, ale nigdy otwarcie nie wyraziła dezaprobaty.

-Hej – leciutko dotknęłam jej łokcia. – Co się takiego stało? Zamiast odpowiedzieć wampirzyca gwałtownie wtuliła się w moje ramię, obejmując rękoma za szyję. Z roztargnieniem pogłaskałam ją po wstrząsanych łkaniem plecach. Nigdy nie umiałam i nie lubiłam nikogo pocieszać. - No nie przejmuj się tak... Pokłóciłaś się z władcą, no i co z tego ... Przecież po dziesięć razy na dzień koty drzecie... - On ...on mnie...rajfurką nazwał! – gorzko chlipnęła Kella w moją na wskroś przemoczoną koszulę na ramieniu

-Za co ? Ale wampirzyca zaniósł się nową serią łkań, wyraźnie nie życząc sobie odpowiadać na moje pytanie, w związku z czym śpiesznie zmieniłam temat:

-A co to był za język, w którym rozmawialiście? - Alladar – odburknęła niewyraźnie. – To nasz starożytny i rodzony język... - Nie mów? A mnie się wydawało, że wampiry mówią w ogólnym.

Całą sobą wyobrażałam głębokie zainteresowanie. To zadziałało. Zielarka oderwała się od mojego ramienia, wyciągnęła z kieszeni chustkę i głośno wyczyściła nos. - W alladarze porozumiewamy się sobą, a i to nie zawsze. Ten ogólny jest jak pożar leśny: łapie jedną rasę za drugą. Za dwa - trzy stulecia nikt nawet nie będzie się domyślał, że istnieją jakieś tam inne języki. Po co się przez siedem lat uczyć się alladara, jeśli po pół roku można spokojnie gadać w ogólnym? Podrapałam się w czubek głowy. Wszystkie rasy rozumne, oczywiście z wyjątkiem ludzki, znajdowały w języku ogólnym jakieś wady. Krasnoludom nie podobał się nadmiar samogłosek. Elfom – toporne brzmienie. Trolli nie zadowalał zbyt mały zasób słów niecenzuralnych, a teraz jeszcze wampiry cierpią z powodu nierównowartościowego zastępstwa. Moim zdaniem ich narzecza nadawały się wyłącznie do zaklęć - tak samo skomplikowane i wyłamujące język. Ale nie zdążyłam podzielić się z Kella moim niepoehlebny dla wampirzycy wnioskiem – na polanę wyskoczył biały wilk.

Na mój widok cofnął się zaskoczony, ale potem kichnął z pretensją pokręcił pyskiem w lewo, w prawo, po czym transformował. Wykonawszy kilka zamachów skrzydłami, żeby rozruszać mięśnie postąpił krok w naszym kierunku.

Dwa smętne spojrzenia z dołu do góry nieco zachwiały jego zdecydowanie. Wampir przestąpił z nogi na nogę, po czym zakasłał skrepowany

- Wolho, twój pasztet nie może się już ciebie doczekać - przypomniał. Włożyłam w sceptyczne prychnięcie cały swój stosunek do jego talentów dyplomatycznych. - Zgadzam się, to idiotyczna wymówka. Ale idź sobie. Musimy poważnie porozmawiać. Spojrzałam na Kellę. - Idź –

potaknęła. – Poradzimy sobie. - Ale jeśli się pozabijacie, to czy mogę zabrać czaszki do muzeum?

- zapytałam z nadzieją – No dobra, dobra wszystko rozumiem! Już mnie nie ma!

-Tylko oddaj spodnie! - przypomniał sobie Len. Mściwie rzuciła w niego zmiętym elementem garderoby. Niestety próba podsłuchiwania wampirów mijała się z celem. Po pierwsze, Len i tak natychmiast by mnie przyłapał. Po drugie, od razu przeszli na swój gardłowy język. W związku z czym naprawdę sobie poszłam.

Żeby dopełnić mojego pecha, obiecany przez Krynę pasztet pozostał tylko teorią. W ogóle od momentu, gdy w jej domu zamieszkał pewien – muszę przyznać że wcale sympatyczny i przyjemny w obyciu - wampir męskiej płci o imieniu Oroen, moja gospodyni zaczęła spędzać w kuchni oburzająco mało czasu na całe dni znikając gdzieś ze swoim wybrańcem. Można było myśleć, że żywią się powietrzem. Przez ostatni miesiąc łąziłam wściekła i głodna, dożywiając się u swoich pacjentów, i od czasu do czasu na bankietach u Lena. Nie, żeby władca rzadko mnie zapraszał, ale po prostu nie cierpiał oficjalnych przyjęć i uciekał z nich pod każdym możliwym pretekstem. Więc głodowaliśmy razem.

No więc zamiast ciepłutkiego, pachnącego pasztetu z chrupiącą skórką, czekał na mnie garnek z zimnymi gotowanymi ziemniaki, garniec kwaśnego mleka i pajda czerstwego chleba. Z ciężkim westchnieniem zaczerpnęłam łyżkę mleka, potrzymałam koło ust i z grymasem cierpiętnicy wylałam z powrotem do garnka. Wcześniej Kryna przynajmniej kupowała przynajmniej mięso dla wilka. Ale zwierzę zniknęło tuż przed wiosną pod moją nieobecność. Pewnie zdechło z głodu, pomyślałam chmurnie, rzucając łyżkę. Przez okno widziałam narożnik Domu Narad i przestępujące z nogi na nogę gniade konie w niebiesko-złoty czaparakach. Delegacja z Arlissu właśnie wkraczała do budynku po zakończonym ceremonii powitalnej. Jako ostatni weszli dogewscy Starsi. Przełknęłam ślinę, wyobrażając sobie długi stół nakryty białym obrusem i zastawiony wyszukаныmi daniami. Oczywiście, wystarczyło bym poskarżyła się Lenowi na moją wegetariańską dietę, żeby znalazł mi bardziej gościnną gospodynię. Ale nie chciałam obrażać Krynie przykrości, i co tu dużo mówić planowałam przynajmniej odrobinę schudnąć przed balem absolwentów. Jeden z koni zarżał i moja uwaga ponownie skupiła się na Domu Narad. W polu widzenia

pojawił się Len i Kella - oboje w pełnych regaliach, on ubrany na biało, ona na czarno. Dłoń zielarki leżała na uprzejmie podstawionym łokciu władcy. Gołąbki wyraźnie ignorowały się nawzajem po zawarciu czasowego rozejmu na obupólnie korzystnych warunkach. Len puścił

Kelly przodem, wszedł za nią i zamknął drzwi. Koń ponownie zarżał, odganiając pyskiem natrętnego owada. Sporych rozmiarów ogier pod siodło. Lecz zupełnie inny od hodowanych w Dogewie. Tutejsze konie były nieco masywniejsze, z gęstszymi, ale krótszymi szczotkami grzyw i długimi falującymi ogonami. Wampiry nazywają je "k'iardy" i twierdziły, że lepszych wierzchowców na tym świecie nie ma. No to w Arlissie chyba były... Odwróciłam się od okna.

Wygląd kwaśnego mleka i konspektów napełnił moją duszę niewysłowioną rozpaczą.

Rozdział drugi Koniec końców przed odjazdem nie miałam okazji by zobaczyć się z Lenem. Z

jakiegoś powodu uznałam to za zły znak. I to nie przez egzamin. W okolicach dziesiątego roku nauki człowiek zaczyna rozumieć, że wiedza absolutna nie istnieje, za względną nie postawią mniej niż trzy, a wszystkie braki można łątać na bieżąco, używając kombinatoryki stosowanej.

Poza tym miałam wrażenie, że wszystkie oceny są porozdzielane zawczasu, podpisane dyplomy od dawna leżą na biurku mistrza, a egzaminy końcowe są Szkole potrzebne wyłącznie dla papierologii – bo chyba nie ma wątpliwości, że w ciągu tych dziesięciu lat nasi wykładowcy dawno doszli, kto i do czego jest zdolny? Oczywiście nikt nie miał ochoty wyjść na kompletnego kretyna, ale nie było też powodów do nadmiernych zmartwień.

Bez szczególnego pośpiechu, ale i bez ociągania zapakowałam do sakw moje podręczniki, konspekty, zwoje kartki i skrawki papieru z notatkami, przebrałam się w strój podróży, nie dziękując, pożegnałam Krynę i Kellę, który przyszły życzyć mi połamania nóg, i wyjechałam z Dogewy. Len nawet nie wyszedł na ganek Domu Narad. Im dalej odjeżdżałam, tym bardziej miałam ochotę zawrócić konia i pędem ruszyć z powrotem. Gdzieś wewnątrz mnie narastało przeczucie, że zostawiam przyjaciela w tarapatkach. Ale potrafiłam całkiem dobrze wyobrazić sobie twarz Lena, gdybym cofnęła się po przejechaniu połowy drogi, by przekonać się, że u niego wszystko w porządku. Przecież dogewskie wampiry prędzej wszystkie jak jeden mąż padną trupem, niż pozwolą, żeby na ich drogocennego władcę spadło piórko! Gdy tylko Dogewa zniknęła z pola widzenia, moje obawy zelżały, jednak nie zniknęły do końca. Ale i tak miałam nad czym myśleć – nadchodzący egzamin wypchnął z głowy wszystko inne. Tradycyjnie jako pierwsze zaliczały Pytie. W przypadku, gdy musiały męczyć się oczekiwaniem do ostatniego dnia, cały czas korciło je, żeby niby w ramach „powtórzenia materiału” przepowiedzieć idącym na stracenie kolegom jakieś świństwo. Następnego dnia egzaminatorzy męczyli magów praktyków, na ostatku tych najbardziej cierpliwych – zielarzy. Liczyłam, że wrócę do Starminu wieczorem tuż przed egzaminami, ale niespodziewanie burza popsuła mi wszystkie plany, i musiałam przeczekać w karczmie przy drodze. Tak, więc do Szkoły w sam środek zamętu –

umęczeni bezsennymi nocami tegoroczni absolwenci, bez celu snuli się po korytarzach w tę i z powrotem, z nosami w konspektach, mrużąc po cichu fragmenty zaklęć. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Na pierwszym piętrze wprost z sufitu padał śnieg, na drugim laboranci z wydziału wiedzy nienaturalnej biegali z siatkami za pięciopalczystym szczurołakiem, nad głową co rusz przelatywał mi jakiś piorun raz zderzyłam cofnąć nogę znad wykreślonego na podłodze pentagramu, który natychmiast wybuchł wysokim na cztery łokcie słupem ognia, pozostawiając po sobie czarny, dymiący kontur. Dwójka zasapanych doktorantów niosła do sali egzaminacyjnej długi stół pokryty aksamitnym obrusem. Stół sprytnie wyginał się na zakrętach, a obrus ze wstrętem podciągał rogi,

unikając krążących w powietrzu pulsarów.

W skrzydle sypialnym było nieco ciszej. Zapomniany przez wszystkich zombi, który metodycznie i smutno oskubywał liście z niegdyś całkiem rozłożystego figowca, na mój widok spieszenie schował się za donicę.

- Witaj mi śliczna panno! – Welka oderwała się od podniszczonego foliału "Ziel miłosne i antymiłosne" – Aleś piękna!

- No co, przesadziłam trochę - przyznałam - Nie masz przypadkiem jakiegoś balsamu nawilżającego? Ramiona mnie palą żywym ogniem. Oprócz korzystnego działania słońca, na skutek, którego na mojej skórze wykwitły piekące karmazynowe plamy, pobyt nad jeziorem zafundował mi co najmniej setkę swędzących bąbli po ugryzieniach komarów. Po chwili grzebania w naściennej szafie Welka wybrała wielką pękatą butelkę zamkniętą winnym korkiem, otworzyła ją po czym skrzywiła się. Sądząc z wyrazu jej twarzy, zielarka w mękach próbowała przypomnieć sobie co zostało wlane do środka i czy przypadkiem nie straci przyjaciółki. Po chwili namysłu zdecydowała się zaryzykować, oddała mi butelkę i wróciła do notatek. - Jak tam wiedza? - spytałam, próbując obejrzeć zawartość butelki pod światło. Nie widziałam dokładnie, ale chyba pływało tam coś na kształt zdechłego szczura, w niewiadomy sposób wepchnięty przez wąziutką szyjkę. - Mam sieczkę w głowie - ucziwie przyznała się Zielarka, przekładając stronę. Z konspektu na łóżko wyslizgnęła się suszona gałązka uczeputu. - Mam wrażenie, jakbym po raz pierwszy w życiu widziała własne konspekt. A ty? - Nawet nie pytaj – wytrząsnęłam odrobinę balsamu na dłoń. Okazał się gęsty i przezroczysty, lekko szarawy, wewnątrz zatopione były jakieś małe płatki. O dziwo swędzenie natychmiast ustało, a po ramionach rozlało się przyjemne zimno.

- Szczęściara. Ty masz egzamin za pół godziny, a ja dopiero jutro – pozazdrościła mi Welka.

Osobiście uważałam takie szczęście za nieco wątpliwe. Ledwie zdążyłam wetrzeć w ramiona ostatnią porcję balsamu, w pokoju, lekceważąc jakiegokolwiek konwenanse, zmaterializował się Wążek, Temar i Enka. Ten ostatni trzymał pod pachą obzartego Mruczka. Ciepłutka posadka szkolnego talizmanu i naturalna zachłanność obliżowały do zżerania wszystkich poczęstunków przynoszonych przez adeptów przed egzaminami, także w tej chwili czarny kocur zwiślał

bezwładnie na trzymającej go ręce i tylko od czasu do czasu ruszał ogonem, żeby nikt przypadkiem nie wywalił go na śmietnik. A cała reszta wyglądała na tak strasznie przejętych, jakby zabili kogoś i zamierzali powierzyć mi ciało na przechowanie.

No w końcu! - Zjawiała się!

Ty ruda, gdzie cię nosiło?! - Nie jestem ruda! - odgryzłam się odruchowo. Jak na złość z wiekiem moje jasnokasztanowe włosy coraz bardziej połyskiwały miedzią. – Ja jestem zło-cis-ta! - Oj - ij -

aj! - przedrzeźnił mnie Temar – Powiedz mi lepiej, czyś gotowa do czynów heroicznych i wielkich? Czy bezcenne okruchy doskonałej wiedzy uwiecznione zostały dla potomnych, czyś gotowa obdarować nimi potrzebujących, czy zaślepiona pychą odmówisz wyciągnięcia pomocnej ręki do głodnych i kalekich?

-Czy chodzi ci i „jak mi idą przygotowania do egzaminu, czy napisałam ściągę i czy ci będę podpowiadać, kiedy zaczniesz tonąć”? - Jasnowidząca... - z szacunkiem westchnął Temar - No podpowiem, co mi innego zostało? Jeżeli uda mi się samej cokolwiek przypomnieć... - I kto to mówi! – jednym głosem jęknęli koledzy w nieszczęściu. – To zbieraj się piękna panno, do boju z wrednymi staruchami! - Połamania nóg – życzyła nam Welka - Nie dziękuję – odezwałam się zwyczajowo, zamykając drzwi.

"Wredne staruchy" reprezentowane przez byłego aspiranta, a dziś bakałarza 3-ego stopnia Almita (Magia obiektów), bakałarza 2-ego stopnia Krieniana (Zielarstwo) i bakałarza 4-ego stopnia Rodomira (Magia Żywiołów) przywitały nas bardzo serdecznie, po raz kolejny potwierdzając moje domysły odnośnie do zawczasu podpisanych dyplomów. Egzamin jeszcze się nie zaczął, wszyscy czekali na mistrza (czytaj: Ksana Diejanira Perłowa, bakałarza Magii Praktycznej 1-ego stopnia albo po prostu dyrektora Ksandra). Studenci, których cały tłumek wpuszczony został do auli, najpierw rzucali się do stołu z biletami. Przekreślali je, jęczeli, łapali się za serce, wywracali oczami, próbowali jakoś zaznaczyć najlepiej wyuczone tematy albo przynajmniej zapamiętać, gdzie się znajdują. Bakałarze tylko chichotali w kułak, nie robiąc żadnych uwag.

W końcu stykając grubą jesionową laską do auli wkroczył mistrz. Laski pozostałych członków komisji stały spokojnie za ich fotelami - były niczym innym jak symbolami, takimi samymi jak togi i wysokie kołpaki zakładane przy najbardziej uroczystych okazjach. Ciąganie wszędzie za sobą przeciężkiej, dekorowanej srebrem i klejnotami laski, nawet gdyby miała ona jakąś magiczną moc, nie podjęłyby się najbardziej wytrzymałych mag. Jeżeli praktycy używali jakichkolwiek dodatkowych źródeł mocy, to woleli bransolety, medaliony albo pierścienie. Rozmowy i hałasy natychmiast ucichły, a my z przerażeniem przypomnieliśmy sobie, że znajdujemy się na egzaminie państwowym z magii. Komisja niechętnie zajęła miejsca, gotowa, by wysłuchać i ocenić naszą skromną wiedzę. Mistrz zaczął od odebrania Ważkowi ściągę. Potem zrobił mi uwagę: - Wolha, przestań szczekać zębami! Strach znajdować się z tobą w jednej auli. Posłusznie zacisnęłam szczęki. Zęby przestały dzwonić, za to zaczęły mi drżeć nogi. Mistrz spojrzął na stół z biletami i ściągnął brwi. Wszystkie oznaczenia, zadrapania, zagięte rogi znikły, jak zakładki na tkaninie pod rozżarzoną żelazką. Enka, który i bez tego przypominał kolorem twarzy umarłak, pokrył się plamami, wyglądającymi jak trupie. Westchnęłam uświadamiając sobie, że na drugim bilecie po lewej stronie w trzecim rzędzie już nie ma trzech praw nekromancji, twierdzenia Łupina-Babkina i zadania na dematerializację.

Mistrz z zadowoleniem pogłaskał się po brodzie, i szerokim gestem zaprosił byśmy losowali.

Tak myślałam! Trzynastka! Ja to mam prawdziwe szczęście do tego numeru, w ciągu dziesięciu lat i czterdziestu egzaminów udało mi się wyciągnąć równo tuzin trzynastu biletów! Podałam asystentce rzucający się w oczy numer i nie patrząc już dłużej na biały świstek usiadłam w drugiej ławce w środkowym rzędzie. Wzięłam ze stolika kilka czystych kartek z urzędowymi pieczęciami na rogach, zdjęłam pokrywę z kałamarza, sprawdziłam na paznokciu pióro. A dopiero potem przeczytałam pytania. Hura! Pierwsze znałam doskonale, drugie potrafiłam sobie przypomnieć, a trzecim była ta po trzykroć przekłeta historia rozwoju magii. Oczywiście połowa dat zdążyła wywietrzeć mi z głowy, ale dzięki Lenowi te pierwsze na liście nadal mi stały przed oczyma.

Szybciotko przeniosłam je na papier, żeby nie pogubić, zanim przystąpię do odpowiadania.

Mistrz wstał i przeszedł się między rzędami, bez ceregieli zaglądając pod ławki w poszukiwaniu konspektów. Odebrał Ważkowi kopię ściąg. Chwilę postać nade mną, wpatrując się w chaotyczne bazgroły. Z nawyku zakryłam swoje pismo ręką – ile by mnie mistrz rugał, nie potrafiłam się pozbyć tego machinalnego gestu. Nie lubię, kiedy patrzy mi się przez ramię. Ale tym razem mistrz zmilczał i ruszył dalej. Rozejrzałam się na boki. Enka, sapał, kreśląc na kartce schemat samolatającej miotły. Ważek w natchnieniu przepisywał z kopii kopii ściąg. Patologiczna miłość Ważka do ściągania nie dała się wyjaśnić. Po wyuczeniu konspektu na blachę, przeczytaniu całej masy literatury podstawowej i przejrzeniu kupy dodatkowej nadal nie mógł powstrzymać się przed pokusą zapisywania malutkich skrawków papieru jemu tylko zrozumiałymi piktogramami.

Prawie zawsze wpadał, co zmuszało go do wyciągnięcia drugiego biletu i odpowiadania bez przygotowania. Niezmiennie odpowiadał śpiewająco,

zaskakując tym egzaminatorów. Po półgodzinie czyjeś nerwy nie wytrzymały i potykająca się postać niepewnymi krokami dotarła do katedry, mnąc w spoconych rękach zapisaną z dwóch stron kartkę.. - Bilet 7. T-teoretyczne i pra... praktyczne podstawy telekinezy. – Wander przeczytał pytanie, jękając się i oblizując zaschnięte wargi, po czym skierował pełne przedśmiertelnej męki spojrzenie gdzieś w stronę sufitu.

Mistrz pokrzepiająco skinął w kierunku adepta, przeniósł spojrzenie na salę i z wcale zrozumiałym oburzeniem odnalazł tam tylko porzucone kartki i pióra. Wszyscy zdający natychmiast i zgodnie zanurkowali pod ławki

-C-c-co tu się do licha dzieje?! – gniewnie ryknął Ksander, stukając laską - Natychmiast stamtąd wyłazić! Rodomir, Krienian, tylko na to popatrzcie! Mistrz obejrzał się i drgnął zaskoczony. Nad stołami komisji egzaminacyjnej połyskiwały osierocone gałki magicznych lasek.

Brak zdolności Wandera w dziedzinie magii praktycznej zdążył już przejść do legendy. Cała grupa spisywała od niego prace domowe, ale w przypadku konieczności wykonania natychmiastowych działań przy tablicy adept gubił się, denerwował i mylił najprostsze zaklęcia, stanowiąc niemałe zagrożenie dla otoczenia.

Mistrz z niezadowoleniem pokręcił głową, ale dostrzegłam, jak nieznacznie poruszył końcem laski, tworząc niewidoczny ekran Griundiela - rozpraszacz zaklęć. - Można łyk wody? - żałośnie poprosił adept, docierając do części praktycznej zagadnienia. - Proszę nalać wody do szklanki przy pomocy telekinezy. I niech to będzie pańska odpowiedź. - poradził mistrz, mocniej ściskając laskę w rękach. Wander skinął głową, zmarszczył czoło i zagapił się na karafkę. Woda zawrzała.

Adept skupił się. Wrzenie ustało, szkło pokryło się szronem. Prawie natychmiast karafkę rozerwało na kawałki, na stole została lodowa kopia, a dookoła niej rozbryzgnął się bezdźwięcznie obłok szklanych okruszków. - Wystarczy – pośpiesznie rzucił mistrz - Następne pytanie! Odłamki z brzękiem spadły na podłogę. Niewzruszona asystentka zabrała lodową karafkę i wytarła kałużę, która zdążyła się utworzyć. Egzamin trwał dalej. Szczęśliwie dla nas Wander nie trafił już ani jednego praktycznego pytania i niezmiennie zadowolony z końca koszmaru egzaminacyjnego, w podskokach wybiegł z auli, trzaskając drzwiami. Westchnęliśmy z zazdrością. Zdecydowałam się nie przeciągać oczekiwania na wyrok i zajęłam opustoszałe krzesło przed katedrą. Mistrz przebiegł wzrokiem bilet,

skinął głową i skierowała na mnie wyczekujące spojrzenie spod groźnie zsuniętych brwi. Na pierwszym roku odjęłoby mi mowę, na piątym -

zadrzał głos, na dziesiątym bez chwili wahania odpowiedziałam mu tym samym. Komisja zakrztusiła się źle maskowanymi chichotami. Mistrz z irytacją postukał kostką palca wskazującego w stół, przywołując wszystkich do porządku. Póki odpowiadałam na pytanie, arcymag nie przeszkadzał i wydawało się, że w ogóle mnie nie słucha, tylko wertuje rozłożone na stole papierzyska, kiwając głową raz na czas jakiś, bym nie myślała, że o mnie zapomniał. - No dobrze - powiedział w końcu - Widzę, że teorię lewitacji opanowałaś. Co tam masz na drugie pytanie? Blokadę psychosomatyczną? Bardzo dobrze. Omińmy zasady i charakterystykę, tyle to każdy się na trzecim roku nauczył, przejdź od razu do praktyki. Na mnie. Na nim?! Zmusić arcymaga, by zmarł jak ten trup i to biorąc pod uwagę, że na bank zastosuje przeciwzakłęcie, a może nawet „lustro” odbijające czar na czarującą?

Oblizalam nieoczekiwanie wyschnięte wargi, żywo wyobrażając sobie, jak ktoś wynosi moje oniemiałe ciało z auli razem z krzesłem i ustawia pod figowcem. Komisja, zaciekawiła się i obudziła z lekkiej, uważnej drzemki, w której bakałarze zwykle przeczekiwali egzamin.

Mówiono, że bakałarz Werogor z katedry zielarstwa wprawił się na tyle, by sypiać z otwartymi oczyma, pochrapując potakująco na co dłuższych i bardziej nudnych odpowiedziach.

Najprościej byłoby zastosować dla blokady uniwersalne zakłęcie Mirtona, ale spowodowanie, by przeszło bokiem, również nie należało do zbyt skomplikowanych. Można też spróbować plastycznej formuły z siedmioma zmiennymi, bazowanej na magii żywiołów, lecz to zakłęcie jest najbardziej kapryśne i nieprzewidywalne, a poza tym wymaga doskonałej znajomości przeciwnika. Badawczo pojrzałam na mistrza, próbując odgadnąć, jakie słabe miejsca może mieć jego obrona. Najłatwiejsze wydawało się wyczarowanie sobie wystarczająco ciężkiej maczugi i zajście od tyłu...

Poza tym istnieje jeszcze jedno bardzo dobre i potężne zakłęcie...zbyt potężne nawet dla doświadczonego maga. Plecie się je bardzo długo i dokładnie, ale za to pozwala wkładać moc po kawałku, a nie jednym impulsem do końca. Bardzo wygodna sprawa, szczególnie w sytuacji, gdy ma się czas na odnowienie rezerwy magicznej: plecie się jedną część, odpoczywa, plecie drugą -

aktywuje i używa. Jednak mało prawdopodobne, by komisja chciała czekać dobę, czy pozwoliła mi na przebieżkę do najbliższego źródła mocy. A jeżeli założymy, że mistrz już przygotował

"lustro", które wisi między nami, czekając na odpowiedź? Najprawdopodobniej zostało skonstruowane tak, aby odbić bezpośredni cios i przepuścić niedokończoną zakłęcie. A ono, przechodząc przez "lustro", pociągnie je za sobą i w ten sposób się dostroi.

Ale jeśli "lustra" tam nie ma..., to czeka mnie jesienna poprawka... Połączyłam koniuszki zauważalnie drżących palców w klasyczna kulę, udając, że zdecydowałam się na Mirtona -

ogromna pokusa dla przeciwnika, by jednak ustawić „lustro”. Sama tymczasem, smętnie absolutnie nie wierząc w powodzenie, wypowiedziałam w myśli zupełnie inne słowa i na wszelki wypadek zamknęłam oczy, by nie widzieć swojej porażki.

Zakłęcie poszło, a ja nie poczułam sprzężenia zwrotnego, czyli albo zadziałało, albo jednak nie dostroiło się do konca. Przynajmniej do mnie nie wróciło. Minał pierwszy niekończący się moment oczekiwania. Potem drugi. Zaryzykowałam otworzenie jednego oka. Ofiara patrzyła na mnie tak samo badawczo, lekko wychylona do przodu. Siedzący obok Almit z niedowierzaniem wyciągnął rękę i pomachał nią przed nosem mistrza. Zrobiło mi się nieswojo. Adepci, wykazali się wyczuciem chwili i co sił rzucili się odpisywać. Wążek uroczyście wyciągnął zza ucha malutką kulkę papieru, które natychmiast rozrosła się w jego rękę w ważący pół puda folia!

"Teoria i praktyka pracy z przestrzenią", rozłożył go na kolanach, po czym księga sama z siebie zaczęła poruszać stronami, by w końcu zatrzymać się na rozdziale "Manipulacja rozmiarami".

Bakalarze dla przyzwoitości poczekali trochę, ale nic się nie zmieniło. Chyba tylko hałas w auli narastał - adepci w pośpiechu wymieniali się wiedzą. - Wolho, dodatkowe pytanie - odkaszlnął

Krenian – Jak stoisz ze zdejmowanie blokady psychosomatycznej?

Posłałam bakałarzowi żalodne spojrzenie, zbyt późno przypomniał mi się, rozwianie nałożonego przeze mnie zaklęcia leży wyłącznie w mocy zaklinającego albo ofiary, z czego ja nie miałam już żadnej rezerwy, a mistrz z jakiegoś powodu nie spieszył się skorzystać ze swoich umiejętności.

-Leć do źródła w auli, tylko szybko – pozwolił mi domyślny Almit. Zerwałam się z miejsca, po drodze przewracając krzesło i jak strzała pomknęłam do źródła. Odnowienie rezerwy zajęło mi około kwadransa. Po moim powrocie sala egzaminacyjna przypominała bibliotekę – na wszystkich ławkach w stosikach i pojedynczo leżała literatura pomocnicza, z wiszącej przed Temarem kryształowej kostki dobiegał czyjś nosowy głos dyktujący osiemnaście różnic pomiędzy strzygą a kudłakiem. Komisja miała w tym czasie

ważniejsze zadanie niż pilnowanie adeptów – szanowni bakałarze zebrali się dookoła mistrza i bezskutecznie próbowali dojść co i w jaki sposób robiłam. Na mój widok w pośpiechu zajęli swoje miejsca, pokaszłując w kułak z podszytym szacunkiem skrępowaniem. Po zdjęciu blokady, skuliłam się w kłębuszek w oczekiwaniu na gromy i pioruny, ale mistrz, jak gdyby nigdy nic mruknął coś z zadowoleniem, niedbale nakreślił parę zawijasów w arkuszu egzaminacyjnym i zrobił sobie niewielką przerwę, na parę minut opuszczając salę. Pytanie z teorii rozwoju magii zaliczyłam u Almita, a pozostali bakałarze zgodnie zapadli drzemkę. - No to w którym roku niefortunnie zszedł z tego świata wielce szacowny arcymag Kapucjusz? – ponowił pytanie były aspirant, uśmiechając się do wnętrza swojej brody. Doskonale wiedziałam, że trójkę już wypracowałam a niżej Almit i tak mi nie postawi, jako, że zbyt dobrze pamięta swoje własne cierpienie na egzaminie państwowym, więc zapomniałam o resztkach strachu. W związku z tym nie próbowałam przypomnieć sobie odpowiedzi i bezczelnie strzeliłam: W 341 roku. - A dlaczegoż to z takim smutkiem? – zaniepokoił się bakałarz - A z czego tu się cieszyć... - To fakt. W 341 roku arcymag był martw od prawie dwóch stuleci – w jego głosie słychać było szczere współczucie.

-No bo przecież zszedł niefortunnie... Skąd pan wie ile by jeszcze przeżył? Almit jedynie westchnął, z tęsknotą spoglądając za okno, za którym stary kasztanowiec wypuszczał puchate pąki. N zewnątrz szczebiotały ptaki, jaskrawo świeciło słońce, a historię rozwoju magii Almit sam nie bardzo pamiętał.

Bakalarz z wyraźnym wstrętem powróci do egzaminu: - Wolho, ostatnie pytanie... Spręż się twoje ocena od niego zależy. Zerknęłam na Almita z niedowierzaniem, spodziewając się jakiegoś kruczka.

- Tak więc pytanie... Co mam ci postawić? - Piątkę! – krzyknęłam radośnie. Almit westchnął i podpisał swój protokół. Komplet stanowiły cztery, zgodne z liczbą członków komisji. Oceny, które pozostali mi pozostali bakalarze, stanowiły tajemnicę do początku balu absolwentów.

Jednak nikt nie wątpił, że zdałam.

Rozdział trzeci Przed wieczorem cała szkoła wiedziała, że zaczarowałam mistrza. Istniały trzy wersje: albo on się podłożył, albo udawał, by naciągnąć ocenę ulubionej uczennicy, albo naprawdę miałam dużego farta. Zresztą, precedensy już miały miejsce – dwa lata wcześniej ktoś wyhodował egzaminatorowi rogi, i to tak solidnie, że trzeba je było odpiłować ręcznie. Almit, miłośnik ponurych historyjek z życia wziętych, pamiętał jak za którymś razem zaginęła cała komisja, po czym odnalazła się dopiero po tygodniu, i nie chciała się przyznać, gdzie ją nosiło.

Jednak jeszcze nikomu nie udało się usadzić naszego mistrza.

Kolację opuściłam, jako, że po powrocie do pokoju natychmiast padłam na łóżko i zasnęłam snem bliskim wiecznemu. Welka próbowała mnie dobudzić, lecz z jej słów wynikało, że wskreszenie prawdziwego trupa miało szanse być łatwiejsze – kto jak kto, ale ona się na tym znała. Po szkole natychmiast zaczęły rozpełzać się plotki, jedna mroczniejsza od drugiej. Nikt nie wątpił, że padłam ofiarą zemsty mistrza. Dalej opinie się podzieliły – niektórzy zesłali mnie daleko i na długo inni reagowali bez prawa powrotu, a ci o najbardziej miękkich sercach zamknęli w karczerze z nożem kuchennym i workiem nie obranych ziemniaków. Szczególnie wykazała się jedna z Pytii (jak się później okazało, egzamin oblała wręcz śpiewająco), że niby oko wewnętrzne oko pomogło jej ujrzeć mojego zimnego trupa, w tajemnicy zakopanego pod kasztanowcem. Rano obudziłam się z ciężką, ale i pustą głową, jak gdyby śpiesznie wepchnięta do środka wiedza z czystym sumieniem opuściły niewygodne miejsce zamieszkania natychmiast po egzaminie. Welki w pokoju nie było, że szczeliny pod drzwiami dolatywały na przemian zapachy gotowanych pokrzyw i trupiego jadu, w związku z czym, od razu poczułam głód. Oczywiście, nie wzięłabym do ust ani jednego ani drugiego, lecz taki sam zapach zwykle dochodził z naszej szafy chłodzącej, w której oprócz żywności przechowywałyśmy również zioła Welki i moje prace domowe z nekromancji. Niestety, szafa nie spełniła moich oczekiwań – na oko Welka była na kolejnej diecie, dla której akurat wybrała moment nieobecności mojego zdrowego apetytu, bądź na odwrót, tak usilnie się pokrzepiła, że udało jej się wymieść wszystko do ostatniego okruszka. Cała sytuację jeszcze pogorszył fakt, że w ramach przygotowań do biesiady absolwentów stołówkę zamknięto do wieczora. Nikt, oprócz mnie, nie cierpiał szczególnie z tego powodu, w Szkole panowała nadzwyczajna wręcz cisza: uczniowie młodszych klas wyjechali już na wakacje, a pytie i praktycy od wczoraj świętowali zdane egzaminy. Zielarze tymczasem mieli na głowie inne sprawy, jako, że żaden z nich nie opuścił jeszcze sali egzaminacyjnej.

Zmusiłam mój głodny mózg do pracy i zdecydowałam się zjeść śniadanie w "Wesołym Bysiu".

Dodałam sobie rześkości garścią wody, ubrałam się, zaczarowałam drzwi, narysowałam w dolnym rogu framugi klucz-runę do Welki i pogwizdując, zbiegłam po schodach na pierwsze piętro. Ale tam

czekała na mnie zasadzka. Mistrz wynurzył się zza rogu, tak nieoczekiwanie i bezgłośnie, że ledwie zdołałam powstrzymać się przed odpędzającym biesy egzorcyzmem.

Standardowe "dzień dobry" nie wystarczyło, arcymag z właściwą sobie bezpośredniością złapał

mnie za nadgarstek, nie pozwalając się wyminąć. - Wolho! Jesteś mi potrzebna! Chodź ze mną do gabinetu. Nie pisnąwszy słówka sprzeciwu, pokornie powlokłam się za nim – a raczej za swoją wyciągniętą ręką. Amulet Lena, który chronił mnie przed nieupoważnionym czytaniem myśli, wisiał na mojej szyi, ale dzięki wieloletnim doświadczeniom z telepatią mistrz takowego nie potrzebował. W związku z czym męczyła nas ciekawość: Czego on znowu chce?! Jak jej się to udało?! Jednak, o dziwo, tematem naszej rozmowy nie okazał się wcale egzamin. A przynajmniej nie na początku. Mag zatrzasnął drzwi gabinetu, skinął głową w kierunku jednego z krzeseł, a sam poszedł na drugą stronę biurka, ale nie usiadł. Stał obok, opierając się rękami o wytarty dębowy blat i troskliwym, acz przenikliwym głosem, na którego dźwięk aż mnie zmroziło, zapytał: - Czy już się zastanawiałaś na przeszłością? Wyobraziłam całą sobą głęboki namysł, lecz udało mi się tylko solidnie wykrzywić twarz. - Nie rób z siebie błazna- ofyknał mnie Mistrz, swoim zwyczajem ściągając brwi. – Twoja edukacja się skończyła. Pozostał staż. Gdzie masz zamiar go robić? - Oczywiście, że w Dogewie! – odparłam zdziwiona, zaczynając martwić się już na poważnie. - Nawet o tym nie myśl – uciał.. - A to niby dlaczego? – oburzona zerwałam się z krzesła i złożyłam dłonie po przeciwnej stronie biurka – Chce pan powiedzieć, że nie dostał z Dogewy zapytania o młodego specjalistę? Mistrz zmieszał się zauważalnie, ale nadal patrzył mi prosto w oczy: - Zamówienia złożone przez inne państwa są przez Szkołę rozpatrywane w ostatniej kolejności i tylko przy braku wewnętrznych wakatów. - Ale dla mnie mają najważniejszy priorytet! - nie chciałam się poddać, w zapale waląc pięścią w biurko. - Bo co? Że niby znaleźli się chętni dla moich specyficznych talentów? - Jest wolny etat na dworze. - krótko wyjaśnił mistrz

- Na jakim znowu dworze? - Na królewskim, oczywiście - Mag zabrał ręce ze stołu w obawie, że następny cios trafi w jego dłoń - Dorost przeszedł na emeryturę, król potrzebuje nowego maga. -

No i co z tego? - Poleciałem ciebie. - Po co? – spytałam bez krzty nadziei, myśląc o tym, że jak dotąd rekomendacje mistrza działały wyjątkowo na moją niekorzyść

-Nie zadawaj głupich pytań. Jesteś najlepszą absolwentką, jedyną kobietą na wydziale magii praktycznej... Do tego dość pociągającą – Mistrz zakasłał ze skrępowaniem i natychmiast spoważniał.- Moim zdaniem po prostu idealna kandydatka. - I wcale nie mniej idealna dla Dogewy. Tym bardziej, że w odróżnieniu od króla mój „pociąg” interesuje Lena w ostatniej kolejności. - Jesteś tego taka pewna? - sarkastycznie zapytał mistrz i natychmiast wylał na moją głowę swój słuszny gniew - Durne brednie! Każdej innej babie można nie dać jeść, tylko żeby miała okazję pokazać się na dworze, a ta nosem kręci! No jakie ty masz w Dogewie perspektywy?

Najważniejsze w naszej pracy to stworzyć sobie odpowiednią renomę. Jeśli magiczka, podczas rozmowy kwalifikacyjnej tak sobie niedbale rzuci: "A w czasie moich praktyk na dworze...", pracodawca aż podskoczy z zachwyty. A razem z nim podskoczy honorarium. A teraz wyobraź

sobie, że w twoim zwoju pracy jako pierwsza pozycja występuje Dogewa. To podziękuj, jeśli skończy się kopem w tyłek, bo można i na pal trafić! - A dlaczego w ogóle ja mam szukać pracy, jeśli

w Dogewie czeka na mnie stała posada? Mistrz zapatrzył się na mnie z nie udawanym zdumieniem i przerażeniem: - I ty się zgadzasz spędzić resztę życia w wampirzej melinie? -

Lepsza ich melina niż królewski dwór! - zawrzałam - Plotki, intrygi, tanie sztuczki i stuprocentowo skuteczne trucizny sprzedawane bez recepty zgodnie z jego najwyższą wolą!

Gdzie są przygody, które przejdą do legend, wierni przyjaciele, z których poznanie można być dumnym, czyny, o których nie wstyd można opowiadać dzieciom?! Lepiej żebym już machała mieczem na drodze!

- A pakuj ty się w przygody ile chcesz! – wydarł się mistrz, nieoczekiwanym rzutem odzyskując kontrolę nad biurkiem. Ledwo co zdążyłam odskoczyć do tyłu. – Tylko skończ staż, stwórz sobie tyły, jakieś oparcie w życiu żebyś kiedy będziesz wracać z podbitym okiem, miała dokąd! Żebyś nie została zupełnie z niczym, jak pogonisz na łeb na szyję za zamkiem na lodzie! Popracuj jako dworska magiczka, wyrób sobie imię, a potem baw się w bohaterkę, ile dusza zapragnie! Trzeba przyznać, że w jego słowach było sporo gorzkiej prawdy. Zastawiając Szkołę, miałam przy sobie dyplom, wyprawkę w postaci dwudziestu kładni i konia, którego musiałam jeszcze spłacić

-Konia bez stażu nie dostaniesz - mściwie dorzucił mistrz, dokładnie przewidując tok moich myśli

– Kupiony za uczelniane pieniądze! Lewituj sobie na miotle jak ostatnia wiedźma. - Ale to mój koń! - zaprotestowałam. Nową kobyłę dostałam rok temu zamiast Stokrotki, która zaginęła gdzieś na mokradłach. Myszata Wiewiórka nie miała żadnych szczególnych zalet, ale była lepsza niż nic.

- Koń jest własnością szkoły i dostałaś go do czasowego, zauważ, CZASOWEGO użytku!

Zastanów się co takiego złego jest w dworskim życiu? Szacunek, niewymagająca praca, wysoka płaca, trzypokojowe apartamenty w pobliżu królewskiej sypialni. Skończysz staż i za jakieś dwa lata wykupisz swoją Wiewiórkę, a póki co możesz...

- Dwa lata sypiania w pobliżu?! A co, gdy on nabierze zwyczaju pukania nocą do moich drzwi?

-To nie otwieraj - poradził poważnie Mistrz - Popuka, popuka i sobie pójdzie. - Pójdzie już to widzę! Chyba tylko po strażników i taran! powód do oburzenia jak najbardziej miałam. Trzecim problemem Belorii, po tradycyjnych durniach i drogach, był jej król Naum, który objął tron jakieś siedem lat temu i do tego czasu zdążył zjednać sobie wyjątkowo wręcz niechęć całego narodu belorskiego. Szczęśliwie dla Nauma, naród mu się trafił cierpliwy i pobłażliwy traktujący wszystkie fanaberie monarchy jako zło konieczne. W dowolnym innym królestwie dawno już zostałby otruty a w najlepszym razie z hukiem wyleciał z pałacu. Natychmiast po zajęciu trony Naum rozpoczął swoją karierę zawodową od ataku na sąsiednie państwo – Winessę. Tam ucieszono się z jego osoby jeszcze mniej niż u nas i zgotowano zbrojne powitanie. Król zapłacił

okup w postaci solidnego kawałka granicznych terytoriów, zasmęcił się i podniósł podatki, żeby zrekompensować sobie utratę dochodów z kopalni miedzi (które to kopalnie Winessa otrzymała razem z terytorium). Zwykli ludzie, którym w sumie było wszystko jedno, na kogo harują, porównali minimum życiowe Belorii i Winessy i jako, że ta ostatnia wypadła znacznie lepiej, zebrali swój

nędzny dobytek i zaczęli powoli emigrować. W końcu miejsca w ich nowej ojczyźnie znalazło się teraz pod dostatkiem. Król szybko obniżył podatki, jednak to zaszkodziło jeszcze bardziej - nie mając pojęcia, czego oczekiwać po nieprzewidywalnym monarsze i zwyczajowo spodziewając się najgorszego, chłopci poczęli uciekać do Winessy całymi tłumami. Gospodarka zachwiała się w posiadach ale szczęśliwie dla Nauma, Starmin zalały fale uciekinierów z Atrii, niewielkiego królestwa na północy, na którego tronie zasiadał nie mniej durny władca. Nie zdążyli nawet zadomowić się w nowym miejscu, kiedy Naum, który w tym czasie odzyskał

pewność siebie ponownie podniósł podatki, co spowodowało, że nowo przybyli bez chwili wahania poszli w ślady rodowitych mieszkańców. A poza tym Naum zarządził reformę monetarną (dzięki, której cena belorskiego kładnia spadła dwukrotnie), wymyślił prawo dotyczące kościelnych (z błogosławieństwem archipatrona, głównego belorskiego kapłana, Naum poddany został ogólnej anatemie, którą po trzykroć ogłaszano codziennie we wszystkich świątyniach) i prawie natychmiast zniósł prawo pierwszej nocy poślubnej (z racji katastrofalnego wzrostu zachorowań na choroby weneryczne), wymyślił dodatkowy podatek od konie (na skutek którego biedne stworzenia masowo padały ofiarą epidemii), a oprócz tego popełnił mnóstwo innych, wcale nie mniej sławetnych czynów, które wpędziły wszystkich myślących ludzi Straminu w głęboki smutek. Z wyraźnym naciskiem wyłożyłam mistrzowi swoje uczciwe zdanie o pracodawcy i natychmiast miałam okazję poczuć na sobie wszystkie uroki blokady psychosomatycznej. Nie mogłam poruszyć nawet palcem, a mistrz biegał po gabinecie ze wzburzeniem powiewając brodą i wznosił ręce do sufitu, jak gdyby przywołując Wyższy Rozum do podziwiania mojej głupoty – że niby magiczka nie ma prawa marzyć o niczym innym jak mieszkaniu w pałacu i spełnianiu królewskich

-Gdy dożyjesz moich lat, zrozumiesz, że chciałem dla ciebie tylko dobrze! - A jeśli nie dożyję? –

Deaktywacja zaklęcia zajęła mi tylko kilka chwil, czego mistrz zupełnie się nie spodziewał: zamilkł w pół słowa i z wyrazem zaskoczenia na twarzy odwrócił się w moim kierunku. - Tak szybko poradziłaś sobie z neutralizacją?! Skinęłam zawstydzona. - Ale to... doskonale!

Pochmurnie patrzyłam na mistrza, zupełnie nie podzielając jego zachwytów. Żeby go szlak trafił, ten cały dyplom z wyróżnieniem. Gdybym była zwykłą trójkową studentką, już podążałabym traktem do Dogewy, ale całe grono pedagogiczne płakałby z zachwytu: dzięki bogom, że się jej w końcu pozbyliśmy! Ale nie, nasz kochany monarcha musi mieć towar pierwsza klasa! - Całe dwa lata! - nie mogłam się uspokoić. - Najlepsze lata królowi na zatracenie! - Właśnie dlatego najlepsze, że z wiktem i opierunkiem - z fałszywym optymizmem zapewnił mnie arcymag. - Nie będzie stażu to nie będziesz oficjalnie uważana za magiczkę. Z adnotacją z Dogewy tym bardziej.

- A czy nie można jakoś skrócić tego okresu? Przynajmniej do roku? - Za późno. Szkoła, reprezentowana przez moją osobę, już zawarła z królem kontrakt, który nie może zostać zerwany przez ciebie.

- A przez Szkołę?

W odpowiedzi podał mi kwotę rekompensaty. Gwizdnęłam z szacunkiem. Mało prawdopodobne, żeby udało mi się zebrać taki majątek nawet w ciągu pięciu lat tego typu pracy. Tym bardziej, że o ile słyszałam, uczciwa robota była w pałacu wyjątkowo marnie opłacana, a nie miałam najmniejszych

chęci brać łąpówek w zamian za przymyknięcie oczu na to i owo. - I kiedy zaczynam tę, za przeproszeniem pracę? - Od jutra. - Co?! - zakrzyknęłam z jeszcze większą rozpaczą - A bal absolwentów?! - Przecież bal jest dziś wieczorem - Mistrz ściągnął brwi w wyrazie niezrozumienia. - Dokładnie! A jutro będzie poranek absolwenta! Stary mag z dezaprobatą pokręcił głową: - Co jest dla ciebie ważniejsze: balanga czy pierwsza prawdziwa praca? - Ja na tą balangę czekałam dziesięć lat! Może tylko z tego powodu do tej całej Szkoły przysłam! - Wiesz co głupie dziecko, uciekaj stąd, zanim zamienię cię z powrotem w pierwszoklasistę albo i w coś gorszego - nakazał ze zmęczeniem mistrz - Trzeba było wcześniej myśleć. Opuszczać wykłady, dostawać dwójki. A teraz bądź tak miła i odpowiadaj tytułowi dyplomowanego specjalisty. Ze złością odwróciłam się na pięcie i prawie biegiem ruszyłam do wyjścia. Bo jeszcze nie

wiadomo, kto kogo zmieni! Oj, pośpieszyłam się ze zdjęciem tej całej blokady, stałby sobie teraz mistrz w muzeum w towarzystwie preparatów, pokrywał się kurzem, pierwszy rok by do niego prowadzili na wycieczki... - A przy okazji... Zatrzymałam się w drzwiach, zbyt wściekła, by się oglądać. - Jeśli chodzi o egzamin, postawiłem ci piątkę. Gratulacje. Ostatnie, czego się mogłem spodziewać przy twoim braku szacunku dla łatwych metod i oczywistych rozwiązań! - Mistrz prychnął z aprobatą. - Byłem pewny, że nie użyjesz Mirtona. Nawet sobie „lustra” nie przygotowałem. Jak się okazało nie słuszne. I zanim miałam okazję przemyśleć sobie to stwierdzenie, drzwi zamknęły się, klepiąc mnie w tyłek.

- Z czym? - zapytałam ostrożnie. Smok uśmiechnął się i w mroku zaśniły dwie rozjarzone czerwienią szczeliny. Dobry nastrój na balu absolwentów był nie do odratowania. Nie cieszyło mnie ani jedzenia, ani po raz pierwszy dozwolony alkohol, ani nowa srebrzysto - niebieską jedwabną sukienka, uszytą przez dogewskie krawcowe. Była pożegnalnym prezentem od Lena i wpędziła w dziką zazdrość połowę absolwentek (po raz kolejny udowadniając przy okazji, że złość piękności szkodzi). Natchniona i opowiadająca o prawdach wyższych przemowa mistrza, w której rozpisane zostały uroki czekającej nas drogi zawodowej, nie wywołała we mnie oczekiwanego entuzjazmu. Powstrzymałam się przed oklaskami -jako, że sufit auli i tak groził

zawaleniem - i po cichu wyślizgnęłam się na zewnątrz. Ściągnęłam ze stóp strasznie niewygodne pantofle i przespacerowałam się na bosaka po ciepłej ziemi. Przez chwilęostałam przy ogrodzeniu, podziwiając gwiazdy i uciekającą w nieznane drogę, która w świetle księżyca lśniła lekko. - Sssmutno ci malutka? - usłyszałam za plecami pełne współczucia sykniecie. Nade mną zwisała czarna góra z połyskującymi węzowymi oczyma. Smok poruszył koniuszkiem ogona, podcinając mi kolana. Ze śmiechem opadłam na śliskie łuski i złapałam się przechylonego na bok grzebienia. - Smutno?! Ja tu wrę ze słusznego gniewu! Patrz, żeby ci się ogon nie stopił! Odporny na temperaturę smok tylko prychnął, zanurzając swój łeb w pobliżu mojej głowy. Wyciągnęłam rękę i podrapałam miękki skomplikowany wzorek ze srebrnych łusek na jego brodzie. Lewark z zadowoleniem zmrużył oczy. - Daj sspokój malutka, wszystko będzie dobrze... Co to są dwa lata? Drobiazzzg, szczególnie dla wampirów i magów. Wróciysz do ssswojej Dogewy, on na ciebie poczeka... - Gdyby to wszystko było takie proste! - Westchnęłam bez najmniejszego skrepowania używając smoczego ogona w charakterze kozetki. - Wtedy w Dogewie coś we mnie pękło, Lewark. W zimie siedzi sobie człowiek w pokoju i myśli, że tutaj to przy kominku miło i że przytulnie się powylegiwać pod kołdrą, pogadać z przyjaciółkami, pospacerować po targu, kupić coś smacznego... Ale latem to się chce uciec z domu, gdzie nogi poniosą: przejść parędziesiąt wiorst pustynną drogą, posiedzieć przy brzegu

jeziora, posłuchać szumu fal, zdrzemnąć się leśnej polanie... I zupełnie obojętne mi są moja reputacja, ani na przyszłość i wątpliwe tyły w postaci pałaców. Ja chcę iść po prostu do przodu. I wszystko mi jedno dokąd.

Byle do przodu. Wrócić do Dogewy? Ależ jak najbardziej! Tylko, że ja chcę tam WRACAĆ.

Wracać i ponownie odchodzić. A z resztą, tak naprawdę nie wiem do końca czego chcę. I pewnie to właśnie mnie tak bardzo martwi... - A wiesz – spokojnie syknął smok, nie otwierając oczu – że sssama to świetnie wyjaśniłaś, tylko póki co nie potrafisz się z tym pogodzić...

- Masz piękne oczu. Zbyt piękne... Nie martw sssię, malutka, wszystko będzie dobrze. Będzie z ciebie doskonały mag praktyk... - Już to widzę... – mruknęłam ze złością – przez te dwa lata stracę resztę odruchów, strzygi nie dam rady odróżnić od zombi, komu ja będę potem potrzebna?!

Chyba ostatnia wiedźma by pogardziła taką „łatwą” robotę... Wiedźma... Wiedźma!!! Lewark, damy radę!

Rozdział czwarty Było to bardzo ważne przyjęcie. Mój dalszy los od niego zależał. Nic więc dziwnego, że przygotowania zaczęłam już wieczorem - zmoczyłam włosy piwem, ale ani ich nie rozczesałam, ani nie zaplatałam. Nad ranem stały na głowie w potwornym kołtunie w dodatku przekrzywionym na lewą stronę. Takiego produktu kunsztu fryzjerskiego nie uzyskałabym przy użyciu szczotki i za sto lat.

Makijaż (żółto-szary puder, czarna pomada i fioletowe cienie) zajął około godziny, ale w końcu udało mi się uzyskać niezdrowy, trupi odcień skóry.

Poszukiwanie pasującego do okazji stroju również trwały dłuższą chwilę. Szczęśliwie Welka jeszcze się nie zebrała, żeby wyrzucić swoją starą szarą bluzkę, podartą i wypačkaną sadzą (ostatnio owinęłyśmy nią szczotkę i czyściłyśmy komin). Za spódnicę posłużyłam ścierka do podłogi podpasana sznureczkiem. Na szyję założyłam naszyjnik z suszonych chrabąszczy wyblaganych od chłopaków z wydziału zielarstwa. Z braku bransoletki nadziałam na nitkę mysie czaszki, a na ramiona kokieteryjnie zarzuciłam wypchaną żmiję. Następnie spojrzałam w lustro.

Czarodziejki zwykle oburzają się straszliwie, jeżeli ktoś nazywa je wiedźmami. Ale przy obecnym wyglądzie uznałabym to za komplement. Wyszła ze mnie do tego stopnia paskudna wiedźma, że drzemiący w fotelu Mruczek najeżył się i zwiął pod łóżko. Musiałam prawie, że na kolanach błagać go o zostanie moim asystentem. Bo w końcu co to za wiedźma bez kota?! Kot zgadzał się, że wiedźma ze mnie żadna i moje towarzystwo może zrujnować mu reputację porządnego łapacza szczurów. Po krótkiej chwili namysłu złapałam go za poruszający się z irytacją ogon, pociągnęłam i zwierzak głęboko przeorał po mnie wszystkimi czterema łapami.

Ssąc reke i szeptem przeklinając uparte bydle, wyciągnęłam z szafy chłodzącej wczorajszy kotlet schabowy i pomachałam nim przed nosem kota. Mruczek powąchał, oblizał się łakomie, ale nie ruszył z miejsca. W zamyśleniu zaczęłam żuć wzgardzony produkt, po czym przypomniałam sobie o istnieniu telekinezy i po paru chwilach trzymałam już kota w rękach. Stwierdzenie, że poddał się bez walki, oznaczałoby kompletny brak szacunku wobec takiego wielkiego wojownika, jakim jest nasz

Mruczek. Moje triumfalne wyjście ze szkoły nie pozostało niezauważone – przy bramie stał Almit i prowadził bezprzedmiotową dyskusję z bogato ubraną damą trzymającą za rączkę pulchne dziecko. Wyglądało, że od dłuższego czasu bezskutecznie próbował wyjaśnić troskliwej matce, że jej pociecha bez wątplenia posiada wszystkie niewyobrażalne talenta oprócz magicznego, w związku z czym nie może zostać przyjęta do Szkoły nawet odpłatnie.

Na widok wiedźmy dyskusja zamarła jak ucięta nożem. - Kto to jest? – zapytała zszokowana dama, na wszelki wypadek przytulając do siebie genialne dziecię. - Nasza najlepsza absolwentka

– palnął nie mniej oszołomiony Almit. Uśmiechnęłam się sztucznie, odsłaniając poczernione węglem zęby. Dama złapała pociechę na ręce i bez pożegnania się precz od wątpliwych uroków wykształcenia magicznego.

Do pałacu udałam się na piechotę i na bosaka, niezbyt starannie omijając kałuże. Złapany pod pachą kot wył na jedną nutę całkiem pozbawionym nadziei głosem. Nieliczni poranni przechodnie czmychali do zaułków, nie ryzykując spotkania wiedźmy na wąskiej ulicy. Strażnicy również nie ucieszyli się na mój widok. Skrzyżowali drżące glewie i z maksymalnym szacunkiem spytali o cel wizyty. Podałam im wypisane przez mistrza skierowanie i wczuwając się w rolę, złowieszczo wymruczałam coś pod nosem, pocierając dłonie. Glewie nie tyle nawet rozstały się, co rzuciły na boki. Pod opuszczonymi przyłbicami dźwięcznie szczękały zęby. Akurat zdążyłam na śniadanie – w drodze do sali biesiadnej trafiły mi się tylko dwie służące, z których jedna malowniczo zemdląła, a druga śpiesznie schowała się za gobelinem. Utkane na nim morze wzburzyło się realistycznie, a stateczek podfrunął na grzebień fali. Przy drzwiach sali również stali strażnicy, ale nawet się nie zatrzymałam, spojrzeniem otworzyłam drzwi na oścież i przedelfilowałam obok osłupiałych gwardzistów. Jego Wysokość zasiadł u szczytu stołu na czymś pomiędzy krzesłem z tronem – wysokie, bogato zdobione oparcie z wzrokiem z szafirów dookoła i dość proste siedzisko, bez podłokietników. Malutkie oczka Nauma zmrużone były z zadowolenia, wysoka korona wespół z zaczesanymi z boków włosami, skutecznie maskowała łysinę. Karmazynowy płaszcz zdobiony w złote lilie sięgał podłogi. Ciężki, pewnie z aksamitu. Z

tyłu, po obu stronach królewskiego tronu, stały faworyty – blondynka i ciemna brunetka, które czule uśmiechały się do naumowej potylicy. Z początku pomyślałam, że ktoś biedaczki bestialsko obrabował, ale po chwili zrozumiałam, że ten prawie całkowity brak materiału na ponętnych kształtach jest zjawiskiem normalnym. Materii nie tyle brakowało, co ze wszelkich oznak wynikało, że zsunęła się, zasłaniając zupełnie nieciekawe części ciała, podczas gdy to, co zwyczajowo się przykrywa, było wystawione na widok publiczny, za wyjęciem może paru strzępków i trzech sznurków. Po lewej stronie króla, z zaciśniętymi wargami, a do tego zupełnie prosto, jakby ją kto nabił na pal siedziała królowa Weronika – prawowita małżonka Nauma, panna o urodzie lalki. Na czubku jej jasnej kędzierzawej peruki pysznił się szafirowy diadem.

Blade błękitne oczy obojętnie ślizgały się po chytrych twarzach dworaków, którzy ustawili się wzdłuż ścian w oczekiwaniu na sygnał rozpoczęcia biesiady. W podołku Jej Wysokości drzemał

srebrzystoszary mopsik z pomarańczową mordką i wylupiastymi oczkami. A raczej drzemał, póki się nie pojawiłam, bo natychmiast utracił wszelką ochotę na sen. Wyrwał się z rąk, jak żaba plasnął o podłogę i schował się pod siedziskiem Nauma, zasłoniętym zwisającym płaszczem.

Królewskie brwi podniosły się jak most zwodzony, póki nie doszły do pozycji prawie pionowej.

Prowadzone przez dworaków szeptane konwersacje ucichły. Wykonałam krzywy rewerans. Kot instynktownie wpił się pazurami w ramię i z trudem powstrzymałam się od niecenzuralnego wrzasku, gorzko żałując, że nie znalazłam jakiegoś bardziej lekkiego towarzystwa – powiedzmy, gawrona. Gawrony również wcale okazałe prezentują się na wieźnim ramieniu, poza tym często brane za kruki (które są znacznie większe), a ochryple i smętne krakanie dodaje wizerunkowi czarownicy odrobinę mrocznej tajemnicy. Niestety na sam mój widok nie tylko gawrony, ale i dużo bardziej moralnie wytrzymałe kawki, uciekały ze skrzeczeniem na wszystkie strony, nie oglądając się za siebie. Kot postanowił, że się zrehabilituje, w związku z czym na oścież otworzył

zębata mordkę i wydał z siebie nosowe miauknięcie. Dworacy z jękiem zrobili krok do tyłu, a królowa Weronika zasłoniła twarz wachlarzem. E tam, kot też jest niczego sobie pomyślałam złośliwie. Po zaznaczeniu swojej obecności Mruczek zeskoczył na podłogę i dumnie przedfilował do stołu. Ludzie rozstępowali się w pośpiechu, schodząc mu z drogi. Mopsik straszliwie warknął spod krzesła. Kot powstał chwilę obok tronu i poświęcił oczyma w kierunku Nauma, a potem lekko wskoczył na blat i z mruknięciem wczepił się zębami w skrzydło olbrzymiej pieczonej gęsi. - No to cześć wam, wasz-sokość – wyrzekłam, drapiąc się po potylicy, a potem dokładnie oglądając żółte nakładane. Zauważyłam, że cos za nimi utknęło zestrzeliłam ofiarę na podłogę (toczący się z impetem piorun kulisty nie dałby lepszego efektu) krzesło, z którego śpiesznie uciekł pierwszy minister, odsunęłam szeroki gestem plasnęłam koło króla, po czym zarzuciłam nogę na nogę i uszczypnęłam faworytę.

Zahartowana przez dworskie życie blondynka nawet nie pisnęła, a tylko cierpiętniczo zagryzła wargi. - Ja tu... ten tego... wprost z sabatu... Lekko mi słabo – wyjaśniłam, uderzeniem w denko otwierając najbliższą butelkę. Wino okazało się słodkie i mocne. Z czknięciem pochyliłam się w kierunku króla i szczerze napełniłam jego kielich z nadpitej butelki. – No to co, Wasza Wysokość, wypijemy za owocną współpracę? W naszych czasach król bez maga kroku robić nie może, wszędzie wrogowie! Z rozmachu uderzyłam butelką o kielich – na skutek czego wino chlupnęło na stół i cieniutkim strumyczkiem pociekło na królewskie kolana - upiłam jeszcze łyżeczek, demonstracyjnie bulgocząc powietrzem w szyjce. Kot w skupieniu dławił się gęsią, wydając z siebie ohydne dźwięki. - No, kto tu nas nie szanuje?! – omiotłam dworaków przenikliwym spojrzeniem a potem z odległości trzech wierszków popatrzyłam Naumowi prosto w oczy. Król uczciwie spróbował wyrazić całym sobą bezgraniczny szacunek i szczerą radość z okazji mojej obecności przy stole biesiadnym. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie poklepać królowej po policzku, ale zdecydowałam, że nie będę przeginać. Wiadomo, że z kobietą lepiej nie zadzierać, bo ja guzik obchodzi, czy dziesięciu strażników na królewski rozkaz zdąży nadziać impertynencką wieźmę na giewie, zanim ona pozamienia ich w zay lub karaluchy. Ja doskonale wiedziałam, że zdążą i to jeszcze z zapasem, ale Jego Tchórzliwość nie chciał ryzykować swojej koronowanej głowy ani psuć stosunków z Konwentem Magów.

I w tym momencie zauważyłam, że pod królewskim wachlarzem drży uśmiezek. Jej wysokość doskonale połąpała się w sytuacji i czerpała morze złośliwej satysfakcji ze zmieszania szacownego (zresztą, co tam ukrywać, niezbyt, a można nawet powiedzieć, że całkiem nie szacownego) małżonka. Weronika puściła do mnie oczko i jeszcze głębiej schowała się za wachlarzem.

Z trudem powstrzymałam się od mrugnięcia w odpowiedzi i jako dyplomowana wieźma postarałam

się zrobić na królu możliwie jak :najlepsze” wrażenie : - Mam wspaniałe trucizny, –

rzuciłam teatralnym szeptem do sterczącego monarszego ucha –natychmiastowe i powolnie działające. Jedna kropla i po miesiącu wasz niczego niespodziewający wróg dokona żywota w potwornych konwulsjach... Dworacy ożywili się. Co niektórzy zaczęli wymieniać znaki sąsiadami, a inni pobledli i zaczęli kasłać, odsuwając kielichy.

Król wyraźnie się zasmęcił. W sukurs przyszedł mu minister obrony, który aż się palił, by wcielić maga praktyka w szeregi odważnych obrońców ojczyzny: - Wolho, proszę nam powiedzieć, jakie ma pani doświadczenie zawodowe? Skromnie spuściłam oczy: - Ot, drobiazgi. Wykończyłam dwoje arcymagów, rozerwałam na strzępki z pół setki zombi, zniszczyłam władacze miasto i przez parę miesięcy odbywałam staż w Dogewie. - D-d-Dogewie?! –Król jednym haustem wypił

całą zawartość kielicha – A co z wampirami? Nie skrzywdziły pani? - No co też, Wasza Wysokość?! – oburzyłam się nieprzekonująco – Były wyjątkowo miłe! Nie powinien Wasza Wysokość dawać wiary głupiej plotce, jakobym od tego czasu regularnie spacerowała po nocach z zakrwawionym toporem w rękach. Ja osobiście niczego podobnego nie pamiętam.

Minister pobladł i umilkł, zastanawiając się czy nie dałoby się jakoś wcielić w szeregi potencjalnego przeciwnika.

-A umie pani robić glamarię? – nieśmiało wyszczebiotała śliczna panienska z przeciwległego końca stołu. Kto jak kto, ale akurat ona nie potrzebowała sztucznych stymulatorów urody, chyba, że zdążyła się nimi nasmarować przed kolacją.

-Oczywiście – odparłam z godnością, kokieteryjnie poprawiając „loczka” – Sama z niej regularnie korzystam

-A przepowiadać przyszłość? – pełnym niezadowolenia tonem odezwała się zaszuszonej dama z haczykowatym nosem. - Ze stęchłych szczurów, ciepłego smoczego gówna i ludzkich wnętrzności, w obecności klienta – wyliczałam z godnością. – Mogę również przygotować lubczyk albo eliksir młodości na osiemdziesiąt procent. wśród podstarzałych miłośników uciech cielesnych zapanowało ożywienie. - Dwadzieścia ze skutkiem śmiertelnym. – dodałam mściwie.

chętnych na lubczyka jednak zabrakło. Nikt mnie więcej o nic nie pytał i po pośpiesznym zakończeniu na dobre nie rozpoczętego śniadania ze wszystkimi honorami pożegnano mnie z pałacu. Nawet kota wyniesiono na aksamitnej poduszce z frędzlami. Musiałam taszczyć go z powrotem na rękach – drań jeden, posadzony na ziemi, smętnie darł się w kierunku moich pleców, ale nie ruszał z miejsca. Sądząc z kształtu i rozmiarów brzucha, Mruczek połknął gęś w całości i teraz z trudem podnosił się na cztery łapy.

Tak więc z kotem w objęciach, ponownie rozganiając przechodniów, wróciłam do Szkoły. Smok długo i z przestachem przyglądał nam się zza płotu, rozpoznał, tubalnie zarechotał, wypuszczając kłęby dymu. Przechodząc chmurnie pogroziłam mu pięścią, ale ten gad bez krzty sumienia nadal ryczał ze śmiechu, turlając się po ziemi.

Zrzucony na fotel kot natychmiast usnął, jak padł, chrapiąc i poruszając zadartymi w górę łapami.

Zebrałam szmaty i rzuciłam je do trzaskającego wesoło kominka, po czym z rozkoszą zanurzyłam głowę w wiadrze z wodą. Potylicę oblał chłód, ale za to przeklęty kołtun przestał swędzieć, a puder - szczypać skórę.

Ledwo co zdążyłam wyschnąć i ułożyć włosy, gdy wywołano mnie do bramy i kurier królewski za poświadczeniem odbioru wręczył mi okręcony sznurkiem pakiet z jeszcze ciepłą pieczęcią.

Przed gankiem zebrały się w grupkę przerażone, dopiero co przyjęte do Szkoły maluchy, które gapiły się na mnie szeroko otwartymi oczami. Posłałam im krzywy uśmiech i przeszłam obok, z goryczą czując się gościem w rodzinnym domu.

Jutro w naszym pokoju zamieszkają dwie nieznanne dziewczyny, ze ścian znikną tanie drukowane obrazki (należąca do Welki kolekcja sławnych magów praktyków, uwieńczonych w chwili kolejnego bohaterskiego czynu. Mnie osobiście wydawało się, że wszyscy mieli dokładnie tę samą twarz, a i to jakoś wykrzywioną), z krzesel – rozrzucone przeze mnie rzeczy, a na stole zapanuje oburzający porządek. I najważniejsze – trzeba pamiętać, żeby wyrzucić z szafy chłodzącej głowę mawki albo któryś z maluchów przez resztę życia będzie się jąkał.

Złamałam pieczęć, wypatroszyłam pakiet i prychnęłam ze złośliwą satysfakcją. W kopercie oprócz zwoju pracy spisane na urzędowym papierze leżał mój dyplom i dziesiątka szmaragdów o rozmiarach ziarenka grochu – królewskie karne. Zerknęłam na kaligraficzne pismo dworskiego skryby. „Pierwsze miejsce pracy: Stramin, mag dworski. Pracowała od 7 do 8 traworoda 1001

roku. Narzekań brak”. Oczywiście, że brak. Kto b się ośmielił narzekać na wiedźmę?

Najśmieszniejsze w tym wszystkim było to, że nie powiedziałam ani słowa kłamstwa. Można wróżyć ze stokrotek, a można ze szcurów. Lubczyki też bywają różne, a ja uczciwie zaproponowałam ten najskuteczniejszy. Ale jak nie chcę, to nie. Ulokowałam się na brzeżku biurka i napisałam pożegnalną notkę do przyjaciół, na której położyłam kilka szmaragdów

po jednym dla każdego. Welka oczywiście zamartwi się i obrazi, ale co tu robić – zmartwiony mistrz jest znacznie groźniejszego, a on za moment dowie się o „wiedźmie”.

Z rzeczy zabrałam tylko najpotrzebniejsze. Miecz, suknię z balu absolwentów, ubranie podróżne i garstkę różnych drobiazgów na pamięć, jak na przykład zaczarowaną monetkę, na której zawsze wypadł Naum, zabawnie pozawijany, związany w supeł dębowy korzonek (Welka zapewniła, że odwraca uwagę sił nieczystych) i takie tam drobne amulety. Zapięłam na nadgarstku bransoletę-

zbieracz z agatów. Nappełniłam torbę ziołami w woreczkach i fiolkach, bez najmniejszego protestu sumienia zakosiwszy je przyjaciółce. To nic, ona sobie jeszcze nasuszy i nagotuje, a ja okazję do uzupełnienia zapasów będę miała nieprędko. Magowie praktycy rzadko zajmują się produkcją eliksirów, zwykle po prostu je kupując.

Koniec końców zmieściłam się w dwóch przeciężkich sakwach, które zaniiosłam do stajni. Smok

niedbale zaległ w jej progę i powitał mnie współczującym prychnięciem:

-A może byśś tak przed daleką drogą chwilę ussiadła, absssolwentko?

Tylko westchnęłam, przenosząc nogę nad smoczym ogonem. Szybko założyłam siodło, załadowałam bagaże i wyprowadziłam Wiewiórkę na podwórko. Kobyłka podejrzliwie łypnęła na smoka, który oblizwał się ze smutkiem.

-Przepraszam, ale ja nie mam nawet czasu na porządne pożegnanie.

-Prawdziwi przyjaciele nie potrzebują pożegnań – prychnął smok – oni zawsze sssą z tobą, nawet jeśli nie prossisz. Nie po to przyszedłem. Zobacz tutaj malutka.

Odwrociłam się w jego kierunku. Na koniuszku wyciągniętego do mnie pazura miał misternie pleciony, cieniutki srebrny pierścionek. Tańczących na nim odbłasków było nieco za dużo jak dla zwykłej ozdóbki.

-Artefakt czy amulet? – spytałam rzeczowym tonem. Artefakt to przedmiot, który sam z siebie jest niezwykły, ot taki sobie kawałek magii, razem z nią znikający. A zaczarować można dowolny drobiazg – przed komarami, katarem albo złym okiem. Najczęściej do jedнокrotnego użytku.

-Nie mam pojęcia – w zamyśleniu syknął smok. – poprzedni właściciel nie zdążył mi opowiedzieć...a tak w zasssadzie to on do mnie nie na pogawędkę wpadł...ssstrasznie był

niesssmaczny, ot co...weż to dla ciebie. Sssama się połapiesz co i jak.

-Dziękuję – wyrzekłam szczerze, przymierzając pierścionek na środkowy palec. Wydawał mi się nieco przyduży, ale nie spadł. Smok skinął z zadowoleniem, podskoczył i rozprostował skrzydła.

Kobyłka zarżała a z przerażeniem i się cofnęła, a ja ręką osłoniłam oczy przed kurzem.

-Powodzenia na szlaku wiedźmo! – krzyknął Lewark, spiralnie wznosząc się w niebo. – Oho, a na szkolne ziemie zapędziła sssię cudza krowa! Przypomnieć sobie ssstare czasy czy jak?

Pozostało więc najbardziej nieprzyjemne, acz nieuniknione. Pozostawiłam kobyłę za bramą, wróciłam do Szkoły, wbiegłam po schodach na piętro i jednym szarpnięciem otworzyłam drzwi na oścież.

-O co chodzi? Mistrz podniósł wzrok, trzymając pióro nad kałamarzem. Na rozdwojonym koniuszku pęczniała kropla.

-Kupuję kobyłę – wypaliłam w biegu, otwierając pięść. Szmaragdy zielonymi kryształkami wysypały się na biurko i uciekły na boki.

Pióro wypadło spomiędzy palców, ochlapując pergamin.

-Skąd masz pieniądze?

-Sprzedałam swoją dobrą reputację – stwierdziłam bez wahania. I natychmiast w tej chwili wyjeżdżam do Dogewy.

-Zwariowała dziewczyna! Co się stało?

-Niedługo się pan dowie – obiecałam. – Do widzenia mistrzu. Uwielbiam pana!

I zanim mag zdążył się opamiętać, przechyliłam się przez biurko, lekko cmoknęłam staruszką w policzek, po czym uciekłam trzaskając drzwiami.

-A karne? – krzyknął za mną stary mag, ale nie było sensu wracać i wyjaśniać, że karę zapłacił król. Mistrz w gniewie jest przerażający.

Wiewiórka przywiązana za szkolnym murem, biła kopytem. Mało prawdopodobne, by udało mi się wyprowadzić ją ze stajni po „pożegnaniu” z mistrzem. Zdając sobie sprawę z powagi chwili, kobyła tańczyła jak nieujeżdżona trzylatka. Hop! I już jestem w siodle. Żegnaj, Straminie! Czekać no paskudo, jeszcze nie zebrałam wodzy!

Rozdział piąty

Po opuszczeniu miasta zrobiłyśmy sobie z kobyłą postój. Wyciągnęłam z torby mapę Belorii i w zamyśleniu pochyliłam się nad delikatną koronką dróg, rzek i wiosek. Nie miało szczególnego sensu spieszyć się do Dogewy. Rozmowy z posłami z Arrlisu mogły przeciągnąć się nawet tydzień, więc Len i tak miał na głowie ważniejsze sprawy niż mnie.

Zwinęłam mapę i powolnym trychem ruszyłam wzdłuż miejskiego wału, żeby wyjechać ze Straminu traktem na Czarnotrawne Ostępy. Miałam zamiar odwiedzić dobrodusznego zielarza, gburowatego Kuźmę i naszą wspólną pieszcioszkę, rudą mantykorę Tyśkę, a przy okazji spróbować złapać Stokrotkę. Sprzedaż jednej kobyły zapewniłaby mi jakieś pieniądze na start.

Ostatni raz obejrzałam się w kierunku Straminu i poddając się nieoczekiwanemu impulsowi, pomachałam ręką dachom domów, szpili pałacu i wieżyczkom Szkoły.

Miałam przecucie, że następnym razem zobaczę je, ale to bardzo nieprędko.

Wydawało się, że droga do Ostępów była zaczarowana. Tak samo jak poprzednim razem, pogoda zepsuła się gwałtownie, niebo przesłoniła szara kosmata mgiełka, z której najpierw z rzadka i drobno, a potem mocniej i pewniej posypały się duże krople. Deszcz padał przez cały dzień i większą część nocy, chmury nieco się przeredziły dopiero nad ranem – pojawiły się w nich wyblakłe białe rozdarcia, na przemian z czarnymi garbami. Nauczona gorzkim doświadczeniem zabrałam ze sobą tyle jedzenia ze świątecznego absolwenckiego stołu, że wystarczyłoby go na tydzień dla trójki podróżnych. Ale za to nie zadbałam o koński wikt. Wiewiórka z wyraźną niechęcią przeżuwała mokrą trawę, odmawiając ogryzionych przeze mnie skórek chleba. Siodło otarło jej grzbiet, nieprzyzwyczajona do dłuższych wycieczek kobyła co rusz potykała się na nierównej wiejskiej drodze. Gdzieś zdążyła też zgubić lewą przednią podkowę. Na wskroś przemokła i

przygarbiona przypominała zabiedzoną i zagłodzoną klacz. Zdecydowałam, że pozbędę się jej przy pierwszej okazji. Stokrotka, przy wszystkich wadach, znacznie bardziej pasowała do roli wiernej towarzyszki podróżującej wiedźmy.

W nocy Wiewiórka zrobiła mi kolejne i ostatnie świństwo w jej życiu.

Zjadły ją wilki.

Kiedy połapałam się w śladach, byłam wprost zaszokowana durnotą kobyły. Gdy tylko zasnęłam, spętana Wiewiórka nie wiadomo po kiego grzyba zagłębiła się w leśne chaszczce i długo błądziła tam bez określonego celu, póki nie spadła do parowu, gdzie ni to skręciła kark, ni to cierpliwie doczekała się pary chudych, oblaźłych i skrzywdzonych przez zimie wilków, które na mój widok ze wstydem czmychnęły w krzaki. Biedne zwierzęta zdziwiły się na widok niespodziewanej zdobyczy mniej niż ja. Wzniosły pochwalne wycie do nieoczekiwanej szczodrych bogów i w pośpiechu rozparcelowały kobyłę, rozwlokły nogi i wątrobę do krzaków i nor, a dopiero potem zabrały się do posiłku jako takiego.

Oczywiście tak głupia śmierć nie zasłużyła ani na jedno dobre słowo. Wilki śledziły mnie nieustannie z gęstych zarośli malin smętnymi żółtymi oczami, walcząc z palącym pragnieniem kontynuowania biesiady. Zdychające z głodu pogryzły nawet siodło, zostawiając mi wędzidło jako jedyną pamiątkę po kobyle.

Szczęśliwie do Czarnotrawnych Ostępów zostawała mniej niż godzina jazdy. Pokonałam tę odległość w pół dnia, uginając się pod ciężarem dwóch sakw z jedzeniem i rzeczami. W okolicach obiadu udało mi się odnaleźć domek pustelnika – solidnie zabudowaną pieczarę we wzgórzu, od wewnątrz wyłożoną grubymi balami, z wyprowadzonym na bok kominem i parą okrągłych okienek. Na wzgórzu rósł rozłożysty jesion, którego srebrzyste liście ostro kontrastowały z ciemną zielenią okolicznych dębów.

Podstarzały bakałarz rozsiadł się w bujanym fotelu przy wejściu do jaskini, paląc długa fajkę z aromatyczną ziołową mieszanką, która nie miała nic wspólnego ze śmierdzącym krasnoludzkim tytoniem. Fotel miarowo skrzypiał. Kuźma, który w pocie czoła pielił łobodę na malutkim ogrodzonym poletku z równymi rządami grządek, raz po raz prostował się, przerzucał pęczki chwastu przez płot i naganą popatrywał na mistrza, wyraziście pocierając strudzony grzbiet.

Bakałarz uśmiechnął się dobrodusznie i kiwnął głową w kierunku pilnego uczucia, całym sobą wyobrażając uosobienie pokoju i całkowitego zadowolenia z życia.

Jako pierwszą moją pochmurną i przygarbioną postać zauważyła Tyśka, która drzemała w opianach przy płocie. Z radosnym piskiem zerwała się z miejsca, przeskoczyła przez fotel, powodując że zdębiały bakałarz upuścił fajkę. W trzy susy dotarła do mnie i przewróciła na ziemię, machając ogonem i pchając zimny nos wprost w moją twarz. Z nadmiaru uczuć liznęła mnie w ucho, rozmazując wymieszany z błotem przydrożny kurz.

Kuźma z ogromną chęcią skorzystał z pretekstu, by przerwać grzebanie w grządkach. Dokładnie zamknął za sobą furtkę (ku wielkiemu rozczarowaniu drepczących po polance kur, które rzucały

głodne spojrzenia na świeżo skopaną), gestem wskazującym praktykę odepchnął nogą łaszącą się mantykore, po czym odebrał ode mnie ciężkie sakwy. Westchnęłam z ulgą i przeciągnęłam się, masując ramiona.

Po powitaniach i wyjaśnieniach w dwóch słowach celu swojej wizyty z zażenowaniem przyjął gratulacje bakałarza z okazji zakończenia Szkoły i przyjęcia do Konwentu Magów. Kuźma z zazdrością pociągał nosem. Jego egzaminy końcowe czekały w przyszłym roku, eksternistycznie, w związku z czym mistrz bez cienia litości zmuszał go do wkuwania i powtarzania obowiązkowego kursu szkolnego.

-I jak tam moja Stokrotka? – spytałam po zaczerpnięciu oddechu. – nadal zdobywa sobie sławę białej zjawy?

-No a jak! – zarżał Kuźma. – Jak na jesieni baby chodziły po żurawinę na mokradła, to ona sobie wymyśliła: stanie na ścieżce i nikogo nie przepuszcza, póki się jej nie da kawałka chleba albo coś słodkiego. Chociaż jak się któraś baba zgubi i zacznie nawoływać, to kobyła do niej wychodzi i na ścieżkę wyprowadza. Co poniektórzy to nawet jejny głos miły i delikatny słyszeli, a jeszcze inni to w ogóle cuda opowiadają, że jak zobaczy nieżonatego faceta, to się zmienia w nadobną pannę i patrzy tak smutno, że nie ma siły, coby się jej oprzeć.

Kuźma pomyślał chwilę, podrapała się po skroni i dodał:

-Uczciwie mówiąc, ci bohaterowie to, zanim usłyszeli nadobnej panny głos, niezbyt twardo na nogach stali. Zalaływało od nich jak z kadzi siwuchą...

-Kuźma kończ te głupie bajki – przerwał mu zielarz. – czy nie widzisz, że biedna dziewczyna jest zmęczona i pewnie głodna? Idź nakryj do stołu.

Uczeń niechętnie wykonał polecenie. Tyśka w podskokach ruszyła jego śladem, z uwielbieniem, zaglądając mu w oczy.

-Jemu to tylko daj wolną wolę, a całymi dniami będzie bajki prawił. – Bakalarz z niezadowoleniem, ale i bez złości pokręcił siwą głową. – Wolho, niech pani siada. No to gdzie ma pani skierowania?

-Do Dogewy, jako główny mag konsultant – skłamałam.

Chyba skierowanie do Dogewy było równie prawdopodobne jak skierowanie do piekieł jako naczelnego inżyniera nekromanty. Oczy zielarza wyszły na wierzch i do wypadnięcia całkiem zabrakło im całkiem niewiele.

-Kh-hym – zakasłał zmieszany. – kiedy ja byłem zastępcą do spraw nauczania, nawet skierowanie do miast leżących niedaleko Dogewy i Arlissu uznano za potworne nieszczęście, którym straszono największych wagarowiczów i psotników.

-No to chyba dostałam za swoje – roześmiałam się. – Co prawda po dwóch latach obcowania z wampirami nie wydaje mi się, by miały szansę mnie przestraszyć czy zdziwić. Tak więc pozostaje pytanie, kto z nas miał większego pecha.

-A niech się pani nie zarzeka – krzywo uśmiechnął się stary mag, starannie chowając niepokój w kącikach oczu. – Ale w takim razie podejrzewam, że poinformowano panią o... y-y-y...

obrzędki?

-Którym dokładnie? – zebrałam się w sobie.

-No tym... – Zielarz tak starannie poruszał brwiami i mrugał, że poczułam się niewyraźnie. –

Tym, który, no... ten tego...

-Rytuale grupowego rozpicia przydzielonego maga pierwszej nocy drugiego jesiennego młodego księżyca?

Mag nie znalazł na mojej twarzy ani cienia i zrozumienia i z westchnieniem zakończył z aluzjami:

-W takim razie czeka panią poważna rozmowa z władcą. Tak wysokie stanowisko zobowiązuje panią, by towarzyszyć mu ... wszędzie, a to nie każdy da radę wytrzymać. A przynajmniej człowiek.

W tym momencie nerwy mi puściły:

-skoro i tak się niedługo wszystkiego dowiem, to dlaczego pan jednak nie wypowie się trochę bardziej zrozumiale?

-Nie mogę. – Stary mag przepaszająco rozłożył ręce. – Po pierwsze, razem z pani mistrzem złożyłem przysięgę, a po drugie, i tak sami nic do końca nie wiemy.

Nasza rozmowę przerwał Kuźma, który tupał jak solidnych rozmiarów niedźwiedź. Trzymając w objęciach bardzo ciężki dębowy stół.

-W pokoju to za duszno jest – wydyszał, z rozmachem zwalając mebel tuż przed naszymi nosami.

– i trawą pachną, aż się w głowie kręci, a ta tutaj ryza morda skorzystała, że ja na chwilę gdzie indziej spojrzałem, i sera nadgryzała, o!

Z oburzeniem zademonstrował ser nadgryziony w półksiężyc. Mantykorą z cichym miałknięciem pobiegła do fotela i schowała pysk na kolanach zielarza. Staruszek delikatnie poczochnął ją za uchem.

-A ty zanim zaczniesz na Tysię zwać, wargi obetrzyj, boć one całe w okruchach.

Uczeń oblizał się i poczerwieniał jak burak.

-No, a ja tego no... po drodze tylko odrobinę spróbował. Przecież mistrz i tak po tym stworze się będzie brzydził jeść. Przecież nie będziemy marnować dobra!

-Mam nadzieję, że więcej nic nie zniknie? – z uśmiechem zapytał stary mag.

-W żadnym razie! – solennie zapewnił go uczeń i dla podkreślenia swoich słów pogroził Tyśce pięścią. Mantykorą syknęła na niego przez puszyste wąsy.

-Heh, a ta dwojka dobrała się jak w korcu maku – poinformował mnie mag ze śmiechem w głosie, gdy Kuźma znowu zniknął w chatce. – Gdzie kuźma, tam Tysia. Na polowanie idą razem, kuźma strzela do kaczek, a ona mu przynosi... czasami. A i tak lepiej niż z psem. Tamtemu ptak spadnie na mokradła i tyle go widzieli, a Tysia w locie łapie.

Tymczasem mantykora ulokowała się na kolanach zielarza, wieszając łapy po obu stronach fotela.

Ułożyła się wygodnie i zaczęła basowo mruczeć, wypuszczając i chowając czarne pazury. Mag z czułością potargał ją za pędzelki w uszach, zakasłał i zmienił temat:

-Wolho, chciałbym panią prosić o przysługę: Niestety pieniędzy za dużo nie mam..

-No niech pan da spokój. – skrzywiłam się z oburzeniem – a co się stało?

Przede mną z dźwięcznym plaśnięciem wylądował półmisek z pieczonym kurczakiem, wysuwającym ku niebu pulchne nóżki. W mruczeniu Tyśki pojawiły się zachłanne nuty i zielarz zapobiegawczo zepchnął ją na ziemie.

-Na mokradłach znowu zaczęli ginąć ludzie. Po jednym, dwoje...

-W dzień, w nocy? – Przeliczyłam w głowie możliwe stwory bagienne. Nocnych było wśród nich więcej, a ja miałam mniejszą ochotę na spotkanie z nimi.

-Zauważono brak zwykle późnym wieczorem... albo wcześniej rano, kiedy wszyscy porządni chłopcy wracają z krzaków obok karczmy.

Kuźma wręczył mi grubą, nierówno ukrojoną pajdę chleba i usiadł na pieńku przytoczonym spod drewnutni, ledwo co zdążyliśmy zacząć posiłek, gdy chmury przypomniały o sobie i lunęło.

Szczęśliwie, wzmocniona zakłębieniem korona jesionu była odporna na wodę, która gęstymi kroplami sypała się z brzegów liściastego daszku.

-Jeżeli żywołyk nawet i widzeń łązi, to dzisiaj za żadne skarby się nie pokaże – burknął Kuźma z pełnymi ustami. – Niczego sobie deszczyk. Żeby tylko moczary z brzegów nie wystąpiły, i tak wiosenne wody je podniosły.

-Że kto? – spytałam z rozbawieniem.

-Żywołyk – powtórzył zielarz bez cienia uśmiechu. – A przynajmniej tak go miejscowi nazywają.

-A nazwa pewnie stąd, że ma zwyczaj połykania w całości?

-Dokładnie.

-Wy tu nie mokradła macie, a jedną żywą baśń! – nie wytrzymałam. – Jeżeli wszyscy świadkowie zostali połknięci, to skąd wiadomo, że to jakiś potwór? Zima był śnieżna, na wiosnę mokradła nadtoczyły ścieżki, no to macie żywołaka... Sami to przynamniej w niego wierzycie?

Zielarz w milczeniu skinął na wielki dębowy pniak w okolicach samotni. Kuźma odrąbał i przerobił na opał gałęzie, a ogromny pień mantykora upodobała sobie w celu codziennego ostrzenia pazurów. Ale niedawno korzystało z niego coś jeszcze, co zostawiło w mocnym dębowym drewnie trzy razy głębsze bruzdy. -Nie mam pojęcia, co to za gość odwiedził na zeszłej nocy, ale Tyśka wyczuła go przez ścianę i wcisnęła się pod ławę, piszcząc ze strachu. Niestety, nie wystarczyło nam odwagi na nawiązanie bliższej znajomości...

Również nie poczułam przyływu chęci do pracy. Lecz się nie przyznałam.

-Do domu się nie pchało?

-skrobało w drzwi, ale zapaliłem gałązkę dziurawca i wszystko ucichło.

-Nic dziwnego!- burknął Kuźma, który rozstawiał na stole kolejne miski. – Nie gałązkę, tylko pęczek, i to smród się porobił taki, a ze wszystkich szczelin dym poleciał, ledwieśmy oddecha złapali!

-Przecież sam mi podałeś, i to nie patrząc co! – obruszył się bakałarz. – Przez twoją durnotę połowę zapasów żeśmy zmarnowali!

-Czyli tam był nie tylko dziurawiec? Da pan radę przypomnieć sobie dokładnie co? – przerwałam.

Dziurawiec niźle odstraszał mawki, wrotycz – małe błotne, ssące krew nietoperze, a przy okazji komary, za ciemnością nie przepadały kudłaki. Ale mawka, koślawe stworzenie wielkości krasnoluda, było groźne jedynie dla psów i małych dzieci, a na dokładkę nie zjadało ofiar, tylko dusiła i porzucała. Łowcze stada mawek powstawały rzadko, i to jedynie w najmroźniejsze zimy, kiedy oczka wodne przemarzały do dna.

Zacinając się i postukując jeden drugiemu, zielarze zaczęli wyliczać. Czego tam nie było!

Rumianek, czworolist, błotny palojad, wrzos, dwukwiat, ptasi jęczmień, skalica... Wygląda na to, że udało im się odstraszyć wszystkie okoliczne siły nieczyste, jak również ptaki, zwierzęta i płazy.

-Ile osób zginęło?

-Sześcioro przez dwa miesiące.

-Pięcioro – poprawił Kuźma. – Lamonia zanocował u kuzyna, wrócił na obiad. Żona go tak dopieściła pogrzebaczem, że żaden żywołak jej do pięt nie dorasta! Że niby kłamał o tym kuzynie, bo kuzyn warg pomadą nie smaruje...

trochę mało dla mięsożernego potwora, szczególnie takiego, co mu człowiek na jeden łyk wystarcz. Strzekotacz? Mały biegacz? Te stwory mogą schować ciało w trzęsawiskach i objadać przez parę tygodni, ale przeważnie żywią się padliną i wolą zabłocone cmentarze. W zamyśleniu obgryzałam

kurze skrzydełko i rzuciłam palając się z niecierpliwości Tyśce. A jeśli nie jest sam?

Jakaś strzyga z wielkimi pazurami poluje na ludzi dla krwi i skrobie w drzwi po nocach, a ciała dostają się mniejszym potworkom.

-Dobrze – zdecydowałam. – Urządzimy na niego zasadzkę w okolicach chaty. Dobrze by było prosiaka przywiązać do drzewa, i to takiego, by dużo pisku dawał. Da radę znaleźć?

Kuźma w zamyśleniu poskrobał się po ciemieniu, potem wyraźnie się ucieszył i skinął głową.

-Chodzi o to, by kupić – znacząco sprecyzował stary mag.

Uczeń się zasmęcił.

-No dobra – burknął. Dojem i przejdę się do wsi.

-I chciałabym odzyskać moją kobyłę - dodałam. - Jak myślisz, uda nam się przyłapać ją na noclegu, gdy nie będzie się spodziewała?

-Lepiej przy wodopoju – po namyśle odparł Kuźma. – Ona nie pije wody z moczarów, tylko biega do źródła. Tu jest niedaleko kryniczka obudowana balami. Bale to przez dwa lata w powie w ziemię wrosły i chociaż w dzień ludzie ze wsi wodę wybierają, koło wieczora wysoko stoi, akurat tak, że kobyła sięgnie. Wrócę ze wsi, to pójdziemy.

Deszcz skończył się tak samo nieoczekiwanie, jak się zaczął, lecz z jakiegoś powodu nie miałam najmniejszej chęci szukać żywołaka, brodząc po kolana w błocie. Zostałam w samotni z zielarzem, czekając na obiecanego prosiaka i z braku innych zajęć oglądając książki na półkach.

Oczywiście na honorowym miejscu stały wymęczone tłumy z zielarstwa, dolne półki zostały przeznaczone dla innych dziedzin magii, a górne pełne były zwojów z uporem godnym lepszej sprawy zbierających kurz. Przykucnęłam i przebiegłam palcem po okładkach. Niektóre z nich odpowiadały krótkim lśnieniem, dając do zrozumienia, że księga nie każdemu da się złapać i obcemu może pluć ogniem prosto w twarz albo po prostu się nie otworzyć. W samym rogu stała antyczna encyklopedia wiedzy naturalnej, z której pewnie kiedyś uczył się sam zielarz i której od tamtego czasu nie ruszał. Rysunki tam były naiwne, schematyczne, a zaklęcia bojowe mieszały się z przesądnymi nakazami typu „popluć przez lewe ramię”. Prychnęłam, wyobrażając sobie zdziwienie na paszczy strzygi, gdy zamiast wpakować jej miecz pomiędzy oczy, zaczęła dokładnie pluć dookoła.

Gdy poczułam na plecach badawcze spojrzenie, zatrzasnęłam książkę i obejrzałam się. Bakalarz, odchyliwszy się na oparciu fotela, w zamyśleniu pykał fajkę. Dym, jak żywy, precyzyjnie płynął

w kierunku pieca i ulatywał przez komin, nie pozostawiając zapachy.

-Wolho, a proszę mi powiedzieć, nie traciła pani w Dogewie przytomności? Nie było zawrotów głowy, mdłości, uczucia, jakby pani dobę przespała? – zapytał zielarz po chwili milczenia.

-Nie, i ugryzień na szyi też nie odnotowałam – dodałam złośliwie.

-Nie, nie miałem na myśli, że panią pogryziono – ostrożnie powiedział arcymag. – Istnieją inne... metody oddziaływania.

-Powtarzam: nie.

-Cokolwiek pani powie – w jego głosie brakło pewności. – A kiedy panie ostatni raz chorowała?

-Mości bakałarzu, albo opowie mi pan wszystko jak jest, albo przestanie zadawać głupie pytania.

Zielarz ze smutkiem rozłożył ręce, że niby już milknie. Ja przygryzłam wargę, ale się nie dopytywałam.

Kuźmę usłyszeliśmy, zanim on sam pojawił się na polance. Poprzedzały go głośnie przekleństwa i niewyraźne beczenie. Uczeń ciągnął na sznurze kozła z ułamanym lewym rogiem, o zmierzchwionej sierści i wylupiastych oczach. Kozioł stawiał opór. Kuźma nalegał.

-Macie – burknął ponuro. – ledwo co przyciągnąłem. Niechaj się teraz żywołak z nim męczy!

Powąchałam i pośpiesznie zatkałam nos ręką. Delikatnie mówiąc, od kozła zalatywało. Mówiąc brutalnie – capił tak, że łzy z oczu leciały.

-A co? – Uznałam, że nos wytrzyma. – Prosięta się skończyły?

Kuźma wcale nie był pewien, czy zmiana jest równowartościowa, zaczął się usprawiedliwiać.

-Mlecznych nikt nie ma, a za podświnków to mi zawołali taką cenę, że kozioł wyszedł tańszy!

-A może ci kto jeszcze dopłacił, żebyś go zabrał? – złośliwie zapytał zielarz.

W odpowiedzi uczeń się nadał:

-Dwa kładnie oddałem, a i to żem się targował przez bitą godzinę! Prosiak, tfu, żywołyk się nie będzie rozdrabniał na takie, a kozioł duży jest i z daleka go widać...

-Co do niego to nawet ślepy się nie pomyli – przytknęłam. Kozioł pochylił łeb i mściwie ugodził

Kuźmę poniżej pasa. – No to co, przywiąże go koło samotni. Będziemy mieć nadzieję, że żywołyk ma katar...

Rozdział szósty

Praktyka pokazała, że kozła należało przywiązać dalej. Najlepiej na drugim końcu moczarów. W

ciągu jednego dnia zdążył ubodnąć mnie, zielarza i paru nieśmiałych chłopów, którzy zajrzeli do pustelnika po ziele na pryszcze. Nawet Tyśka omijała go szerokim łukiem, prychając z

niezadowoleniem. Beczeć stanowczo umiał, głośno i nosowo, tak że wszystkie okoliczne żywołaki z niecierpliwością oczekiwały nocy, by z prawdziwą rozkoszą przydusić paskudne bydle. Do smrodu się przyzwyczailiśmy, ale gdy kozioł z braku innego przeciwnika zaczynał z całej siły walić łbem w pień, hałas podnosił się taki, że bębniaki w uszach pękały. Ledwo doczekałam wieczora, by w towarzystwie Kuźmy udać się do źródła.

Chłopak nie skłamał i przed zmierzchem Stokrotka zjawiała się przy wodopoju. Powiewając grzywą w lekkim galopie, płynęła nad grzęzawiskiem niczym duch. Za nią bezszelestnie sunął

czarny cień, bok w bok, czasem wyprzedzając, z czasem zostając z tyłu o jedną długość.

Przetarłam oczy.

Po otwartej przestrzeni mokradeł wzdłuż horyzontu galopowały dwa konie – biały i czarny.

Nic nie rozumiałam. No dobra taka Stokrotka to korzysta z osiągnięć magii – ale jak w takim razie porusza się nad grzęzawiskiem ten drugi? Skąd się tam w ogóle wziął? I to jaki wielgachny pewnie ogier.

-Kobyła – Kuźma sam o tym nie wiedząc, odpowiedział na interesujące mnie pytanie. – Zupełnie młodziutka, jednoroczna, ale duża pewnie poszła w ojca. Na zeszłą wiosnę żem ją po raz pierwszy zobaczył, jeszcze zupełnym źrebakiem, jednak w tyle za matką nie zostawała. Pomyślałem, że kobyła się niedawno oźrebiła, źrebaczek malutki, to dogonię. A gdzie tam? Zadarły ogony, równo jak koty dzikie, i jaaak dadzą w długą przez mokradła! Biała wprost po oczkach, a źrebak z kępki na kępkę. Na kozie tobym jeszcze dogonił, a tak...

Chłopak machnął ręką bez cienia nadziei. Kobyły, jakby zauważając jego gest, zatrzymały się i zwróciły w naszym kierunku.

-Stokrotka! – zawołałam – Chodź tu malutka!

A już biegnie i pędzi! Na dźwięk wcale znajomego głosu była klaczka podskoczyła, jakby ją kto użądlił i ruszyła precz, nie oglądając się za siebie.

Czarna została w miejscu, z ciekawością spoglądając na obcych.

-Chodź spróbujemy do niej podejść – zaproponowałam.

Kuźma tylko się roześmiał:

-Myślisz, że cię podpuści na odległość wyciągnięcia ręki?

-Przynajmniej się jej z bliska przyjrzę. – Powoli, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, zaczęłam podchodzić do przedmiotu dyskusji. Kuźma odwrotnie: przysiadł na pieńku, krzyżując ręce na piersi. Pewnie liczył na okazję obejrzenia sobie wesołego widowiska – gonitwy człowieka i konia.

O dziwo kobyła nie przejawiała najmniejszych oznak strachu. Delikatna personifikacja ciekawości – od koniuszków postawionych uszu do uniesionego ogona – zastygła jak rzeźba, gotowa w każdej chwili zerwać się i uciec. Lekko skośne oczy z pionowymi źrenicami migotały wszystkimi odcieniami żółci, jak kawałek bursztynu na zalanej słońcem plaży. Z szacunkiem zatrzymałam się w odległości około dziesięciu łokci, obawiając się, że ją wystraszę i myślałam, co zrobić dalej. Wzięłam ze sobą garstkę solonych sucharków dla Strokorki i teraz odruchowo bawiłam się nimi w kieszeni, nie ośmielając się zaproponować dzikiej kobyli. Mało prawdopodobne, by prawidłowo odebrała mój gest i doceniła niezwykle poczęstunek.

Denerwowałam się zupełnie niepotrzebnie. Sucharki chrzęściły, kobyła nasłuchiwała, wahała, prychnęła w tonie. „E tam, a co mi niby!” – i podbiegła do mnie. Wyciągnęłam pełną garść i złożyłam dłonie w łódeczkę, w której natychmiast wylądowały miękkie, jedwabne wargi. Może i miękkie, ale uparte i zadziwiająco zwinne. Sucharki wyparowały w jednej chwili, nawet okruszki nie zostały. Musiałam znowu sięgnąć do kieszeni i wytrząsnąć wszystko do ostatniej drobiniki. Po posiłku klaczka do reszty się rozbestwiła: pchnęła mnie pyskiem w ucho, powąchała i spróbowała skubnąć włosy, obeszła dookoła, sceptycznie przyglądając mi się pod różnymi kątami. Jak gospodynie na targu badająca przeceniony ser w ciężkiej zadumie – ulżyć sakiewce w innym kramie czy zaryzykować żołądkiem w tym.

Ponieważ szczególnego wyboru nie miała, młoda dama pogodziła się z niesympatycznym, na wskroś przesiąkniętym kozłem produktem. Z głośnym parsknięciem zwróciła się do mnie bokiem, jak gdyby proponując, żebym jej dosiadła. Ostrożnie podrapałam kobyłę za uchem. Spodobało się

– pochyliła łeb, prezentując mi szyję z krótką, jak gdyby przystrzyżoną grzywą. Głaskanie wprowadziło klaczkę w lekki trans: szerzej rozstawiła nogi, na wpół zamykając kocie oczy.

Poczułam się śmieiej, standardowo oparłam się o kłęb, podskoczyłam. Pomachałam nogami i ...

po prostu się ześlizgnęłam. Kobyłka była wyższa od Stokrotki o dobra piędź, cała jakaś gładka i śliska, jak gdyby pokryta wężową skórą, a nie sierścią. W bezruchu z uprzejmą ciekawością patrzyła na moje zabiegi. Okazało się, że znalezienie się na niej bez strzemion nie było wcale prostsze od wbiegnięcia na lodową górę. Musiałam skorzystać z odwróconego wiadra (kobyła cierpliwie poczekała, aż je przyniosę). Jednak wystarczyło, bym się wyprostowała, żeby ślizganie i spelzanie na boki natychmiast ustało – giętki koński grzbiet jak gdyby dostosował się do mnie i nawet bez siodła tkwiłam tam wyjątkowo stabilnie. Gdy poczułam się pewniej, lekko uderzyłam klaczkę piętami. Ta obrzuciła mnie spojrzeniem – mogłabym przysiąc, że jej wargi zadrżały w złośliwym uśmiechu – i ruszyła stępą, delikatnie i powoli.

Oczywiście zdarzyło mi się już jeździć wierzchem bez siodła, ale to było coś nowego. Nie czułam ani podrzutów, ani echa korków w pośladkach, kobyła jakby płynęła nad ziemią, nie odpychając się od niej kopytami. Jej boki, ściśnięte przez moje kolana, prawie się nie poruszały. Wydawało się nawet, że nie oddycha p bo oddechu również nie było słychać, nie licząc rzadkiego, pełnego pretensji prychnania, gdy potrzasała głową, by oganiać komary.

Mocniej ścisnęłam kolana, kobyła bez protestów przyspieszyła, jak gdyby całe życie spędziła pod siodłem i nauczyła się zgadywać życzenia jeźdźca bez ostróg i wodzy.

Wrażenie loty nasiliło się. Im szybciej biegła, najpierw kłusem, a potem w galopie, tym bardziej zlewała się z jeźdźcem. Wydawało się, że na martwo wrosłam w jej grzbiet, nie potrzebując siodła.

Przypadkiem spojrzałam w dół i poczuła, że oczy wychodzą mi na wierzch – porośnięta kwiatami polana dawno została za nami, pod kopytami przelatowały oczka i wysepki. Krzyczenie „prrr” w tym momencie wydało się równie bezsensowne, jak głupie. Nie wpadłyśmy w grzęzawisko wyłącznie dzięki ciągłemu ruchowi, dla którego wystarczają jeden albo dwa punkty chwilowego oparcia.

Okienko oczka. Skok! Wrażenie swobodnego lotu. Wzgórek po lewej- lewa przednia noga. Sucha wysepka po prawej – prawa tylna. Kłoda. Skok! Cios kopytem w locie. Zryw! Na drodze drzewo.

Skręt w powietrzu, niebo zmieszało się z ziemią, przed samym nosem mignęły mi suche gałęzie.

Zwalony pień. Skok! Skok!

Zmrużyłam oczy, złapałam rękoma za końską szyję i schowałam twarz w grzywie. Nie, kobyła nie próbowała mnie zrzucić, nadal stanowiliśmy jedną całość, ale świadomość, że ten monolit najpierw leci jak ptak, a potem bokiem frunie nad grzęzawiskiem z prędkością wiatru, przerastała moje siły.

W końcu kobyła się zatrzymała. Nie, nie spowalniała ani nie hamowała tylnymi nogami, po prostu stanęła i już, jak gdyby jakieś zaklęcie zmieniło żywą istotę w bryłę kamienia, która nie podlegała pędowi. Ja tak nie potrafiłam, więc niczym wór przeleciałam przez usłużnie opuszczoną szyję. Kobyła zarżała złośliwie, przeszła nad moim rozciągniętym ciałem, machnęła mi ogonem na pożegnanie i rozplynęła się w mleczej mgle Kozich Skoczuszek.

Podniosłam głowę i wysiliłam się, by splunąć jej śladem mułem, którego szczodrze zaczerpnęłam ustami. Ścieżka, na której leżałam była jedną bezpieczną drogą przez mokradła. Przeklęta kobyła jak po suchym lądzie przemknęła przez samo serce bagien, których wiecznie głodnych czeluści boją się nawet żaby.

-Wolha! Wo-o-olha!!! – krzyknął ktoś w oddali. – Dzie jeste-e-eś? Hej!

-Hej! – odezwałam się, widząc karmazynowy punkcik w miejscu, z którego dochodził dźwięk. –

Kuźma-a-a! Na ścieżce jestem! Chodźtu-u-u!

Uczeń zielarza, który miał do dyspozycji pochodnie, a na dokładkę wyrosła na tych mokradłach i każdy wiecheć trawy znał z imienia, potrzebował dobrej półgodziny, by przejść tę jedną trzecią wiorsty po ledwie widocznej ścieżce. Wieczorem mgła troskliwie otuliła Skoczuszki żółtą kołdrą, przyspieszając nadejście nocy.

-W porządku? – Chłopak przerzucił pochodnię do lewej ręki i pomógł mi się podnieść.

-Chyba tak. – Potarłam kość ogonową i podciągnęłam kurtkę. Spodnie nasiąknęły wodą z mokradeł.

-A gdzie czarnuszka? – Kuźma czujnie kręcił głową, jak gdyby obawiając się, że z mgły za plecami wychylił się wredny pysk i ugryzie go w tylną część ciała.

-Uciekła ścieżką w przeciwnym kierunku – nieco minęłam się z prawdą. Wydawało mi się, że kobyła przyczaiła się we mgle i obserwuje nas wszystkowiedzącymi bursztynowymi oczyma. –

Fajna, nie sądzisz? A jaka wytrzymała! Z pięć wiorst z galopem i nawet się nie spociła. Co tam, nawet oddechu nie straciła!

Za to ze mnie pot lał się strumieniami, co prawda z nieco innego powodu.

-Fajne kobyłki nie hasają po mokradłach – burknął Kuźma. – A poza tym to żadne konie są, tylko biesy z tych moczarów. Pojawi się taki przed uczciwym człowiekiem, przywabi, pozwoli się złapać, a potem zanurkuje w oczku razem z jeźdźcem.

-Oj daj spokój przecież nie zanurkowała. – Zbyłam go niepewnym gestem.

-Nie zanurkowała, bo poczuła w tobie wiedźmę – skonkludował Kuźma po chwili namysłu. – A przeciwko wiedźmie to żaden bies nie da rady, więc nie próbowała utopić.

-Kuźma ty wiesz, że bajasz jesteś? – zaśmiałam się – powiedziałabym, że biesy wcale chętnie komunikują się z wiedźmami w celu pozyskania onych na obiad. I wcześniej czy później jakiś bies będzie miał ze mnie, a i z ciebie również zakąskę, tak że nie licz na wiedźmią odporność ani na nieświadomość biesów, jeśli o tę kwestię idzie.

Kuźma ukradkiem uczynił znak krzyża. Powoli ruszyliśmy z powrotem, chłopak nisko trzymał

pochoźnię, oświetlając ścieżkę. Pot ostygł i wysechł, ale czułam jakby we wnętrzu mokrych spodni hulał lodowaty wiatr. Trawa nie zdążyła przeschnąć po deszczu i szcudrze dzieliła się wodą z moimi butami. Przy czym do lewego zmieściło się więcej, chlupotał głośniejsze i bardziej paskudnie. Wlokłam się za Kuźmą, bezmyślnie licząc kroki. Sto, dwieście, pięćset... w oddali pojawiły się Ostępy, długie, wąskie chmury drapieżne ślizgały się nad drzewami, jak gdyby szukając ofiary. Pochodnia dymiała i prychała, powoli dożywając swego kresu.

-Słyszałaś? – szepnął chłopak, bardziej szcękając zębami, niż poruszając językiem. – Wyje.

Melodyjnie, tęskne i przenikające do kości wycie nacierało falami jak daleki przyptyw, chwilami rozcieńczając nocną ciszę, a chwilami przeplatając się z wiatrem.

-Tam – machnęłam ręką w kierunku północy, próbując nie poddać się panice. – Zbliża się.

Ciekawe, idzie po suchym czy płynie nad grzędzawiskiem? Jeżeli wiesz, która to ścieżka, to możemy pójść mu na spotkanie. Nie chciałbym go minąć, potem całą noc czekać na przyjaźnie wyszczerzony pysk za oknem.

-Przecież st-t-tamtąd przyszedliśmy – Twarz Kuźmy w mroku była biała jak surowy naleśnik. –

Ścieżka zakręca...

-Doskonale! - Rzeczowo rozgimnastykowałam palce – Czyli idzie za nami. Zwolnij odrobinę, ale nie

zatrzymuj się, żeby nie poczuło, że coś jest nie tak.

Kuźma poparł tylko drugą część plany, ale nie ośmielił się porzucić mnie pośrodku moczarów.

Podróż zrobiła się znacznie weselsza, nogi wprost niecierpliwiły się, by z werwą ponieść do przodu.

Do lasu pozostało około dwustu kroków, gdy pochodnia kichnęła i zgasła. Rozżarzony węgiel na końcu pociemniał, jak gdyby wchłaniając oddane wcześniej światło.

Zastygliśmy w miejscu. Nad grzęzawiskiem mrugały do siebie błotne ogniki, gdzieś niedaleko beczał nieznośny kozioł. Potem zamilkł, ale wycia również nie słyszeliśmy.

-Został z tyłu? – z nadzieją szepnął Kuźma.

-Skrada się – ucięłam bez cienia litości. – Jak stoisz z magią praktyczną?

Zielarz desperacko przełknął ślinę, co z dużą dozą prawdopodobieństwa nie oznaczało odpowiedzi pozytywnej. No cóż, zapewne dyscypliny stosowane na były jego mocną stroną.

-W takim razie przynajmniej nie płacz się pod nogami – westchnęłam. Podkasałam rękawy i zaczęłam pstrykać na przemian palcami obu rąk, zawieszając w powietrzu kule pulsarów.

Nie chciałam zdradzać żywołakowi naszej dokładnej lokalizacji, więc zapalały się z opóźnieniem, po tym jak odleciały na odległość jakiś dwudziestu łokci. Zdążyłam stworzyć dziewięć sztuk, gdy rzadkie stukanie zębów Kuźmy, przeszło w drobniutkie szczęknięcie i niewyraźne memłanie. Jego palec wskazujący trząś się w takt.

Świecąca kulka spoczęła na koniuszku nosa wyraźnie zasmuconego żywołaka, który przylgnął do ścieżki, niezbyt zadowolony z wykrycia. Szczęki zwały się z trzaskiem. Ale pulsar lekko niczym piórko wyslizgnął się z paszczy i zawisł w niewielkim oddaleniu.

Żywołak przypominał małego biegacza – jeżeli powiększyć tego ostatniego do rozmiarów niedźwiedzia. Wydawało się, że szyi nie ma wcale, głowa z paszczą pełną ogromnych zębów od razu przechodziła w kwadratowy tułów pokryty skołtunioną sierścią. Solidne tylne łapy były ze dwa razy krótsze od przednich, co dawało wrażenie że stwór porusza się w kucki.

Z bliżej nieznanego mi powodu poczułam nagle przyływ wiary w jego zdolności połykania i postanowiłam nie czekać, aż mi je osobiście zademonstruje. Uderzyliśmy jednocześnie – ja użyłam mojej ulubionej fali ognia, a Kuźma zaczął z wycuciem recytować jakieś zaklęcie. Nie bardzo dało się ono rozpoznać w takim dramatycznym wykonaniu, ale o dziwo zadziałało: ja i uczeń zielarza wylądowaliśmy na ziemi, a potwór ledwie się zachwiał. Fala przeszła nad jego łbem, przecięła niebo wysokim łukiem i zgasła, pozostawiając po sobie lekką chmurę dymu.

-Przecież cię prosiłam! – wydarłam się. Czasu na wyjaśnienia nie było, zerwaliśmy się na nogi i rzucili różne strony: ja ścieżką do tyłu, obok osłupiałego na widok takiej bezczelności żywołaka, Kuźma do przodu, z braku innej drogi.

Stwór niezbyt chciał się oddalać od moczarów, a może po prostu lubił dziewczęta w sosie własnym. Bez wahania odwrócił się i skoczyła za mną, dławiąc się ochryplym rykiem. Poruszał

się długimi susami, w każdym mieściło się pięć albo sześć moich kroków, ale ciężko i niezgrabnie, więc dogonił mnie dopiero po chwili. W mroku nic nie widziałam i biegłam na czują, próbując nie myśleć o trzęsawisku po obu stronach ścieżki. Nogi ślizgały się po mokrej turzycy.

Żywołak z uczuciem sapał za moimi plecami, wzmacniając sobie apetyt przed kolacją. Nie miałam najmniejszego zamiaru dokarmiać głodującego przedstawiciela miejscowej fauny.

Poczekalam na odpowiedni moment, po czym gwałtownie wyhamowałam, przykucnęłam i wykonałam fikołka do przodu, pod nosem mruczając zakłęcie. W górze w wysokim skoku minął

mnie zdziwiony żywołak, który wylądował i ryknął z wściekłością: z symetrycznych dziur w jego brzuchu chlastały ciemne strumienie, a z sierści dookoła leciał

dymek. Nie mając zbyt wielkich złudzeń, poderwałam się na nogi i bez oglądania się za siebie pobiegłam z powrotem. Oczy jako tako przyzwyczyły mi się do mroku, mokradła lekko fosforyzowały. Ścieżka wydawała się ciemnym strumieniem, który wił się po srebrzystej łące.

Wszelkiej maści potwory są nad wyraz wręcz wytrzymałe i nawet wypatroszone od razu, a po otrzymaniu śmiertelnej rany będą do ostatka prześladować swojego zabójcę. Może się okazać, że nawet do rana – bo mrok opiekuje się siłą nieczystą, tak więc w nocy całkiem nieźle czuje się nawet zombi, który jest martwy niejako na wejściu. I to właśnie dlatego doświadczeni magowie zalecają znalezienie zawczasu wysokiego drzewa, by w razie czego spokojnie przeczekać na nim sprawiedliwy gniew miotającego się w agonii stwora. Wcześniej śmiałam się z takich rad, ale w tej konkretnej sytuacji nie miałabym nic przeciwko tobie, by trochę oszukać, lekceważąc takie drobiazgi, jak honor, sławę i gromkie imię wzniesione w kroniki.

Ranny żywołak poruszał się wolniej, ale za to paskudnie i niedwuznacznie ryczał pełnym głosem, odbierając mi jakąkolwiek chęć, by się poddać i prosić o wybaczenie. Do Ostępów pozostało mniej niż tysiąc kroków, do żywołaka – ze trzy skoki. W celu natychmiastowego przemieszczania się na kilkaset łokci należało zatrzymać się przynajmniej na momencik i wprowadzić w stan spokojnego skupienia. Wątpiłam, czy uda mi się wystarczająco uspokoić, mając wściekłego potwora za plecami, w związku z czym pokonywałam pozostałą odległość na własnych nogach, desperacko wyliczając w głowie dostępne zakłęcia. Niestety, większość z nich była wysoce specjalizowana i obliczona na konkretny gatunek potwora, a żywołak nie dawał się sklasyfikować.

Odległość pomiędzy nami wyraźnie się zmniejszyła. Na twarzy czułam podmuchy wstrętnego wiatru, na plecach – równie nieprzyjemny oddech. Ech, szkoda, że miecz został w pustelni.

Zahartowana stal czasami okazuje się bardziej skuteczna niż magia, załatwiając potwora na miejscu. Zwizualizowałam sobie linkę naciągniętą w poprzek ścieżki, skoczyłam nad nią i z zadowoleniem usłyszałam ciężkie łupnięcie o zimie. Tupot umilkł, ale zaraz wznowił się, brzmiąc podwójnie entuzjastycznie, w chwili, gdy zabrałam się do powtórzenia skutecznej sztuczki, poślizgnęłam się w kałuży błotem upadłam na kolana i zrobiłam jedyne, na co miałam czas –

odwróciłam się i rzuciłam w kierunku żywołaka kulę ognia, która rozplasnęła się na jego pysku.

O dziwo, metoda okazała się skuteczna – oślepiony potwór okręcił się w miejscu, rycząc, plując i orząc pysk pazurami. Z pulsara odkrywały się ogniki wymieszane z sierścią. Powoli odpełzłam do tyłu i próbowałam stanąć na nogach, co niezbyt się udawało z racji pechowo skręconej kostki.

Najmniejszy ruch powodował gwałtowny ból, a czucia w stopie nie miałam zupełnie.

I nagle z mroku wyskoczył kozioł, który rozejrzawszy się dookoła, potrząsnął brodą, wybrał nie poznany jeszcze tyłek i bez chwili wahania ruszył w jego podbój. Bodnięty rogami żywołak zachwiał się, wykonał majestatyczny piruet nad ścieżką i wpadł łbem do grzędawisk, ochlapując mnie stęchlą wodą. Potem jeszcze długo rzucał się i machał tylnymi łapami przy akompaniamencie syczenia i bulgotania pęcherzyków gazu moczarowego, który zebrał się w warstwie bagniska, i pogrązał się coraz głębiej i głębiej, aż znikł całkowicie.

Zapanowała cisza tak nagła, że aż dzwoniła w uszach. Minęło trochę czasu, zanim przebił się przez nią szelest wiatru w puchatych grzywkach turzycy, głosy ropuch, przeciągłe krzyki ośmielonego baka i odgłos niepewnych kroków.

Pulsar Kuźmy przypominał wychudzonego świetlika, który miał wydać z siebie ostatnie tchnienie i przyzwany został raczej w charakterze wsparcia moralnego niż celu walki z mrokiem.

-G-g-gdzie? – wyraźnie nie mając na myśli zagubionego w pośpiechu buta.

W milczeniu pokazałam spokojne już oczko.

-N-nie wylezie? – wyjąkał.

Wzruszyłam ramionami. Trzęsawisko syto chlapnęło. Kozioł drobnym truchtem podbiegł do mnie i złośliwie zabeczał do ucha. Podniosłam wlokący się za nim sznurek i pokazałam chłopakowi:

-Twoja robota?

Skinął głową:

-Pomyślałem, że go puszczę. A nuż odwróci uwagę żywołaka? I jeszcze mnie zdążył ubóść, zaraza. Ja go za to nogą w tyłek... znaczy się kierunek wskazałem...

Skoro już mówimy o nogach... Z zaciśniętymi zębami rozmasowałam stopę, po czym pokręciłam nią z boku na bok. Kostka głucho strzeliła, coś ukuło od środka, puściło. Kuźma pomógł mi wstać, złapał kozła i we trójkę pokuśtykaliśmy w kierunku lasu.

Znowu zaczęło padać, ale w Ostępach przypominał o tym tylko miarowy szelest liści nad głową.

Zielarz czekał na nas przy drzwiach samotni z pochodnią w ręku. Tyśka zwinęła się w zawstydzony kłębek u jego boku. Kozioł radośnie rzucił się do przodu, jednak razem z Kuźmą zawiśliśmy na sznurze i go przystopowaliśmy.

-Bogom niech będą dzięki, wróciliście! – Staruszek z ulgą zgasił pochodnię o ziemię i odstąpił w bok, wpuszczając nas do środka.

Kozioł został na zewnątrz, się rozumie. Zawołaliśmy również Tyškę, ale odmówiła – postawiła ostre uszka i uciekła w mrok myszkować.

-Słyszałem jak coś wyło...

-A my nawet widzieliśmy co – weszłam mu w słowo – Ale, niestety, nie udało nam się wyrwać kłów w charakterze trofeum...

-Nie ma kłów, nie ma honorarium – zielarz zacytował obowiązujące powiedzenie. Wśród magów praktyków rzeczywiście zdarzało się za dużo oszustów, by można było wierzyć im na słowo i kilka razy płacić za tę samą niby zabita strzygę.

Oddałam głos Kuźmie, który stanął na wysokości zadania i opisał całą bitwę w ten sposób, że zarówno zielarz, jak i ja słuchaliśmy z otwartymi ustami. Walk przy użyciu potężnych zaklęć i znalezionych w pobliżu pałek wystarczyłoby na dziesiątkę bitew. Czasami chłopak gubił wątek i zaczynał opowiadać w pierwszej osobie, a żywłak dwoił się, atakując jednocześnie od prawej i od lewej.

Zielarz zauważył moje szczere zdumienie, roześmiał się, przerwał skonfudowanemu Kuźmie i zażądał mojej wersji wydarzeń. Ja przeciwnie, spróbowałam streścić je możliwie bardziej sucho i zwięźle – nie byłam z siebie zadowolona i zwycięstwo składałam na karb szczęścia, nie umiejętności.

Lecz moja opowieść zaskoczyła zielarza jeszcze bardziej. Widocznie Kuźma popełniał

„bohaterskie czyny” dziesięć razy dziennie i mag uznał, że w najlepszym wypadku widzieliśmy żywołaka kątem oka albo nawet nie trudziliśmy się, by go obejrzeć, uciekając bez oglądania się za siebie.

-Oczywiście uważałem i nadal uważam, że to nie jest praca dla kobiety – powiedział staruszek po chwili milczenia, - Ale pani radzi sobie z nią lepiej niż najlepszy mężczyzna.

Pogardliwym prychnięciem skwitowałam pierwszą część zdania, w głębi duszy zadowolona z pochwały. Kuźma w natchnieniu zaczął opowieść od nowa, wypełniając potworami całe mokradła

– chyba ćwiczył swój jutrzejszy występ przed ufnymi wiejskimi dziewczętami.

Przebrałam się i ulokowałam na leżance koło pieca z kubkiem ziołowego wywaru w rękę, otulając kolana wilczym futrem – trofeum, które Kuźma przyniósł z polowania. Futro było siwe, czyli prawdopodobnie oddane przez wilka dobrowolnie. Wywar przyrządził sam bakałarz, nad kubkiem unosił się słodki aromat miodu oraz polany z poziomkami. Sam napój był lekko gorzkawy, ale spokojnie nadawał się do siorbania małutkimi łyżkami. Akurat to czego potrzeba do studiowania grubej książki z wiedzy naturalnej. Sumienie przeglądałam tomiszcze kartka po kartce, studiując obrazki w poszukiwaniu znajomych rysów. W końcu kuzyn naszego nieżyjącego już przyjaciela odnalazł się w rozdziale „Stwory z moczar, dziwaczne i wymierające”. Przeczyściłam gardło i

przeczytałam na głos:

-„Biegacz duży, zwany też wrykiem, połykiem i moczarnym rechotaczem”. Niczego sobie rechotacz, radość aż z niego tryskała. „Wyjątkowo wredny”. To też zauważyliśmy. A co dalej?

„Pożera także ludzi i ptactwo, zwierzęta, gady wszelaki i stwory inne”. Aha! A ja myślałam, że on na diecie jest. „Na biegacza to trza iść we dwoje, a lepiej we troje, a jeszcze lepiej całym ludem, ile go jest”. Cenna wskazówka. Ciekawe dlaczego? A, tu jest: „Póki biegacz jednego przełyka, drugi go cepem przez łeb albo mieczem, albo laga...”. Rety, nawet łopatą można. „A to powiedziec mu zagadkę: „Czego nie powiesz na gwoździu?”

-Hm, a czego? – zaniepokoił się Kuźma.

-Nie napisali. Dobra, czytam dalej. Jakoś nie naukowo żeśmy go ubili, nawet mi trochę wstyd. „

Póki biegacz będzie myślał, cepem go po...” czyli nie musisz znać odpowiedzi, chyba, że ci się nie uda załatwić go pierwszym ciosem. Ta książka chyba ze trzysta lat ma, we współczesnych podręcznikach niczego w tym stylu nie uświadczysz.

-Pewnie wymarł – zasugerował Kuźma.

Przekartkowałam rozdział do końca.

-W czasie gdy pisano ten almanach, spotykało się go wyłącznie na nizinach Krainy Jezior, koło Gór Grzebieniowych.

Zielarz w zamyśleniu pogłaskał się po brodzie.

-Po tamtych moczarach już nawet śladu nie ma, osuszyli. Paskudne choroby się stamtąd pleniły, wszelkie potwory wyłaziły, a Jesionowy Gród najbliższy, elfy w końcu nie strzymały. Coś sama zadziały, a w czymś Konwent Magów pomógł. Teraz tam podmokłe łąki, a latem jest dość sucho, więc potwory powymierały.

-A może nie powymierały, tylko się zebrały i przeniosły do nas? – wtrącił się Kuźma, który w skupieniu ślęczał nad nowym butem. Starego jednak nie znaleźliśmy i nie bardzo nas ciągnęło, by iść szukać.

-Już ze dwieście lat minęło, stwora powinna się ujawnić wcześniej. – Zielarz trzasnął się dłonią w kolano. – Oż, mój stary pusty łeb, zapomniałem kuty zamknąć, a Tyśka w nocy wychodzi na polowanie! W dzień przy nas, wredota jedna, nie rusza, a tylko się człowiek zagapi i już po całym podwórku puch fruwa.

Kuźma pochylony nad skrawkiem skór, udał, że nie słyszy i mag ze stękiem narzucił płaszcz, zapalił pochodnię i sam wyszedł w noc.

-A zaklęcia na niego nie działają? Tylko łopata? – zapytał chłopak.

-Tutaj masz podanych kilka ogólnych zaklęć, ale nie zamiast, tylko jako dodatek do czynu.

Kuźma się nastroszył:

-Wolho, a czy ty jesteś pewna, że on ... tego, no...

w końcu dla niego trzęsawisko to dom rodzinny, zaliże rany i znowu wylezie.

-Mówi się o potworach z mokradeł nie dlatego, że one mieszkają w trzęsawiskach ajko takich, lecz dlatego, że albo są zdolne do chodzenia po nich, albo potrafią wyczuć twarde kępki. Nawet mawki mieszkają w oczkach z wodą i unikają wciągającego błota. – Ponieważ nie więcej ciekawego w woluminie nie było, zatrzasnęłam go z impetem. O nowych i ponownie ujrzanych gatunkach potworów należało poinformować Konwent Magow, jednak niw wątpiłam, że zielarz zrobi to za mnie. Gdy się nieco uspokoi.

-Koniec, koniec mojej cierpliwości! – wydarł się wyżej rzeczony już od progu, potrząsając podartym rąbkiem szaty. – Kuźma!!

Uczeń, który z przestachu aż podskoczył, został złapany za kark i zaciągnięty do otwartych drzwi, przez które groźnie zaglądał kozioł z kłębkim szat na rogu.

-Żeby nad ranem śladu po nim tutaj nie było! Rób co chcesz! Sprzedaj, podaruj, podrzuć komuś, wyprowadź gdzie dalej do lasu i wypuść, ale żebym więcej go nie widział!

-Ale tam taki mrok, że koniuszka nosa nie wi-da-a-ać! – rozpaczliwie zapłakał Kuźma, trzymając się futryny.

-Żywołaki załatwiliście, na moczarach już jest bezpiecznie. Weźmiesz sobie Tyśkę, pochodnię, kuszę. Jeśli napotkasz jakiś grabieżców, to na kolanach masz ich błagać, żeby cię obrabowali z ostatniego kozła... – Mag nie zwracając już uwagi na nieśmiałe protesty ucznia, bez krzty litości wystawił go na zewnątrz, wpychając w ręce kurtkę.

Nie powiedziałam nawet słowa w obronie naszego wybawiciela.

Rozdział siódmy

Blade poranne słońeczko zajrzało przez okno i musnęło moje powieki wciąż jeszcze zimnymi promieniami. Nie miałam najmniejszej ochoty wstawać, ale sen gdzieś zniknął, a Tyśka, która nieznanym mi sposobem domyśliła się, że już nie śpię, wskoczyła na leżankę i zaczęła lizać mnie po twarzy. Kiedy w końcu udało mi się odepchnąć skądinąd wcale przyciężką kicię, z szerokim ziewnięciem usiadłam na łóżku i przeciągnęłam się. Czyżby nad Ostępami wreszcie się roz pogodziło? Tak to wyglądało - na oślepiająco błękitnym niebie nie było nawet malusieńkiej chmurki.

Słoneczny kwadrat na podłodze zniknął. Czarny pysk powąchał parapet, zdecydowanie rozsunął zasłony i zajrzał przez okno.

Nawet się nie zdziwiłam:

- No dobra, a ty czego chcesz?

Pysk prychnął z oburzeniem. Jak to czego, zdawał się mówić. Tak dobrze cię wczoraj przewiozłam, gdzie moja nagroda?

Kobyła z ciekawością obejrzała pustelnię, powąchała i zabrała się do żucia pęczka palącego pieprzu, który zwisał z sufitu tuż przy oknie.

- No i jak, smakuje? - spytałam złośliwie.

Niczego sobie, kobyła oblizwała się i złapała kilka głębokich oddechów sparzonym pyskiem. Co my tu jeszcze mamy? Ojej, jaki fajny bukiecik tam dalej na ścianie wisi!

- Zgiń, przepadnij, siło nieczyste! - oprzytomniałam i rzuciłam poduszką w kierunku bezczelnie otwartej gęby. Jeszcze tego brakowało, żeby ta wszystkożerna bestia pochłonęła lecznicze zielniki moich gościnnych gospodarzy!

Kobyła z łatwością uniknęła trafienia i mimo wszystko zdążyła zgarnąć z gwoździa pęczek jakichś ziółek z małutkimi igiełkami listków oraz pęczkami błękitnych kwiatów.

Kuzma, przeciągając się, wyszedł na ganek i zadławił się ziewnięciem. Zza rogu pustelni sterczał

łśniący koński zadek, z zaferowaniem machający ogonem. Na widok wylatującej przez okno poduszki i słysząc mój gniewny okrzyk, pośpieszył na ratunek swoim bezcennym ziołom, próbując odciągnąć intruza za najbardziej, z jego punktu widzenia, odpowiednią część ciała.

Kwik przerażonej klaczki, łomot, wrzask, świszczący odgłos lotu i głuchy upadku, a potem niecenzuralne przekleństwa oraz stukot kopyt. Podbiegłam do okna. Kuzma siedział na ziemi, jedną ręką pocierał obolałą pierś, a drugą groźnie wymachiwał w kierunku kobyły. Ta z kolei po oddaleniu się na bezpieczną odległość odwróciła się, zatrzymała i zarżała z urazą.

Na ten hałas z pustelni wyskoczył zielarz, przedstawiając sobą widok groźny i komiczny zarazem: długobrody staruszek z wypolerowaną do połysku laską trzymaną w obu dłoniach, w szlafmocy i białej, długiej koszuli. Kobyła syknęła na niego zupełnie jak rozsierdzona kotka, dając do zrozumienia, że za magicznymi akcesoriami nie przepada. Sam zielarz czarował wyjątkowo kiepsko, ale mając na podorędziu laskę, stanowił wcale solidne zagrożenie dla niezających się na magii przeciwników.

- Niech pan zabierze laskę! - krzyknęłam, ostrożnie wylaząc przez okno, pod którym bujnie pieniły się pokrzywy. - Ona się boi!

Kobyła z chrapnięciem zatańczyła w miejscu, ryjąc ziemię kopytami.

Boję? Ja?! Ha! Ty tam, natychmiast rzucaj tę swoją żalostną gałązkę, bo się zdenerwuję na poważnie! - mówiło jej zachowanie.

Zielarz pośpiesznie schował laskę za plecy.

- Wolho, czy jest pani pewna, że da sobie z nią radę? - zapytał niespokojnie.

Wzruszyłam ramionami:

- Moim zdaniem, jest przyjaźnie nastawiona.

Kuźma tak nie uważał. Nadal pocierał pierś i syczał z bólu, wyzywając winowajczynię od najgorszych. Chciałam zapytać, czy przypadkiem nie potrzebuje pomocy, ale po chwili namysłu zmieniłam zdanie. Mało prawdopodobne, by człowiek jedną nogą stojący w mogile zdolny był do tak długich i wymyślnych tyrad.

- Żebra całe?

- Niby całe, ale jaki siniak! Koszmar! - Kuźma odwrócił się do mnie, demonstracyjnie podciągając koszulę. Tia... Jeżeli wnioskować z kształtu siniaków, kopnął go nie koń, a przerośnięty kogut: na szerokiej piersi Kuźmy widniały, powoli zyskując śliczny odcień czerni, dwa wyraźne trójpalczaste ślady. - Wolho, pogoń ją w moczary, aby dalej! Ja ci prawdę mówię, bies to, biesowe nasienie! Pewnie nawet rogi jakieś tam ma!

Kobyła parsknęła z pogardą. Ostrożnie zezując na zielarza z laską, boczkiem - boczkiem podeszła do mnie i trąciła pyskiem w ramię, po czym zabrała się do obwąchiwania ubrania, schodząc coraz to niżej, jak sumienny celnik. Niestety, po kieszeniach nie poniewierało się nic jadalnego, który to fakt zauważalnie klaczkę zasmucił. Pochyliła głowę, obadała moje bose stopy i westchnęła z rozczarowaniem, owiewając kolana ciepłym oddechem. Po namyśle jednak pozwoliła się pogłaskać i po raz kolejny zachwyciłam się jej błyszczącą, idealnie gładką sierścią - włos do włoska, zgrzeblem tak się nie da ułożyć. Nigdy nieczesany ogon dawał się z łatwością podzielić na poszczególne kosmyki, nie wspominając już o szorstkiej szczotce grzywy, w której nie tkwił

ani jeden rzep.

Koniec końców „biesia” doszła do wniosku, że jednak mnie lubi, na co znaczący wpływ miała pełna miska jęczmienia, po którą bez najmniejszego żalu pobiegłam do przybudówki. Czarnuszka dźwięcznie schrupała wszystko do ostatniego ziarenka, z nadzieją nadgryzła brzeg miski, prawie zmieniając gliniane naczynie w stertę skorup, po czym miłościwie zwróciła się do mnie lewym bokiem, że niby dobra, włącz, pojeździmy sobie.

Ale wczorajsze biegi z przeszkodami czegoś mnie nauczyły. Przed skorzystaniem z jej uprzejmej propozycji przyniosłam z domku uzdę po Wiewiórcę, z wysiłkiem rozsunałam jedwabiste wargi i wepchnęłam w pysk kobyły żelazny pręt kielzna.

Kobyła się zdziwiła. Obmacała wędzidło językiem, po czym zacisnęła zęby i w zamyśleniu poruszyła dolną szczęką. Przenikliwy dźwięk przypominał zgrzyt noża po kamieniu, a z kącików warg wystrzeliły iskry.

W pośpiechu rozciągnęłam końskie szczęki, ale było już za późno. Po wędzidle pozostały wyłącznie

zniszczone pierścienie na uprzęży. Czarnula prychała i wyrywała głowę, chlapała śliną, ale zdążyłam obejrzeć sobie jej górną szczękę i nieco się przeraziłam: za rzędem nieskazitelnie białych zębów przyciskała się do podniebienia para zmijowych kłów. Prostowała je w razie konieczności - na przykład próbując dziabnąć mnie w palec podczas oględzin. W walce koni byłyby bezcenne. Mam nadzieję, że przynajmniej nie jest jadowita. No cóż, dowiem się za chwilę.

Wytarłam zaślinioną dłoń o spodnie, patrząc, jak kobyła próbuje zgarnąć i skonsumować zwisające wodze.

- O nie, kochana, ten rzemyk nam się jeszcze przyda. - Lekko pstryknęłam czarnulkę w nos, na co ona zamarła, z urazą połyskując żółtymi ślepiami. No tak, z tą biesią trzeba się będzie pilnować.

Żeby tylko jeszcze mnie nie zezała przy okazji. - Tłumaczę dla szczególnie opornych. To jest wędzidło. Jak ciągnę za lewy rzemyk, skręcasz na lewo. Jak ciągnę za prawy, to na prawo. Kiedy mówię „wio!”, biegniesz, „prrr!” - stajesz. Zrozumiałe?

Kobyła otrząsnęła się, dzwoniąc resztkami wędzidła.

- No to fajnie - mruknęłam, za trzecią próbą wskakując na jej grzbiet. - Wio!

Czarnulka prychnęła pogardliwie, udatnie odtwarzając „prrr!”.

- Czegoś nie rozumiesz? - Przechyliłam się przez pokrytą grzywą szyję i zajrzałam do lewego oka.

Ono zrobiło zeza w moim kierunku, ale nadal stałyśmy w miejscu. Też mi się znalazła jeźdźczyni

- cała końska postawa wyrażała dezaprobatę dla moich poczynań. Nawet nie potrafi ogłowia sensownie założyć, a już pogania.

Ponieważ nie miałam najmniejszej ochoty na kolejną wycieczkę krajoznawczą po mokradłach, nie ośmieliłam się nalegać na jazdę przy użyciu pięt, w związku z czym kobyła stała, ja siedziałam i obie z całych sił robiłyśmy wrażenie, że kontrolujemy sytuację.

- To może ja ją pokrzywę pod ogonem potraktuję? - wystąpił z konstruktywną propozycją niewychowany uczeń zielarza.

Kobyła drgnęła i ruszyła stępa - w jego kierunku. Chłopak spróbował schować się za pustelnią, ale klaczka natychmiast zmieniła kierunek i z pełną premedytacją ruszyła za porządnie przerażonym Kuźmą w pościg, który skończył się dopiero po trzech niepełnych okrążeniach, kiedy ścigany wpadł na to, by wskoczyć do środka przez okno i zatrzaskać okiennice. Gdy obiekt zasługujący na zemstę zniknął z pola widzenia, kobyła zwróciła swoją uwagę na jeźdźca. Nie od razu, ale udało mi się ją przekonać, że ruchy wodzy jednak coś znaczą. Bez kaleczącego wargi kielzna same rzemyki miały niewiele sensu, w związku z czym musiałam polegać na jej dobrej woli.

- I kto cię uczył, żeby się tak zatrzymywać? - burknęłam, pocierając obity bok, jednocześnie ciesząc się z faktu, że dobrze rozumiała i wykonała moją ostatnią komendę. - Daj już spokój z tymi sztuczkami z cyrku rodem! Przecież możesz najpierw lekko zwolnić, potem zwolnić jeszcze trochę,

potem przejść w stępa, a dopiero potem stanąć. Mam już dość spadania z ciebie!

Sądząc z chytrego wyrazu pyska, kobyła nie tylko nie miała tego dosyć, ale i czerpała z całej sytuacji niemalą przyjemność. No ale skoro i tak znalazłam się na ziemi, można było zrobić przerwę, tym bardziej że z pustelni dobiegał smaczkowy zapach skwarek, a Kuźma właśnie rozstawiał talerze dookoła plecionej podstawki pod patelnię.

Z apetytem pożerając smażoną kielbasę, rozpytałam zielarza o okoliczne miejscowości i polne drogi. Starmin i Ostępy leżały u podstawy trójkąta, który swoim ostrym kątem sięgał w kierunku Dogewy. Nie miałam najmniejszej ochoty wracać do Starminu, a na mojej mapie pokazano wyłącznie uczęszczane trakty. A raczej nie pokazano - pomiędzy Ostępami i Dogewą zieleniał

„las głuchy, wszelakich stforuf pełny”. Prócz „stforuf” w dziczy tuliły się samotne wioski, które zielarz z pamięci połączył przerywaną linią.

Kobyła kręciła się po okolicy, próbując na ząb wszystkiego, co się przytrafiło: czubków pokrzywy, dębowej kory, kolorowych kwiatków z pędu dyni na grządce i ogona Tyśki -

szczęśliwie na czas usuniętego z zasięgu zębów. Nawet wyraźnie niesmacznych przedmiotów nie wypluwała, tylko starannie przeżuwała i połykała. Pewnie po to, żeby następnym razem się nie pomylić.

Zielarz poszeptał nad otwartą dłonią i zaproponował kobyle bursztynowy kawałek klonowego cukru. Na iluzję się obraziła: po kociemu skrzywiła pysk, odwrócili się do ofiarodawcy ogonem i sobie poszła. Mag w zamyśleniu wrzucił cukier do swojego kubka, gdzie kawałek rozpuścił się dokładnie tak samo jak prawdziwy i na pewno nadał herbacie właściwy smak.

- Lubię słodocze - z uśmiechem wyjaśnił zielarz. - Ale gdzie ja tu w tej głuszy znajdę cukier? A poza tym on drogi, więc się ratuję iluzjami. Ale pani kobyły nie oszukałem. Wydaje mi się, że przed laską też się nie tak bez kozery cofała.

- Myśli pan, że dostrzegła jej magiczną aurę?

- Możliwe. Niektóre zwierzęta, na przykład myszy, czują magię, nie rozumiejąc jej istoty. Psy widzą przez zaklęcie prawdziwe oblicze, poznając swoich zaczarowanych państwa i szczekając na zmiennokształtnych, koty potrafią niszczyć zaklęcia samą swoją obecnością.

- A konie?

Zielarz przyznał, że jeśli idzie o konie, nigdy nie słyszał nic podobnego.

- Ale - dodał - akurat tę klaczkę trudno nazwać koniem. Jeżeli się nie mylę, jest córką czarnego rumaka władcy Dogewy?

- Tak, Wolta.

Dwa lata temu porzuciliśmy konie w sąsiedniej wiosce po przypadkowym teleporcie na parędziesiąt

wiorst.

Miejscowi błyskawicznie zaprzęgli do pracy bezpańskiego siwka, ale Wolt uznał, że nie ma zamiaru ciągać za sobą pług w celu polepszenia bytu okolicznych chłopów, i po dwóch tygodniach zjawił się w Dogewie - chudy, zdziczały i niemożliwie wręcz obrażony na swojego pana zdrajcę, jednak niedopuszczający do siebie nikogo innego. Potem Len opowiadał, że musiał

przez bity miesiąc podlizywać się rumakowi, zanim ten się nieco zmiłował i przestał udawać posłuszne i tępe zwierzę.

Po Stokrotce kobyła odziedziczyła wąską białą strzałkę wzdłuż pyska i bezczelne, chytre spojrzenie. Nie robiłam sobie również wielkich nadziei, jeśli idzie o charakter.

- A jak pani noga?

- Która? - nie rozumiałam. - A, drobiazg, od rana mnie nie bolała, to zapomniałam.

- A nie zaczarowała jej pani?

- Po co? Na miejscu nastawiłam. Przecież nie pierwszy raz skręcam.

Zielarz spochmurniał - prawdopodobnie chciał wypróbować na mnie jakiś szczególnie paskudny specyfik.

- No cóż - powiedział z niezrozumiałym smutkiem w głosie. - Miejmy nadzieję, że zyskała pani więcej, niż może stracić.

- Próbuje mnie pan wpasować w jakieś groźne starożytne proroctwo czy to po prostu takie ojcowskie ostrzeżenie?

- Nic, nic, to tylko gderanie staruszka - uśmiechnął się mag, wstając od stołu.

W końcu podziękowałam gospodarzom za gościnę, obiecałam ponownie skorzystać z niej w dowolnym dogodnym dla mnie czasie i po kilku próbach wspięłam się na kobyłę. Kuźma przytroczył moje sakwy i długo machał na pożegnanie, a Tyśka odprowadziła mnie do polany Ostępów, która płynnie przechodziła w polanę bezimiennego lasu. Tam zatrzymała się, miauknęła za mną i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku oraz dumnie uniesionym ogonem ruszyła z powrotem.

Las wydawał się głuchy tylko kartografom. W rzeczywistości przecinała go ogromna liczba ścieżek, zarówno wąziutkich, jak i z dwiema koleinami. Raz na czas jakiś wpadała mi w oko leżąca w słońcu skoszona trawa, gdzieś tam ciemniały krowie placki. Parę razy, wyjeżdżając na polankę, zauważałam dymek nad czubkami świerków i słyszałam dalekie meczenie owiec i szczekanie psów. Dokładnie tak, jak opowiadał zielarz, ludzie zamieszkiwali las w niewielkich grupkach, ale gęsto - pełen był strażnic i domków myśliwskich. Zresztą jak na razie nie wpadłam na żaden z nich, omijając wszystkie szerokim łukiem.

Kobyła nie to, żeby nie słuchała uzdy - raczej nie dawała powodu, by z niej skorzystać, nie skręcała

ze ścieżki i cały czas poruszała się miarowym kłusem. Obie byłyśmy całkiem zadowolone z tego faktu. Słońce już na dobre stało w zenicie, gdy ona po raz pierwszy zatrzymała się i cofnęła, zdziwiona raczej niż przestraszona. Ścieżkę właśnie przekraczał olbrzymi zajac.

Nawet nie przekraczał, tylko kicał po niej, wyglądając tak majestatycznie, że napotkane wilki powinny zacząć rozmowę z nim od skłonu do ziemi. Gwizdnęłam w palce, ale zajac tylko postawił uszy, ani myśląc przyspieszyć.

- Ech, ja tobym chciała kuszę - powiedziałam ze smutkiem. - Ale nie sezon. Wszędzie gołe polany.

Zajac odwrócił się, uważnie ocenił moją podniszczoną kurtkę i z pogardą zmarszczył nos.

- Leszy by go wziął - rzuciłam, kiedy długouchy zniknął w krzakach. - Już nawet zajace się ze mnie śmieją! Trzeba koniecznie zarobić na sensowne ubranie i siodło. No chodź, kochana, tu jakoś niedaleko powinna być wioska.

Niebawem ścieżka przeszła w udeptaną, a potem już wyraźnie pełną wybojów drogę, zniszczoną przez koła wozów. Koleiny wypełnione były deszczową wodą, która zebrała się nad warstwą brudu. Na obrzeżach rozlewała się ona nieskończoną kałużą, po której ni to chodziły, ni to pływały tłuste gęsi. Wioska nazywała się odpowiednio do wyglądu - Gnilec. Dziesiątka zniszczonych domków pod dachami ze słomy, rzadkie krzywe badyle, które miały wyobrażać sobą płoty, oraz wspólna studnia na samym środku traktu. Na najbliższym podwórku jakiś chudy mężczyzna powoli i smętnie rąbał drewno. Granatowy nos rąbiącego świadczył o jego gorącej miłości do napojów wysokowych domowej produkcji, a częste chybienie - o jej porannych skutkach. Z okna krzywej chatki co jakiś czas wyglądała solidna babina, której kwaśny wyraz twarzy na krótką chwilę dodawał chłopu animuszu do pracy.

Im mniejsza wioska, tym bardziej ciekawscy są jej mieszkańcy. Gdybym tylko przejechała obok ich domostw, mało kto by mnie zapamiętał.

Przy studni zeskoczyłam z konia, pokręciłam skrzypiącym kołem i wypełniłam flaszkę wodą, dostarczając miejscowym kumom tematów na co najmniej miesiąc plotek. Chłop odłożył topór, a baba wychyliła się przez okno do pasa.

- A niczego sobie kobyłkę panna ma! Patrzaj, jaka smołka - rozległy się szepty za moimi plecami.

- Hm, a co, może być i Smołka - zgodziłam się półgłosem. - Nie masz nic przeciwko?

Świeżo nazwana kobyła nie zgłaszała zastrzeżeń.

Do studni nonszalanckim krokiem podszedł widziany już przeze mnie mężczyzna. Nieuczestny i nieogolony, ze zgrabnie udekorowanym nosidłem na ramionach wyglądał dziko, ale widać nie wpadł na lepszy pretekst do zawarcia znajomości.

- A pani to pewnie by chciała i kobyłkę napoić? To ja naleję do kłody, niechaj sobie pije.

- Będę panu bardzo wdzięczna. - Uśmiechnęłam się. Chłop entuzjastycznie zakręcił kołem.

Poderwane z impetem wiadro z rozmachem stuknęło o wałek, zerwało się z łańcucha i smutno plumknęło w głębię studni.

- Zaraz przyniosę haka, wyłowimy - zrezygnowanym głosem obiecał mi chłop, podziwiając kręgi na dalekiej i ciemnej tafli wody.

- Szkoda zachodu. - Przechyliłam się przez krawędź i gestem przywołałam wiadro do siebie, po czym złapałam za usłużnie podstawioną mokrą rączkę. Chłop, zebrane już przy studni kobieciny, a nawet najbliższe krzaki zachłysnęły się ze zdziwieniem. Z niezmałym spokojem przechyliłam wiadro nad kłodą i postawiłam na cembrowinie.

- A pani to kto będzie? - ostrożnie zapytał chłop.

- Mag praktyk.

- Że hę?

- Czaruję za pieniądze - wyjaśniłam cierpliwie.

- A! - do rozmówcy dotarło. - Znaczy się wiedźma? Wzruszyłam ramionami. Może być i wiedźma. Powoli się człowiek zaczyna przyzwyczajać.

- Nie znalazłaby się dla mnie jakaś praca? Chłop przez chwilę poważnie zastanawiał się nad propozycją.

- No, u nas tu niby bez czarów wszystko dobrze. Deszczu mamy dość, rzepa sama rośnie, kury się niosą, na tamten świat nikt się nie wybiera, a ci, co już odeszli, to nie wracają.

- Podejrzanie sielankowa okolica - zażartowałam z lekkim rozczarowaniem. - Nawet zające same się do gara pchają, nie chcą koniowi drogi ustąpić.

Tłum ze zgodnym jękiem zrobił krok do tyłu, robiąc znak krzyża. Facet z nosidłem trzy razy splunął przez lewe ramię i natchnionym tonem oświadczył:

- Oj, pani wiedźmo, toć się pani znak objawił! Przecież takie zające to się ludziom nie bez powodu ukazują, nawet w zwojach proroczych jest napisane: „A jak napotkasz zwierzę, które przechodzi drogę, bój się i pokajaj, ponieważ ono grzech wielki czuje i smutek"! Znaczy się, że pani teraz koniecznie musi tego zająca przebłagać, bo się pogniewa jeszcze bardziej i naśle co złego, jaką stratę albo chorobę.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. „Zwoje prorocze", podstawa religii belorskiej, znalezione zostały jakieś trzysta lat temu przy ruinach jakiejś świątyni, sądząc ze wszystkich oznak, pomyślanej jako podziemna. Nigdy nie zostały do końca rozszyfrowane, w związku z czym na wszelki wypadek oddawano im cześć, wycytując pomiędzy wierszami wszelakie proroctwa i wskazówki dotyczące właściwego trybu życia. Konwent Magów uważał rzeczne zwoje za pierwszą próbę usystematyzowania wiedzy o magii - bo nie da się ukryć, że czterech wyznawanych bogów wyraźnie przypominało cztery żywioły, a niektóre modlitwy brzmiały podejrzanie podobnie do zaklęć. Ale

prosty lud docenił znacznie bardziej zrozumiwały koncept z bogami, którzy na dokładkę opiekowali się wszystkimi chętnymi i nie przejmowali magicznym darem, zatem w niedługim czasie, jeśli idzie o wpływy, świątynie dorównywały już Konwentowi. Zwykle obie dostojne instytucje współpracowały, uzupełniając się nawzajem. Mawiano też, że obecny archipatron wcale nie czaruje gorzej niż najwyższy arcymag, ale ob staje, że jest to dar boży. Całą resztę „obdarowanych” kapłani oskarżali o wszystko, co najgorsze, i przy każdej okazji próbowali sprowadzić na właściwą drogę, czyli przeciągnąć konkurencję na swoją stronę.

- I jak niby powinnam pocieszać tego wielce zasmuconego zająca? - zapytałam ostrożnie.

- A my tu, znaczy się, mamy pieńek na polance. Jak się na nim położy odrobinę chleba, tak z pół

bochenka, albo z pięć jajek, to się zajac pocieszy i przebiegnie drogę z powrotem. Tak to się ratujemy.

- I często on tak biega? - spytałam.

- Ciężkie nasze grzechy... - niezbyt konkretnie westchnął chłop. Pozostali mieszkańcy wsi zaczęli jeden przez drugiego rozpisywać mi psoty paskudnego szaraka, którego ciężka łapa bezlitośnie karała grzeszników, zabierając krowom mleko i nasyłając pryszczę oraz świerzb. Nawet przyjezdny kupiec nie uniknął kary - jego konie nieoczekiwanie poniosły, rozrzucając pełny wóz dobra po kałużach wzdłuż drogi.

Sprawę świerzbu potraktowałam wyjątkowo sceptycznie, a wozu nie miałam, dokładnie tak samo jak i powodów prześlągiwania całkiem nieznanego zająca, marnując na niego produkty spożywcze. Podziękowałam więc za informację i pożegnałam się uprzejmie, po czym z trudem wdrapałam się na kobyłę. Ale i tak nie udało mi się po prostu odjechać - na wyjeździe z sioła przyczepiła się do mnie zmurszała starowinka w czarnej chuście i ze łzami w oczach zaczęła błagać, żebym dogadała się z zającem po dobroci, „żeby mnie, takiej młodej i pięknej, nie trzeba było grzebać na koszt wsi”. Nawet próbowała wręczyć mi pięć sztuk ofiarnych jajek, prawdopodobnie zakładając, że tak wyjdzie taniej. Ale w tym miejscu moja cierpliwość się skończyła i punkt po punkcie wyjaśniłam babinie, że nie wierzę ani w bogów, ani w zające, a jeśli w kwestii tych pierwszych mogę jeszcze zmienić zdanie po jakimś robiącym szczególne wrażenie znaku, o tyle w kwestii tych drugich nie ma na to najmniejszej szansy. Nawet jeśli dostanę jajka gratis. I z wściekłością uderzyłam kobyłę piętami.

Oczywiście zajac ani myślał przebiegać drogi za darmo. Jednak pół wiorsty od wsi Smółka gwałtownie się zatrzymała, podejrzliwie oglądając pustą ścieżkę. Zastrzygła uszami i machając ogonem, zastanawiała się przez dłuższą chwilę, po czym zdecydowanym ruchem skręciła w kierunku pobocza, zrobiła niewielki łuk i wyszła na drogę dwadzieścia łokci dalej.

Zaciekawiło mnie to, w związku z czym zlazłam z kobyły, owinęłam sobie wodze dookoła ręki i ruszyłam z powrotem. Smółka niechętnie przestawiała nogi, ale dokładnie na środku miejsca, które jej się z jakichś powodów nie spodobało, zarżała z rozczarowaniem i się uspokoiła.

Przykucnęłam, rozgarnęłam kurz i prawie natychmiast natrafiłam na suche źdźbło trawy, które wyrwano z korzeniem i położono czubkiem dokładnie w kierunku wioski.

- Cóż, Smółko, chyba rzeczywiście nie doceniałyśmy zajączka - powiedziałam w zamyśleniu i wstałam. - Wiesz co, wrócimy jednak do sioła i naprawimy ten poważny błąd.

Smółka domyślnie podstawiała mi bok, ja standardowo nie doskoczyłam i z cichymi przekleństwami podprowadziłam kobyłę do najbliższego pieńka.

Od razu za zakrętem trafiłyśmy na wiejskiego pijanicę, ewidentnie męczonego przez ciężkiego kaca. Na mój widok z rozczarowaniem zmiął w rękę pusty worek i ruszył w stronę domostwa, nie chcąc odpowiadać na podchwytliwe pytania: co z mojego dobytku spodobało mu się najbardziej i jaka jest w tym wszystkim rola zająca. Zauważyłam, że cała wieś z zapartym tchem oczekuje na wynik pojedynku „zajac kontra wiedźma”, ani myśląc wracać do swoich codziennych zajęć. Na widok mnie, całej i zdrowej, miejscowi westchnęli ze smutkiem, ale natychmiast odżyli, gdy spytałam, czy ktoś przypadkiem nie ma do sprzedania pół tuzina jajek.

Po uzyskaniu poszukiwanego delikatesu z pompą złożyłam go na pieńku koło polanki, z pewną drwiną w głosie przeprosiłam zająca za mój brak wiary i wróciłam do wioski. Odczekałam godzinę dla pewności, przy okazji kupiłam sobie wypatroszoną kurę na kolację i ponownie wyjechałam poza sioło.

Gdy tylko siedlisko zniknęło za drzewami, z krzaków wychynał poranny zajac - drugiego tak bezczelnego i wielgachnego nie było chyba na tym świecie. Z szacunkiem wstrzymałam kobyłę.

Długouchy szantażysta powoli, jakby robiąc mi łaskę, przeciął drogę, obejrzał się za siebie i chyba z trudem powstrzymał się od niegrzecznego gestu w naszym kierunku.

- Smolka... - Mściwie odczekałam chwilę, po czym gwałtownie potrząsnęłam wodzami. - Bierz go!!!

Zajac aż przysiadł, ale szybko się opamiętał i dał w długą, wysoko podrzucając zadek z krótkim ogonem. Dookoła ścielił się rzadki las z mnóstwem wzgórków, całkowicie niezdatny do jazdy konnej - chyba że koń wychował się na mokradłach i nie przejmuje się, iż może złamać nogę w borsuczej norze. Spod kopyt leciały kępy trawy, a w uszach gwizdał wiatr. Kobyła skakała szeroko i miękko jak kotka, bez trudu omijając drzewa. Doskonale wiedziała, czego się po niej oczekuje, więc ja musiałam tylko trzymać się jej szyi i unikać gałęzi.

Porządnie już przestraszony zajac zaczął robić uniki, kicać na lewo i prawo, ale Smółce zabawa się spodobała i z łatwością powtarzała wszystkie jego sztuczki. Zwierzak migał mi to z jednej strony, to z drugiej, bezskutecznie próbując dostać się do przykrytego zwałonymi drzewami parowu. W końcu kobyła udało się trafić go kopytem i zajac z impetem potoczył się po trawie, i tam pozostał w pozycji leżącej, zakrywając pyszczek łapkami. Kobyła usłużnie przysiadła, a ja pochyliłam się i podniosłam zająca za ciepłe, sprężyste uszy. Rzucił się ze zrezygnowaniem, ciężko sapiąc ruchomym trójkącikiem nosa.

- O kamień i będzie zupka z dziczyzny - powiedziałam pełnym uczuć tonem. - Przebiegamy wiedźmom drogę? Bawimy się w iluzje? Trawkę - widział rozkładamy na drodze, co by się koniom potem wilki zwidywały? Albo niedźwiedzie?

Zając zadrżał, schudł i zmienił kolor na zielonkawosiwy. Spod wyostrzonego pyszczka błysnęły drobne, iglaste ząbki.

- U was co baba, to wiedźma, a ja się mam niby znać - stwierdził leszy głębokim basem. - Puść te uszy, ja z nimi muszę dalej żyć!

Złagodziłam chwyt. „Zając” zachwiał się i usiadł, nie potrafiąc utrzymać się na nogach.

- Biednemu sierocie pożałowała jajeczek - burknął, obmacując się po dużo już krótszych uszach. -

A tak w ogóle to nieświeże były. Takie trzeba liczyć po dwa za jedno!

- Sieroty nie wybrzydzą - odgryzłam się. Imieniem leszego klęli ludzie od Winessy do Wolmenii. Ten element folkloru jakoby wiedział o wszystkim na tym świecie i regularnie podejmował wysłanych do niego gości. Chętnych do odwiedzania leszego z własnej woli za dużo nie było, w związku z czym ci do niego wysłani zwykle obrażali się i sugerowali, by wysyłający poszedł zamiast nich. W rzeczywistości leszy lubili poznęcać się nad zagubionym w lesie człowiekiem, prowadząc go w kółko po dziczy, ale nie gardzili, jeśli wyżej rzeczony zaproponował im poczęstunek z własnej flaszki albo podwiezienie na wozie. Czasami też zmieniali się w przystojnych młodzieńców i uwodzili dziewczęta, czego te ostatnie zwykle nie bardzo żałowały, biegając do lasu pięć razy dziennie. Na te drobne psoty magowie patrzyli przez palce, tym bardziej że leszy lepiej bądź gorzej powstrzymywali pozostałe nieczyste stwory i dbali o las.

- Podziękuj, że moja kobyła nie jest szczególnie strachliwa, bo jakby poniosła albo mnie zrzuciła, tobym nie marnowała czasu na gadanie. Od razu byłby dla mnie kołnierz z sierotki. A swoją drogą, dlaczego sierotki? Masz tu przecież taki las dookoła, że przez tydzień nie objedziesz.

- Ale on nie mój - niechętnie przyznał leszy - i właściciela ma, który mnie nie wpuszcza dalej niż do tej polanki. Tyle dobrego, że w ogóle toleruje, bo mógłby kopem w ogon poczęstować i tyle.

- No to co ci nie pasowało w rodzimym lesie? Tamtejsza ludność poczuła się rozczarowana zającem? - zasugerowałam z wrednym uśmieszkiem.

Leszy prychnął ze złością.

- Gdyby nie potrzeba, to już bym ci się przejmował tuzinem jajek! W tamtym lesie każdy jeden ptak mi daninę płacił, żebym nie trząsał drzew z gniazdami i ganiał wredne koty. Wyrzucili mnie stamtąd, nazłaziło się różnych potworów, samego, strach gadać! prawie zjedli. Musiałem odejść, żeby ich wiedźma wzięła...

- Oj, dzięki ci, łaskawco - parsknęłam, chociaż nie oczekiwałam, że leszy będzie klął własnym imieniem. - Choć nie da się ukryć, jeśli idzie o drapieżne potwory, że ostatnio trudno czysty kawałek ziemi znaleźć, nawet jak człowiek chce tylko splunąć. Z której góry to niby pełźnie?

- A ja tam wiem, jak ona się po waszemu nazywa? Góra to góra. Do połowy las, a dalej kamień.

Słońce zza niej wschodzi, to czubki aż się palą.

Na południu Belorii było sporo gór. Elgarski grzbiet ciągnął się wzdłuż całego wybrzeża. Ale słońce wschodzi, jak wszystkim wiadomo, na wschodzie, w związku z czym najprawdopodobniej mowa była o Górach Grzebieniowych, na spotkaniu Belorii, Ursinii i Jesionowego Grodu, krainy elfów. Znowu one, ostatni posterunek biegaczy! Oj, coś się tam niedobrego dzieje...

Pogrzebałam w torbie, urwałam kawałek pergaminu i naskrobałam na nim kilka zdań.

- Zaniesiesz ten list do Czarnotrawnych Ostępów, oddasz staremu magowi albo jego uczniowi.

Powiesz, że to od Wolhy Rednej. Na ich moczarach akurat zwolniło się miejsce po żywołyku.

Ponieważ puste miejsca mają zwyczaj się wypełniać, niechaj lepiej jajka giną. A przy okazji przypilnujesz porządku, jakby coś się niedobrego działo, to zameldujesz zielarzowi.

- Ale ja to nie bardzo spec, jak o mokradła idzie - nieśmiało przyznał leszy, drapiąc się za uchem.

- A jeśli mi się nie uda dogadać z mawkami? Przecież mnie śmiechem zabijają, leśnemu pieńkowi na stare lata przywidziała się zmiana zawodu... A poza tym reumatyzm...

- Nic, przystosujesz się. Mawki tam masz skromne, męskiej uwagi im brak, będziesz pierwszy chłop na mokradłach. Szybko cię wyleczą z reumatyzmu.

- Ech, a co ja mam niby do stracenia! - zdecydował się leszy i odważnie machnął łapą. - Dawaj swój paperek, zaniosę. I nie miej pretensji o te jajka, kiedy już się urządzę, to oddam orlimi!

- Zawsze tak mówicie - westchnęłam. - A potem się człowiek nie może nawet żabiej ikry doprosić. Ty mi raczej nazbieraj koszyk żurawin.

- Nawet całą beczkę! - uroczyście obiecał leszy i żywo wyobraziłam sobie tłum nieszczęśliwych mawek, które dostały miesięczny plan zbioru żurawin, ku przerażeniu wszystkich okolicznych bab.

Pożegnaliśmy się. Zając ruszył lasem, na przełaj, a ja pojechałam dalej i po jakimś czasie trafiłam na kolejną wioskę, większą i bogatszą. Mieli tam nawet własną wiedźmę, która potrafiła „krew magicznie powstrzymać, niegodną dziewczuchę wydać za mąż czy ducha odgonić”. Nie przejawiała najmniejszej ochoty podzielić się doświadczeniem, jeśli idzie o dziewczuchy, i nawet nie wpuściła mnie do domku, skrzekliwie klnąc zza drzwi. Sądząc z naiwności gróźb, miała naprawdę bardzo mgliste pojęcie o prawdziwej magii i obawiała się, że przy spotkaniu ze mną to wypłynie.

Jakaś tam robota się jednak znalazła - uleczyć krowę z mastitisu. Właścicielka nie do końca dowierzała obcej wiedźmie, więc stała w drzwiach obory, bujając dwójkę owiniętych w pieluchy niemowlaków, które darły się po kolei, nie cichnąc na moment. Nerwowe i bezskuteczne „śpij, maleństwo, śpij” raz na czas jakiś nabrzmiewało złowieszczymi tonami, które przerażały nawet mnie. Krowa bała się i kopała, nie pozwalając mi dotknąć bolącego wymiona, a w podziękowaniu tak walnęła mnie ogonem po oczach, że ryknęliśmy wszyscy czworo: ja, dzieciaki i krasula, która w trybie natychmiastowym na własnym krzyżu przekonała się o moich gorących uczuciach do niej.

Koniec końców musiałam zanoć w lesie: nie znalazłam następnej na mapie wsi, a na powrót

było za daleko i za późno. Rozpaliłam ognisko i przez ostatek wieczora do pierwszych gwiazd gotowałam kurę. Na oko, ptak grzebał w ziemi długo przed moimi narodzinami. Musiałam zadowolić się bulionem. Ugotowana kura zmieniła się w żółty kościsty monolit, który nie dawał

się ani rozerwać, ani naciąć w stawach przy użyciu noża. Obdarowana Smółka żuła ją przez bitą godzinę jak dziecko cukierka ciągutkę.

Noc była ciepła i gwiazdzista. Pachniało mchem i igłami, a nad moją głową na tle granatowego nieba z bzycczeniem przelatywały wypasione rude bąki.

Zasypiając, pomyślałam sobie, że wolny przydział ma jednak swoje niewątpliwe zalety.

W ciągu trzech kolejnych dni udało mi się natrafić na jeszcze cztery wioski. Co prawda tego, co zarobiłam, nadal nie wystarczało na kurtkę, ale po kieszeniach brzęczały drobniaki, więc śmierć głodowa mnie i Smółce nie groziła.

Widziałam coraz więcej jasnych stron pracy wiedźmy. Pochlebiali mi nieudawany szacunek w oczach chłopów i zachwyty dzieci. Śmieszyły nieco strachliwe szeptki za plecami, które przekonywały innych, że potrafię wszystko i jeszcze trochę. Nikt nawet nie myślał, żeby spróbować mnie obrabować, gdy spokojnie spałam sobie tuż przy drodze. Licząca z pół tuzina rozbójników leśna banda cierpliwie poczekała, aż się obudzę, po czym z wielkim szacunkiem poprosiła o uleczenie ich szefa z bardzo popularnej choroby zawodowej - strzały w tyłku. Za jej wyciągnięcie bezczelnie zażądałam pięciu kładni, obiecując zniżki przy ponownych i hurtowych wizytach.

Rozdział ósmy

Na szeroki trakt wyjechałam w okolicy Kamieńca i minęłam północną bramę miasta wczesnym popołudniem. W mieście, na wyłożonej kamieniem ulicy, nieco poniewczasie skojarzyłam, że moja kobyłka nie jest podkuta. Smółka natomiast wydawała się owym faktem w ogóle nie przejmować i po prostu tupała sobie po kamieniach, głucho i pewnie. Przekonałam kobyłkę, by podniosła nogę, obejrzałam kopyto i najpierw się przestraszyłam - rogową podeszwę przecinały dwa głębokie pęknięcia. Ale w tym momencie Smółka niecierpliwie poruszyła pęcina i kopyto rozłożyło się na trzy długie, haczykowane pazury, którymi nieprzyjaźnie strzeliła mi przed nosem.

Temat podków niniejszym uznany został za niebyły. Przypomniałam sobie, jak Wolt w tajemniczy sposób przenikał z boksu do boks... Teraz wiedziałam, że nic w tym tajemniczego, przecież on bez większych trudności wspinałby się nawet na dach, gdyby tam na niego czekała czarująca biała pięknotka.

Znalazłam najbardziej okazały budynek w okolicy i pewnym krokiem minęłam straż, w ruchu wykręcając kołnierz, pod którym błysnął znak cechowy magów praktyków - stalowa blaszka w kształcie tarczy z wybitym mieczem, skierowanym ostrzem do góry. W połowie klingi znajdował się ośmiopromienny pulsar, który płonął w słońcu, a fosforyzował w cieniu.

Nie pomyliłam się, budynek należał do miejskiej administracji. Na marmurowej podłodze leżały

wytarte dywany, przy zamkniętych drzwiach przestępowali z nogi na nogę petenci o pozbawionych krzty nadziei twarzach, którzy z braku lepszego zajęcia po raz kolejny czytali swoje skargi i donosy. Szarych ludzi nikt tu nie wpuszczał, w kolejce sterczeli dziesiętnicy straży miejskiej, kupcy i szefowie gildii rzemieślniczych. Piętra pilnowano jeszcze lepiej, w związku z czym musiałam przedstawić się, podać cel wizyty i chwilę poczekać, aż zostanę przyjęta.

Miejski mag mi się nie spodobał. Kamieniec zresztą miał problem z dyplomowanymi specjalistami, bliskość Dogewy znacząco ograniczała liczbę ochotników. Zmieniali się co dwa lata, z okazji końca stażu. Poprzedni został zagryziony - co prawda nie przez wampira, a przez kolegę maga, ale bynajmniej nie przydało to stanowisku popularności.

Obecny mag nie wyglądał, jakby był świeżo po studiach, chyba że na każdym roku spędzał trzy lata. Najpewniej zdążył zmienić kilka miejsc pracy, nie odniósł żadnych znaczących sukcesów i zdecydował, że woli być wielką rybą w małym oczku, nawet gdyby miało ono być niezbyt czyste.

Z koleżanką po fachu rozmawiał wyjątkowo uprzejmie, choć bez najmniejszego ciepła w głosie.

Co ty, dziewczynko, możesz takiego wiedzieć, o czym ja sam bym nie wiedział? - czytałam w jego oczach. Ja też nie uznałam go za godnego sympatii - jasnooki, niewyraźny, w niedającym się określić wieku, z pozbawionymi połysku rzadkimi włosami koloru zakurzonej myszy. Bezcenne znalezisko dla królewskich tajnych służb, dla których najpewniej i tak pracował.

Krótko poinformowałam go o podejrzanym zwiększeniu pogłowia stworów w okolicach Gór Grzebieniowych i zaproponowałam, by skontaktował się z Konwentem Magów, ale zostałam wysłuchana ze znudzonym wyrazem twarzy.

- Spóźniła się pani, Konwent jest dawno poinformowany. Dwa miesiące temu w jednej z górskich jaskiń znaleziono i bezmyślnie aktywowano wiedźmi krąg. Niestety, młody, niedoświadczony mag - ledwo powstrzymał się, żeby nie dodać: „Taki jak pani” - zapłacił śmiercią za swoją ciekawość, a kilka potworów wyrwało się na wolność. Nie będę udawał, stwarzają pewne zagrożenie dla miejscowej ludności i składam pani szczerze podziękowania za likwidację biegacza, ale mimo to nie widzę powodu do niepokoju. Krąg został rozebrany, a jeden czy dwa tuziny potworów nie wpłyną znacząco na lokalną ekologię.

Mag wstał i oficjalnie uścisnął moją dłoń, jednak nie usiadł z powrotem, dając mi do zrozumienia, że czas się pożegnać.

- Miło mi było pana poznać - mruknęłam z wysiłkiem.

Ciekawe, czy nazwałby wpływ biegacza „nieznaczącym”, gdyby ten pojawił się nagle za jego krzesłem? No dobra, informacją się podzieliłam, zatem mam sprawę z głowy.

Na korytarzu złapał mnie naczelnik miasta, gruby, jowialny, z nastrojem już poprawionym przy pomocy buteleczki wina albo i dwóch. Poskarżył się na zabieganie miejskiego maga, po czym podrzucił mi niewielką chałturkę - średnio wypasioną strzygę, która zagnieździła się na gruzach starego więzienia. Dogadałam się z naczelnikiem w sprawie honorarium, skierowałam kobyłę w

stronę gospody, po czym wypytałam miejscowych i udałam się odwiedzić moją przyszłą ofiarę.

Więzienie było zniszczone dużo bardziej, niż mi to opisano. Na dokładkę osiadło -

prawdopodobnie z racji tego, że jego lokatorzy mieli w zwyczaju tworzenie podkopów. Jeszcze trzy lata temu trzymano w tym budynku rozbójników i morderców, których skazano na dożywocie, więc czasu mieli pod dostatkiem. Przez jakiś czas strzyga żywiła się skazanymi, ale potem wpadła na to, że strażnicy mają mięso znacznie delikatniejsze, więc skończyło się przeniesieniem instytucji. Strzyga odpowiedziała na te działania akcją protestacyjną, w czasie której poważnie ucierpiał sędzia niezależny, który po nocy wracał z wesela swojej siostrzenicy.

Następny w kolejności był burmistrz, poprzednik mojego zlece-niodawcy. Mimo nieskończonej wdzięczności, którą ten ostatni żywił w stosunku do potwora, obiecana mi suma była nieco wyższa niż standardowe honorarium maga praktyka.

Przysiadłam na powalanej statui bogini sprawiedliwości, której to szary biust intrygująco wyglądał z gąszczu łopianów i łobody, po czym rozwinęłam zwój z planem. Tak więc strzyga zamieszkiwała piwnicę więzienia, która składała się z korytarza i kilku izb tortur. Prowadziły tam trzy wejścia: z jednego korzystali kaci i strażnicy, z drugiego więźniowie, a trzecim wynoszono ciała - było wyrąbane w ścianie z widokiem na smętny cmentarz porośnięty łubinami. Od pewnego czasu to właśnie trzecie wejście stało się dla strzygi bramą paradną - dwa pierwsze zawałone były cegłami i belkami: jakieś trzy lata temu pewien alchemik samouk spróbował

zlikwidować strzygę poprzez zniszczenie więzienia. Wybuch spowodował taki, że mury rozwinęły się jak pęk kwiatu. Strzyga przeczekwała całe doświadczenie w piw-nicy, a okoliczni chłopcy jeszcze przez miesiąc zbierali fragmenty cegieł z pól uprawnych i łatali słomiane dachy, przy tej okazji mamrocząc, co myślą o alchemiku. Teraz do gruzów z żadnej strony nie dawało się podejść. W jednym miejscu musiałam nawet otworzyć niewielki teleport, żeby przedostać się przez zwałowisko ze sterczącymi metalowymi prętami, w które zmieniły się kraty okienne.

Zdecydowałam się nie przeciągać. Jak mawia prosty lud: wcześniej przyjdiesz - wcześniej wyjdiesz. A jeżeli strzyga w dzień sypia, to jest to tylko i wyłącznie jej problem.

Drzwi prowadzące do podziemi były na wpół otwarte i troskliwie podparte cegłą.

Co za gościnna strzyga, pomyślałam, z pewną obawą schodząc po wilgotnych kamiennych stopniach. Dwóch ostatnich brakowało, jak gdyby ktoś je wydlubał i gdzieś wyniósł, nie zostawiając ani kawałka. Zagłuszyłam kroki zaklęciem i zeskoczyłam na zagruzowaną podłogę.

Wprost na mnie patrzył pustymi oczodołami szkielet rozpięty w dybach. Na kracie komina, który zachował się w całości, leżały małe i duże szczypce, wyjątkowo paskudnie wyglądające haczyki i pogięty metalowy but. Na ścianie wisiał zakurzony gobelin - grzesznicy w piekle entuzjastycznie liżący rozżarzone patelnie. Przez chwilę podziwiałam fantazje tkacza, po czym obejrzałam izbę, ale nie znalazłam w niej nic ciekawego i na palusz-

kach wyszłam na korytarz. Mimo zaklęcia kamienne kruszywo chrzęściło pod nogami. Zaklęłam

cicho, zatrzymałam się i z braku miotły zdjęłam z pleców miecz w pochwie, osiodłałam go, łapiąc się dłońmi za rękojeść, podskoczyłam i zawisłam w powietrzu (oczywiście można kwitować również bez użycia losowo wybranego sprzętu, ale jest to psychologicznie trudniejsze, a tak człowiek ma przynajmniej jakąś iluzję oparcia).

Z bezdźwięcznym rechotem, tak jak prawdziwa wiedźma powinna, poleciałam wzdłuż korytarza.

Czarne dziury otwartych cel migały po prawej i po lewej. Badałam je na odległość, wysyłając impulsy przy pomocy zaciśniętego w garści amuletu. Strzyga się nie pojawiła, za to dojrzałam wyraźny łańcuszek śladów w kurzu, które prowadziły w jednym kierunku od wejścia. O ile mi wiadomo, potwory generalnie nie uznawały butów, ani takich na podeszwie ze wzorem, ani nawet łapci. A tak w ogóle ten wzór coś mi przypominał...

Wzniosłam się pod sufit, obejrzałam sobie ciemny korytarz w szerszej perspektywie i zauważyłam, że na jego końcu coś podąża w moją stronę. Po chwili klient szewca przeszedł pode mną, ostrożnie rozglądając się na boki i kręcąc długim, wąskim mieczem. Opadłam za jego plecami i przez kilkadziesiąt łokci bezdźwięcznie leciałam jego śladem, aż światło z wpółotwartych drzwi pomogło mi rozpoznać czarną, splątaną czuprynę z długą łysą blizną w rejonie potylicy. No dobrze, jeśli on wraca, to strzyga już porzuciła ten świat. W przeciwnym razie wracałaby strzyga. Z westchnieniem ulgi pozwoliłam złowieszczemu wiedźmiemu rechotowi zalać korytarz. Lawina przekleństw, które spadły na mnie w tym momencie, mogła zestrzelić wronę w locie, ale na dyplomowaną wiedźmę nie podziałała.

- Kretynka! - Wal schował miecz do pochwy po nieudanej próbie wpakowania go w mój brzuch. -

Prawie mnie mymyrc trafił!

- Nie mów, że to ty jesteś strzygą! Zmieniłeś wizerunek czy jak?

- Czy jak - pochmurnie odburknął troll. - Znalazłaś ją?

- Nie, a ty?

- Też nie. Znalazłem leże, ostatnie drzwi wzdłuż korytarza, kupa szmat, kości i wyleniałego futra.

Co za labarr, strzygi nie chodzą po ulicach za dnia!

- Może poszła w odwiedziny i tam została na noc?

- Ghyr ją tam wie. Ciebie, foczka, kto finansuje?

- Burmistrz.

- A mnie kupiec Bobyrkin. Wczoraj jegojną córkę strzyga zeżarła. Słuchaj, ty weź nic nie mów temu swojemu, dobrze?

- Jeszcze czego. Łapa dla ciebie i łapa dla mnie, kasa po fackie okazania.

- Yhym. A we dwójkę spokojnie przerobimy strzygę na mielone.

- Jest sama?

- Na oko tak. Ale gdzie? Może ty, ghyrowa wiédźmo, ją przestraszyłaś?

- Na początku korytarza nie było.

- Na końcu też. Chodź, będziemy opowiadać kawały, może się bydlę jedno roześmieje.

- Jeśli tu jest.

- Jest. Czuj mi podpowiada.

- Ale mnie nie wyczułeś.

- Tylko że ty się podkradłaś z powietrza!

Jedna i ta sama myśl uderzyła nas równocześnie, zadarliśmy głowy i w tejże chwili strzyga skoczyła. Wal wyćwiczonym ruchem zrobił fikołka w bok, ja pisnęłam i zleciałam z miecza.

Strzyga wykręciła się jak kot, lądując na wszystkich czterech łapach tuż przede mną, padający miecz wyjątkowo celnie trafił ją w ciemię. Póki otępiały potwór potrzasał łbem, troll wyciągnął

swoją klingę i skoczył mu na plecy, ściskając boki kolanami. Strzyga ryknęła z wściekłością i przesunęła rozdziawioną paszczę w kierunku Wala, po czym zastygła w tej pozycji, skuta moim zaklęciem. Tylko pięć oddechów, ale w naszym zawodzie czasami wystarcza nawet jeden.

Wal przeczekał, aż ustaną konwulsje, i wyciągnął wepchnięty po samą rękojeść miecz, po czym podniósł się i z pogardą splunął na podłogę koło leżącego ścierwa.

- Rychło w czas żeśmy ją zauważyli. O, tam parszywka jedna siedziała. - Troll pchnął mieczem w kierunku sufitu, pod którym w jednej ze ścian widniała solidna nisza. - Weź podleć i zobacz, a nuż tam zostały jakieś młode po niej?

- Nie zostały. - Powoli przekręciłam się na brzuch, namacałam miecz i podniosłam się na kolana.

- Ja biorę przednią prawą. Ile ci obiecano?

- Czterdzieści.

- Za taką kasę możesz paskudę wypatroszyć i zwrócić kupcowi resztki córeczki. A przy okazji, skoro już o pieniądzach mowa...

Wal uśmiechnął się krzywo i z poczuciem winy, po czym rozłożył ręce.

- Wybacz, foczko, ale żeśmy się minęli. Zaniósłbym ci te parszywe sto monet tego samego dnia, ale

musiałem pilnie wyjechać z miasta.

- Wcale nie takie parszywe! - rzuciłam oburzona. - Dobry koń albo krowa z cielakiem!

Oczywiście, jeśli to dla ciebie taki drobiazg, to obstawiam, że nie uznasz za szczególnie duży problem zwrócenie mi starego długu?

- Oczywiście, że parszywe - bezczelnie potwierdził najemnik. - Jakby były przyzwoite, toby mi z nich przynajmniej cokolwiek zostało, a tak mogę ci zaproponować tylko mojego starego wałacha.

- Znaczy się tego, który dożywa swoich ostatnich dni w pierwszym boksie po lewej od drzwi w stajni gospody? A po licha mi on? Warty może z dziesięć kładni, pod warunkiem, że rzeźnik będzie niesamowicie hojny.

- No to mogę ci go nie oddawać - chętnie zgodził się Wal.

- A ja cię samego zaraz zamienię w wałacha, a potem sprzedam do rzeźnika jednego i drugiego! - zagroziłam.

- Zapraszam. - Troll tylko wzruszył ramionami.

Oczywiście nie miałam zamiaru robić niczego podobnego i Wal doskonale o tym wiedział.

Pożegnałam się ze swoją połową naszego wspólnego zarobku już półtora roku temu, tym bardziej że Len z nadmiarem zrekompensował mi jej utratę. Zemsta na trollu była wyjątkowo głupim pomysłem, a próba odebrania mu pieniędzy siłą - jeszcze głupszym.

- Ale wiesz, foczko, nie przejmuj się! - Najemnik pokrzepiająco poklepał mnie po ramieniu. -

Najważniejsze to nie pieniądze, tylko koneksje. A jeśli ci będę potrzebny, tylko weź zagwiżdż, u mnie słowo nie dym!

- A to fakt: jak się kto z tobą związał, to się nie odwiąże - burknęłam.

Do gospody dotarliśmy razem. Po drodze bezskutecznie próbowałam wyciągnąć z trolla informacje o Arlissie w ogólności i niechęci Lena w stosunku do tej doliny w szczególności, ale Wal tylko uśmiechał się w odpowiedzi, zagadkowo i jakoś tak paskudnie, jeszcze mocniej rozpalając moją ciekawość.

W stajni panowało podejrzane ożywienie - słudzy i goście tłoczyli się przy boksie Smółki, jeden przez drugiego komentując jakiś ciekawy widok.

Przepchnęłam się przez zebranych, zajrzałam i zdębiałam - kobyła z zamkniętymi oczyma leżała na grzbiecie, z wszystkimi czterema nogami w górze, od czasu do czasu podrygując lewą tylną.

Spiesznie gwizdnęłam. Smółka z sennym westchnieniem przekręciła się na brzuch i wstała, słodko

się przeciągając, zupełnie jak kotka. Zanim zdążyłam zdjąć skobel, ona sprężyła się i z łatwością przeskoczyła przez niewysokie drzwiczki. Ciekawskich ze stajni wymiotło. Wal, nie zwracając uwagi na zachowanie mojej kobyły, spokojnie siodłał swojego truposza - wyraźnie słaniającego się na nogach wałacha z zapadniętym ze starości grzbietem. Podprowadziłam Smołkę do progu, żeby na nią wskoczyć, ale spojrzałam na trolla i się rozmyśliłam:

- Wiesz co, oszuście jeden, zdejmuj no siodło!

Najemnik się skrzywił. Siodło w odróżnieniu od wałacha nie miało jeszcze dziesięciu lat i nawet bez zdobień wydawało się dobrze zrobione oraz wygodne. Czyli akurat takie, jakiego potrzebowałam.

- No dawaj, dawaj - popędziłam go. - Odmeldujesz się u kupca, to kupisz sobie nowe.

- Może weź poczekaj chwilę? Jak tylko on mi zapłaci, to ja ci oddam dług, co, foczko? -

blągalnym tonem zapytał Wal. - Ja to siodło sobie cenię jako pamiątkę, przez całą Belorię w nim przejechałem! Trzy konie pod nim zdechły, a ono ciągle jak nowe!

- O nie, panie najemniku, drugi raz ze mną ten numer się nie uda. Zdejmuj siodło, i to żywo, bo zabiorę razem z koniem, tak jak proponowałeś na początku!

Troll, w barwach i z uczuciem opisując wszystkich moich krewnych, rozpiął popręg i cisnął

siodło prosto w moją pierś. Zachwiałam się, ale ustałam na nogach, po czym zadowolona zwróciłam się w kierunku Smołki. Niestety, kobyła nie podzielała mojego entuzjazmu - z przestraszonym chrapnięciem położyła uszy po sobie i cofnęła się, zdecydowanie odmawiając bycia osiodlaną.

- Wal, przytrzymaj ją, co?

Troll wyszczerzył się i demonstracyjnie skrzyżował ręce na piersi.

Okrążyliśmy stajnię trzy razy. Kobyła z niezmiennym szacunkiem, lecz twardo dawała do zrozumienia, że nie życzy sobie nosić pamiątki po trzech zdechłych wierzchowcach. Wreszcie udało mi się zagonić paskudę jedną do rogu i z rozmachem założyć na nią siodło. Smołka z zaskoczenia aż przysiadła, a ja natychmiast zaciągnęłam popręg i otarłam pot z czoła.

Kobyła otrząsnęła się z niezadowoleniem, bez trudu sięgnęła zębami do przedniego łęku i w zamyśleniu nadgryzła go, pozostawiając wyraźny ślad zębów. Mściwie pstryknęłam Smołkę w nos.

- Wiesz, co ja myślę? - z namysłem stwierdził troll. - Łapy strzyga ma cztery, a na dokładkę sprawy łeb. Może pochodzi sobie po mieście i popytać, czy nie znajdują się jeszcze jacyś niepokieszeni krewniacy?

- Yhy, a potem stanąć na rynku i sprzedawać resztki na wagę - potaknęłam złośliwie.

- A co? Wcale niezły pomysł! - ożywił się troll. Pokręciwszy palcem koło skroni, wskoczyłam w siodło. Dzięki strzemionom nie musiałam już szukać odpowiedniego pieńka czy płotka. Choć z

drugiej strony do samej Dogewy nie zamierzałam już zsiadać z konia.

Dzień dobry - odpowiedziałam niepewnie. - A co się stało?

- Skąd wzięłaś tego konia? - zapytał Starszy poważnym tonem zamiast powitania.

- Kupiłam - poczułam przyływ ostrożności i na wszelki wypadek skłamałam.

Wampiry spojrzały po sobie z jeszcze większym zaskoczeniem.

- Przecież to niemożliwe! - stwierdziły jednogłośnie. - Ani kupić, ani ukraść, ani się wymienić!

K'iardy same wybierają sobie panów i w żadnym razie nie mogą nimi być ludzie!

Smółka prychnęła z urazą, dając do zrozumienia, że jakieś tam wampiry nie będą jej dyktować, jak powinna była postąpić.

- Chyba żeby... - Kella zaczęła zdanie, ale natychmiast je urwała, porażona własną myślą. - O

nie... On nie mógł tego zrobić!

Niespokojna ciekawość, z jaką wampiry obmacywały mnie spojrzeniami, wydała mi się nieco niezdrowa. Starszy nawet stanął na czubkach palców, próbując zajrzeć mi za kołnierz, ale w tym momencie Smółce znudziła się natarczywa uwaga nieznanym, więc dźwięcznie strzeliła kłami tuż przed samym nosem wampira.

- A gdzie Len? - spytałam, mitygując kobyłę, a raczej bawiąc się z nią w przeciąganie postronka, który wredna bestia w jakiś sposób jednak zdołała zahaczyć zębami.

Rozdział dziewiąty

Smółka niczym czarna strzała pędziła po wydeptanej drodze, potajemnie mając nadzieję, że uda jej się uciec spod siodła. Od czasu do czasu oglądała się, prychała z oburzeniem i przyspieszała.

Dzień konnej jazdy pokonałyśmy w jedno popołudnie, aż uszy mnie bolały od podmuchów wiatru, a kobyłka nawet nie straciła oddechu. Gdy przekroczyłam granicę Dogewy, wymieniając niedbały ukłon ze strażnikiem, nie zaczęło jeszcze zmierzchać.

Jak można było tego oczekiwać, pierwszą znajomą twarzą w okolicy okazało się oblicze Kelli, która dyskutowała z jednym ze Starszych. Oboje zpatrzyli się na mnie ze szczerym przerażeniem i zdziwieniem, żywo przypominając krewnych nieboszczyka, który w kluczowym momencie stypy usiadł w grobie i zażądał kielicha „na drogę”. A potem zagryzł go solonym ogórkiem.

- Oj! - wyrwało się Kelli. - Heur - rreniat, Verre'yaard - glasswa!

- Dzień dobry - odpowiedziałam niepewnie. - A co się stało?

- Skąd wzięłaś tego konia? - zapytał Starszy poważnym tonem zamiast powitania.

- Kupiłam - poczułam przyływ ostrożności i na wszelki wypadek skłamałam.

Wampiry spojrzały po sobie z jeszcze większym zaskoczeniem.

- Przecież to niemożliwe! - stwierdziły jednogłośnie. - Ani kupić, ani ukraść, ani się wymienić!

K'iardy same wybierają sobie panów i w żadnym razie nie mogą nimi być ludzie!

Smółka prychnęła z urazą, dając do zrozumienia, że jakieś tam wampiry nie będą jej dyktować, jak powinna była postąpić.

- Chyba żeby... - Kella zaczęła zdanie, ale natychmiast je urwała, porażona własną myślą. - O

nie... On nie mógł tego zrobić!

Niespokojna ciekawość, z jaką wampiry obmacywały mnie spojrzeniami, wydała mi się nieco niezdrowa. Starszy nawet stanął na czubkach palców, próbując zajrzeć mi za kołnierz, ale w tym momencie Smółce znudziła się natarczywa uwaga nieznajomych, więc dźwięcznie strzeliła kłami tuż przed samym nosem wampira.

- A gdzie Len? - spytałam, mitygując kobyłę, a raczej bawiąc się z nią w przeciąganie postronka, który wredna bestia w jakiś sposób jednak zdołała zahaczyć zębami.

- Władca wyjechał do Arlissu - niechętnie odpowiedział Starszy, utrzymując odległość. - Wróci za jakieś trzy - cztery tygodnie, może miesiąc.

Gwizdnęłam rozczarowana. Miesiąc w towarzystwie beznadziejnie zdrowego Kaiela i podejrzanie oblizującej się Kelli? Chyba podziękuję!

- A dawno pojechał? Zielarka wzruszyła ramionami.

- Krótko po obiedzie.

- Czyli dam radę go dogonić? - ucieszyłam się.

Smółka parsknęła oburzona. Praca związana z doganianiem spadała na nią, w związku z czym nie rozumiała, dlaczego przypisuję sobie cudze dokonania. Kelli mój pomysł również się nie spodobał. Najwyższa zielarka Dogewy przybrała wyraz twarzy odpowiedni do jej pozycji, czyli majestatyczny aż do bólu zębów, i pańskim tonem stwierdziła:

- Wolho, władca ma w tej chwili ważniejsze sprawy niż ty. Bardzo cię proszę, zostaw go w spokoju.

Najwyższa wiedźma Dogewy z trudem powstrzymała się, by nie wyjaśnić zielarce ze szczegółami, gdzie mieszka leszy i jak bardzo zdążył się za nią stęsknić. Mało czego na tym świecie nie znoszę tak bardzo jak „panów dobrodziejów”, którzy „z najlepszymi zamiarami” pakują się w cudze relacje.

Przyjaciele właśnie dlatego są przyjaciółmi, że radzą sobie bez takiej pomocy.

- To niech sam mi o tym powie.

- Już powiedział.

- Jakoś sobie nie przypominam.

- A koniecznie potrzebujesz słów? - Kella nie wytrzymała. - Władca nie chciał widzieć cię na swoim ślubie, w związku z czym ustawił go tak, żeby odbył się tuż po twoim wyjeździe! Kto mógł przypuszczać, że tak szybko wrócisz?

Zapanowała pełna napięcia cisza. Moja szczeka z hukiem walnęła o grunt. Starszy z pretensją zezował w kierunku zielarki. Kella niezręcznie zakasłała i odwróciła się do mnie tyłem, po czym wzruszyła ramionami:

- Wcześniej czy później i tak by się dowiedziała.

- To prawda? - chłodnym tonem spytałam Starszego.

Ten po chwili wahania skinął głową. Jak mi się wydało, niedostatecznie pewnie.

- Tak - powiedziałam cicho. - Ja koniecznie potrzebuję słów. Ponieważ znam Lena lepiej niż wy tu wszyscy razem wzięci, a on zna mnie i nigdy nie upadłby tak nisko, żeby bawić się w

„ustawki”.

Czyli coś w tym wszystkim śmierdzi, dodałam w myślach, ledwie co skinąwszy wampirom na pożegnanie.

O dogonieniu Lena przed zmrokiem nie chciałam nawet myśleć. Smółka w dosyć widoczny sposób nie rozróżniała nocy i dnia, ale ja byłam zmęczona, a poza tym głodna. Nie sądziłam, by posłowie w towarzystwie władcy zamierzali gonić na złamanie karku, nie mówiąc już o tym, że dosiadali zupełnie normalnych koni. Czyli najpewniej też zrobią postój na noc. Miałam do siebie całą masę pretensji o to nadkładanie drogi przez Ostępy. Przecież czuło moje serce, że coś jest nie tak, nie bez powodu nie miałam ochoty jechać do Starminu. Gdyby nie ten przeklęty egzamin, to za nic bym nie pojechała, nawet gdyby Len własnoręcznie wypychał mnie przez granicę.

Kretynko, trzeba było po egzaminie jechać wprost do Dogewy, nie marnotrawiąc czasu na moczarach czy przy przypadkowych okazjach do zarobku. Z drugiej strony, gdybym nie marnotrawiła, nie miałabym konia, beczki żurawin i utrupionego żywołyka na liście zasług. Więc może to i lepiej, że zamarudziłam. Len i tak by mnie ze sobą nie zabrał, a na dokładkę jeszcze pewnie kazałby sobie obiecać, że nie pojedę za nim. A tak „przypadkiem” go dogonię i dołączę do świty pana młodego. Przecież nie będzie się ze mną kłócił przy posłach! Kryna jak zwykle powitała mnie bardzo ciepło. Jej przyjaciel taktownie oddalił się, żeby załatwić jakieś nagle wynikłe sprawy, pozostawiając nas przy garncu zsiadłego mleka i świeżych drożdżówkach.

- Kryna, niech mi pani opowie o ślubie - poprosiłam wprost. Dobra wampirzyca ze zrozumieniem pokiwała głową i napełniła mój kubek.

- O ile wiem, to póki co żadnego ślubu tam nie ma - zaczęła ostrożnie. - Raczej chodzi o oględziny. Ale ponieważ nie są to pierwsze oględziny i zdaniem Lena nie bardzo jest co oglądać, to trudno traktować sprawę poważnie.

- Więc po co tam pojechał? Kryna wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Oczywiście Kella ma nadzieję na uczucie jak piorun z jasnego nieba, ale na ile znam Lena, w tej sytuacji nawet lubczyk nie pomoże. Jest bardzo podobny do ojca, a ten pokochał od pierwszego wejrzenia i na całe życie. A poza tym ta niedawna afera raczej nie sprzyjała ociepleniu stosunków.

W tym momencie poczułam w końcu smak drożdżówki, trzeciej z kolei. Wcale niegorszej.

Trzeba będzie wyjechać z pierwszymi promieniami słońca. Miałam rację, działa się coś niedobrego i bez wątpienia poważnego, skoro Len nawet nie wspomniał. Gdyby go nagle trafiło i miał zamiar się żenić, to ja dowiedziałabym się jako pierwsza - tak ogromne szydło wcześniej czy później z worka wyjdzie. A władca dosyć stanowczo próbował rozwiązać problem pod moją nieobecność, nie dając mi znać przed wyjazdem.

- A co za afera? Kryna zachichotała:

- Bardzo ciekawa historia. Akurat z gatunku tych, które opowiada się szeptem podczas wieczornych spotkań przy drożdżówkach. Może i nadszarpnęła Lenowi autorytet, lecz komu innemu również nadpsuła reputację. Trzy lata temu władca pojechał do Arlissu, jakoby pozalecać się do przyszłej narzeczonej, ale po drodze ktoś go porwał.

- Porwał? Lena?! A on to niby komu potrzebny? - wyrwało mi się.

- Ano porwał i zażądał okupu - kontynuowała nieporuszona Kryna. - Od Arlissu. Worek złota, na wagę władcy.

- Jakies bzdury - mruknełam. - Zapłacili?

- I tu jest cały wic. Zaczęli długie rozmowy z porywaczami, prosili o zjechać z ceny, podając jako powód brak pieniędzy w skarbcu i nieurodzaj rzepy. Jakiś troll najemnik robił za pośrednika w rozmowach, roznosząc liściki i skutecznie umykając przed próbami śledzenia. Złodzieje rzucali wielkimi słowami, grozili, że zwrócą narzeczonego w kawałkach, przesyłali kawałki płaszcza jako dowody, jednak powoli spuszczała z tonu i oto po dwóch tygodniach od porwania przy krzywej sośnie na wzgórzu odbyło się uroczyste przekazanie czterech złotych monet.

- A Lena puścili?

- A coś ty. Sam przyszedł po okup. I przy wszystkich świadkach ogłosił, że tak tani narzeczonego nie

uważa się za godnego drogocennej władczyni Arlissu, bo sam pośrednik kosztował go czterdzieści kładni, nie licząc pociętego płaszcza i strat moralnych związanych z tym, jak przeceniono jego życie. Wyszła z tego straszna afera, panna młoda nie mogła sobie miejsca znaleźć z wściekłości, Kella nie odzywała się do Lena przez trzy miesiące, on sam chował się przed Starszymi po krzakach, a obie doliny turlały się ze śmiechu.

- No to dlaczego nie zerwali narzeczeństwa, skoro się tak serdecznie nie cierpią? - Z żalem spojrzałam na wpół pusty półmisek. Całe drożdżówki już się we mnie nie mieściły, a wydłubywanie z nich dobrze podpieczonego nadzienia z białego sera nie byłoby zbyt ele-ganckie.

- Oj, dziecko, jasnowłosych zostało tak mało, że nikt ich nawet nie pyta, czy się sobie nawzajem podobają, czy nie. Zamiast miłości jest polityka. Kiedyś Len się z tym pogodzi.

- Jeśli o mnie chodzi, wolę umrzeć jako stara panna.

- Tobie to nie grozi - roześmiała się Kryna. - Z roku na rok stajesz się, dziecko, coraz piękniejsza.

Strach pomyśleć, jakie szczęście będzie miał twój wybranek za te dwa - trzy lata.

- Nie mam zamiaru nikogo wybierać - burknęłam. - Ostatnia rzecz, której mi trzeba, to codzienne gotowanie i rodzenie dzieciaków rok po roku! Nie po to zmarnowałam dziesięć lat na nauce, żeby spędzić całą resztę inaczej, niż tego chcę.

- Wydaje ci się, że będziesz miała jakiś wybór? Ani ty, ani twój mężczyzna. To los się tym zajmie

- poważnym i smutnym tonem powiedziała wampirzyca i z jakiegoś powodu straciłam ochotę do żartów. Zamiast tego zadałam pytanie, które od bardzo dawna mnie nurtowało i do zadania którego jakoś nigdy nie było okazji:

- Kryno, a co się stało z pani wilkiem?

- Poszedł sobie - odparła z tym samym smutkiem. - Przekonał się, że przekazał mnie w dobre łapy, i odszedł. Wcześniej czy później to powinno było nastąpić. Życie trwa dalej i nawet takie staruchy jak ja czasami mają ochotę, by mieć z niego jakąś przyjemność... I nawet ro-zumiem to, głową, ale i tak czuję się, jakbym zdradziła. I została zdradzona. Pamiętaj, dziecko, jak piękne by nie były wspomnienia, nie wolno żyć tylko nimi. Po prostu to zapamiętaj. A życie ci kiedyś wyjaśni, o co chodzi.

I w tym momencie ostatecznie się przekonałam, że w Dogewie zwariowali wszyscy. Nawet wilki.

Długo nie mogłam usnąć, przewracając się z boku na bok i nagradzając Lena wszystkimi epitetami, jakie tylko przychodziły mi na myśl. Psiakrew, wymyślił sobie kolejną Wielką Osobistą Tajemnicę Władcy... Jak gdyby najwyższa wiedźma Dogewy nie mogła pomóc mu raz na zawsze pozbyć się tej politycznej narzeczonej! I to z największą przyjemnością!

Choć z drugiej strony... Może Len wcale nie przysyłał żadnego zamówienia? Zażartował, oszukał, zmuszając mnie w ten sposób do nauki historii magii. A sam odwrotnie, ugadał się z mistrzem, żeby

ten znalazł mi jakąś niezbyt męczącą robotę, cobym nie plątała się pod nogami. A pomiędzy nim i władczynią Arlissu kwitnie szczerą, gorącą miłość... i niedługo planowany jest też malutki Lenek.

Gwałtownym ruchem przekręciłam się na brzuch i z głuchym jękiem nakryłam głowę poduszką.

Najwyższa wiedźma, tak, już, zaraz! Naiwna idiotka. I po co mi była ta cała Dogewa... Przecież to oczywiste, że nikomu tu nie jestem potrzebna, nikt na mnie nie czeka, wykorzystali mnie i porzucili dla jakiejś... Stop. Ja chyba jestem zazdrosna... O siedemdziesięciosiedmioletniego wampira, bliskiego przyjaciela i niedoścignętego władcę Dogewy, pewnego siebie, przystojnego blondyna, który równie swobodnie czyta cudze myśli, jak ukrywa własne. Ja?!

Tak!

Uuuuuu...

Łóżko zaskrzypiało z pretensją. Teraz na poduszce leżały moje nogi, lecz zmiana pozycji nie rozwiązała cierpienia moralnych: obiegiły łóżko i zaatakowały mnie z podwójną mocą.

Chwila moment, tak dalej nie można! No dobra, Len mi się podoba. Ale on się wszystkim podoba! Wampirze czary najwyższej klasy, najlepszy lubczyk im do pięt nie sięga. I tylko chłodny, trzeźwy rozum doświadczonej wiedźmy może słusznie ocenić sytuację... A kiedy on zdążył się zagrzać i upić?! Nie można być zazdrosnym o przyjaciół, to nieładnie. Nawet jeśli przyjacielem jest mężczyzna. Nawet jeśli jest to idealny, najlepszy na świecie mąż... Tfu! Żeby go szlag trafił! Dlaczego to wszystko musi być takie trudne?! A niech tę całą Dogewę leszy weźmie, pójdę pracować bez przydziału, będę praktykować na drogach, nigdzie się długo nie zatrzymując, wolna jak wiatr, nieuwiązana ani uczuciami, ani konwenansami - tylko uciekającą za horyzont drogą...

Ale jak on mógł! Dogonię i zamorduję...

Nie wytrzymałam, na paluszkach przekradłam się do stojącej w rogu sakwy, pogrzebałam w głucho brzęczących flakonach i wyciągnęłam jeden, spod którego korka dolatywał ostry zapach waleriany. Zacisnęłam powieki, upiłam szczodry łyk i wytrzeszczyłam oczy: piąty wyciąg, nie mniej. Jak tak dalej pójdzie, to ja alkoholiczką zostanę! Zresztą w tej chwili najważniejsze to zasnąć, a rano wszystko się jakoś ułoży.

Specyfik okazał się skuteczny. Nawet nadto.

...po tamtej stronie też są ścieżki - czarne i grząskie, które prowadzą w jedną stronę i rozplywają się za plecami. Na ich brzegach chwieją się cienie drzew bez liści, poprzez mrok ślizgają się nietoperze, wynurzające się z wiecznej mgły, w której bezgłośnie płaczą zagubione dusze.

„Zamknij krąg, dziecko”.

I idziesz do przodu, jak gdyby rozciągając sztywną sprężynę, kiedy każdy krok jest trudniejszy od poprzedniego. Najpierw biegniesz, potem ledwie przestawiasz stopy, wściekle, z uporem, a kiedy ból w kolanach staje się niemożliwy do wytrzymania, padasz i krzyczysz z bezsilnej rozpacz, niezdolna się nawet poruszyć.

Ponieważ to nie jest twoja ścieżka. A ta jedna jedyna, która bez przeszkód chadza po niej w obie strony, już dąży na spotkanie, a za jej plecami rozlewa się mrok...

Na mój przeraźliwy krzyk przybiegli wszyscy domownicy i ku mojej wielkiej satysfakcji w końcu zdołali mnie obudzić. Jak się okazało, siedziałam na podłodze przy łóżku, przygarbiona, przyciskając ręce do piersi, chociaż tak naprawdę bolała mnie głowa - po prostu rozpadała się na kawałki, pokój pływał przed oczyma. W ustach pozostał smak waleriany wymieszanej z krwią.

Czułam mdłości. Oroen domyślnie zaczerpnął wody z wiadra i podał mi kubek. Wypiłam zachłannie, dzwoniąc zębami o brzeg. Ale wreszcie udało mi się złapać oddech i poczułam się nieco lepiej.

- O bogowie! - cicho westchnęła Kryna, opuszczając lampkę. Żółte drżące światło przepelzło na moją pierś, a amulet Lena, który wychynał spod koszuli nocnej, odezwał się stłumionym lśnieniem. - Gvi'harr, Orroen, ve jett Arr'akktur r'earr. Hellet genna...

- Nie jestem biedną dziewczynką - odgryzłam się odruchowo, oddając kubek. - Jestem dorosłą, groźną wiedźmą... Co pani powiedziała?

- Że dorosła, groźna wiedźma obudziła swoim wrzaskiem wszystkie wilki w Dogewie -

nieporuszonym tonem skomentował Oroen i zabrał Krynie lampkę, którą powiesił na wbitym w sufit haku.

- Jakieś świństwo mi się przyśniło. - Z wysiłkiem pomasowałam skronie. Prawdopodobnie czułam to, co czuje wilkołak po przemianie w człowieka: nic nie pamięta, biegał sobie gdzieś, kogoś zagryzł, zakąsił pachnącym korzeniem, a teraz spróbuj zgadnąć, który z sąsiadów był taki niesmaczny. Wspomnienia wracały powoli: droga, prosta i pokryta kamieniami... Coś czarnego i wyraźnie nieprzyjemnego, co wyskoczyło mi na spotkanie jak pilnujący domu pies... I on, obcy i daleki, bez oglądania się do tyłu przechodzi obok, owiewając mnie chłodem mogiły...

„Zamknij krąg, dziecko” - te słowa usłyszałam od młodziutkiej pytii dwa lata temu.

Lecz w uszach brzmiał głos Lena.

Zerwałam się z podłogi i gwałtownymi ruchami zaczęłam wciągać na siebie ubranie, nie zwracając najmniejszej uwagi na Oroena. Zresztą on sam odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, szcękając zasuwką. Kryna w milczeniu zakrzętnęła się koło zapasów, wrzucając do sakwy drożdżówki, które zostały z kolacji.

Jesteś spóźniona, beznadziejnie i nienadrabialnie spóźniona, jesteś tam potrzebna teraz, już, natychmiast, w tym momencie... - poganiał mnie wewnętrzny głos. Gdzie, po co, komu? Leszy go tam wie. Jak spotkam, to zapytam.

Na zewnątrz okazało się wcale nie tak ciemno, noc powoli się kończyła. Na szarym niebie topniał bezbarwny księżyc, a gwiazdy, z wyjątkiem dwóch czy trzech, zdążyły już zgasnąć. Ostrożny szelest

liści na drzewach jak gdyby rodził się i trwał sam z siebie gdzieś wysoko, i tylko podkreślał poranną ciszę.

Oroen podprowadził mi osiodłaną Smolkę i delikatnie pogłaskał ją po szyi. Senna kobyła wzdrygnęła się ze wstrętem, jednak zdecydowała się nie gryźć. Wskoczyłam w siodło, zabrałam od Kryny sakwę, zamiast słów podziękowania skinęłam krótko i bez litości kopnęłam kobyłę obcasami.

Trzeba było widzieć jej spojrzenie! Bazyliszek na taką demonstrację mógłby tylko iść i utopić się ze wstydu. Wierzgnęła i z miejsca zerwała się w galop, sama wybierając sobie drogę. Ponieważ zupełnym przypadkiem droga ta odpowiadała kierunkowi, w którym chciałam się udać, nie miałam najmniejszego zamiaru jej powstrzymać. Sosny na poboczu zwały się w jedno, raz po raz w prześwitach migały szare wstęgi dróg. A potem po bokach rozwinęły się zielone płachty łąk przyprószonych mgłą.

Szybciej, szybciej... Gdyby nawet droga sama pędziła mi na spotkanie z prędkością k'iarda, i tak biegłabym po niej ile sił w nogach. W z góry skazanej na niepowodzenie próbie uprzedzenia bezlitośnie zbliżającej się chwili, po której już nie ma dokąd się śpieszyć.

Ale to tylko chwila. Gałąź, która łamie się z trzaskiem pod kopytem, skorupy niezłapanej na czas filiżanki, wilgotny świst stali, która wgryza się po samą rękojeść. Nie da się tego ani powstrzymać, ani zapobiec.

Za późno.

Wzeszło słońce i las ożył - szelestem liści, trelami ptaków, buczeniem bąków. Wspomnienie koszmaru powoli bladło, odchodziło w przeszłość, straciło na jaskrawości i wyrazistości. Smółka przestała się złościć, zwolniła i zaczęła wymownie oglądać się na torbę z jedzeniem, dosyć czytelnie dając mi do zrozumienia, że mała biedna kobyłka nie miałaby nic przeciwko, jeśli idzie o skromne śniadanie. Po namyśle nie mogłam się z nią nie zgodzić, z poprawką na małą biedną mnie, ale las nijak nie chciał się skończyć ani nie obfitował w polany, podczas gdy czające się na gałęziach świerków kleszcze odprowadzały nas krwiożerczymi spojrzeniami.

No dobra, paskudny sen. Przecież nie ma powodu, żeby się denerwować. Takiemu królowi to się w zeszłym roku przyśniło, że jego pałac leży w gruzach, a nad nimi z pogardliwym krakaniem krążą wrony. Dwudziestu etatowych wróżów natychmiast przedstawiło Jego Wysokości dwadzieścia różnych interpretacji, w tym tradycyjny koniec świata (pewien uparty emeryt obiecywał go przy każdej wróżbie), a potem zgadało się między sobą a głównym architektem i ogłosiło, że sen jest proroczy. Naum natychmiast przeniósł się do podmiejskiej rezydencji, a ugadani radośnie przepili przeznaczone na remont fundusze. Mało tego, podczas którejś wybitnie udanej imprezy udało im się rozwalić jedną z zewnętrznych ścian, ot tak, w procesie udowadniania jeden drugiemu, że pałac postoji jeszcze tysiąc lat. Dziura, załatana cementem, nadal przypomina Naumowi, jak potwornego losu uniknął dzięki zdobyczom nowoczesnej somniologii.

Z przodu zamajaczyło światło i po chwili zanurkowałyśmy w złocistym ciepłe łąki. Na jej przeciwległym końcu znowu ciemniał las. Ściągnęłam wodze i Smółka przeszła w stępa. Było mi wstyd nawet przypominać sobie bzdury, które wymyślałam przed zaśnięciem. Pewnie za dużo

drożdżówek zjadłam i tyle. I głowa po tym Welkieliksirze jak zrobiona z ołowiu. Ciekawe, czego ona tam dodała. Spojrzałam na etykietę, zaklęłam i ostatecznie się uspokoiliam. „Dekokt Marzenie, trzy krople na czarkę. Uspokaja, rozluźnia, wywołuje barwne sny”. Niczego sobie barwy! Trzeba będzie opowiedzieć Lenowi, on to się dopiero uśmieje.

Na środku łąki zsiadłam z kobyły i z pełnym zadowolenia westchnieniem rozłożyłam się na trawie, słodko się przeciągając. Pełna miłości do otaczającego świata, z uśmiechem podziwiałam delikatnie chabrowe niebo z rzadkimi kłaczkami białych obłoków, po czym usiadłam, rozwiązałam torbę i przygotowałam się do konsumpcji drożdżówek, ale we właściwej chwili zatrzymałam rękę w pół drogi do ust. Drożdżówka jakoś podejrzanie pachniała. Obwąchałam ją ze wszystkich stron i zdradziecko zaproponowałam kobyle. Ta chętnie przyjęła i z przyjemnością schrupała poczęstunek, co, niestety, nadal o niczym nie świadczyło. W sumie zapach nie miał nic wspólnego ze skwaśniałym twarogiem czy zapleśniałym ciastem. Bardziej przypominał wybitnie nieżywego kota, który zatrul się wyjątkowo nieświeżą rybą. Mieszanka niezapomnianych aromatów napływała falami, podróżując wraz z porywami wiatru, i mogła spowodować, że nawet wygłodniała strzyga straciłaby apetyt, więc co tu mówić o mnie.

Wstałam, rozejrzałam się dookoła i nieco za późno odkryłam końskie truchło, na wpół schowane w wysokiej trawie. Do tej chwili wcale skutecznie udawało ono rudawy kamień, a ja nawet miałam zamiar się na nim poopalać, brrr... Zmierzwiona sierść pociemniała od rosy, siodła brakowało, ale widać było wytarty popręgiem pasek. Pociągnęłam nosem. Źródłem zapachu jednak nie był koń, biedny zwierzak ledwo co zdążył skostnieć. Może padł pod zbyt szybko jeżdżącym się jeźdźcem? Obeszłam trupa dookoła i w tym momencie zastygłam: pysk zwierzęcia był przekrojony w poprzek, równo na wysokości białej strzałki. Tutaj stanowczo popracował ktoś z mieczem i mało prawdopodobne, że to konik miał być adresatem ciosu.

A potem zobaczyłam nogę w wysokim bucie. Przyznam, że przestraszenie mnie nogą, i to nawet nogą trupa, było dosyć trudne. Ale problem polegał na tym, że noga i ciało leżały osobno, a pod przeciętym na skos trupem ciemniała kałuża skrzepłej krwi. Pozbawiona oczu twarz szczyrzyła się do mnie wampirzymi kłami.

I w tym momencie pociemniało mi w oczach.

Był to jeden z arlisskich posłów.

Len!!! Potykając się z przerażenia, zygzakiem obiegłam całą łąkę. Desperackie oględziny ujawniły jeszcze pięć trupów, dosłownie porąbanych na kawałki. Lena wśród nich nie było. Za to znalazło się źródło smrodu - kilka kałuż żółtawego śluzu, w którym już zebrały się żuki i larwy much. Niczego podobnego w życiu nie widziałam i nie bardzo chciałam oglądać, a Smółka w całości podzielała moje przekonanie. Kobyłka trzęsła się jak liść osiki i co rusz popychała mnie pyskiem w plecy, że niby zabieramy się stąd, póki nie jest za późno.

Nie zwracałam na nią najmniejszej uwagi. Co tutaj się stało? Tu jest ślad po ognisku, przewrócony kociołek i rozrzucone gałęzie po posłaniu. Wygląda na to, że wampiry urządziły obozowisko na skraju lasu. Trochę na lewo od miejsca, z którego nadszedłam. Wszystko dookoła zdeptane, zalane krwią i zaplute śluzem. Z kim oni się starli? Dalej walka rozgorzała na całej łące, aż do tego lasu w

oddali - jasnego, liściastego, płynnie przechodzącego w krzaki młodych pędów, z których dobiegały niewyraźne strzępki rozmów. Wstrzymałam oddech i spojrzałam przez rzadkie, ale irytująco potrzęsające liśćmi krzaki, które ze wszystkich sił próbowały odwrócić moją uwagę. Na skraju lasu stało dwóch męż-czyzn, których ciemne włosy i mimo wieku pozbawione zarostu twarze wybitnie przywodziły na myśl wampiry.

Obiekty mojej obserwacji zażarcie się o coś kłóciły, patrząc sobie pod nogi i gestykulując z emfazą. Wyglądało, że jeden robił awanturę, a drugi niezbyt skutecznie próbował się usprawiedliwić. Wysoka trawa skrywała przede mną przedmiot dyskusji. Ja prowadziłam badania przeważnie na czworakach, w związku z czym jeszcze nie zostałam zauważona i nie miałam zamiaru tej sytuacji zmieniać delikatnym kasłaniem ani biec im na spotkanie z otwartymi ramionami i krzykiem: „Kochani! A tu co się stało?”. Zdrowy rozsądek sugerował, żeby najpierw się przekonać, że naprawdę mam za co ich kochać. Obejrzałam się i prawie podskoczyłam -

Smołka znikła. Dopiero co żałośnie prychała obok, obwąchując trawę, a teraz zapadła się pod ziemię. Może się domyśliła i położyła, pomyślałam z nadzieją i popełzłam do przodu. Na łące w nadmiarze rósł wysoki oset, kłujący, ale bardzo przydatny, jeśli ktoś ma w planach podchody.

Udało mi się podkraść kłócącym prawie pod nogi, tak że widziałam ich wysokie buty ze sznurowadłami, rozpięte z powodu upału kurtki, szare spodnie do konnej jazdy ze sztywnego płótna i miecze na pasach. Dokładnie tak ubiera się połowa ludzi i wampirów. Ale wampiry już dawno by mnie wyczuły. Nie mówiąc o tym, że rozmowa toczyła się w ogólnym.

- Idiota! Tak zepsuć prymitywną operację! Wydawałoby się, co tu prostszego, wymienić ochronę tak, żeby on nie zauważył?!

- No kto mógł przypuszczać, że on pojedzie na k'iardzie? - niepewnym głosem mamrotał drugi. -

Myśleliśmy, że oni go uprzedzą...

- Oni, oni... Przecież jemu w ostatniej chwili mogło przyjść do głowy cokolwiek! Powinieneś był sprawdzić! Nie podjeżdżać blisko, przyjrzeć się z krzaków! Strzelić trującą igłą! Ja mam cię uczyć?!

- Aha, przyjrzeć się... A strażnicy?

- Dwa senne wampiry i pięć śpiących! A was dwudziestu! Podejść, przywitać się, odprowadzić na bok i...

- Trzy! I on siedział z nimi! A to przekłete bydlę kręciło się obok, a kiedy zawyło, to nie tylko śpiący, ale i martwi by się zerwali!

- No i co z tego?! Kto tam może wiedzieć, co konia w zad ugryzło? Kleszcz dziabnął, a może niedźwiedzia poczuł? Przecież się umawialiśmy: komitet na spotkanie wysokiego gościa, nie mogliśmy się powstrzymać, wyjechaliśmy naprzeciw w celach zwiększenia bezpieczeństwa.

Przecież oni was wszystkich znali z widzenia, to co im jakiś rzucający się k'iard? Pogadaliby chwilę,

po czym znowu zasnęli.

- Żebyś ty widział jego oczy! On nawet nie pytał kto i co, tylko od razu złapał za gword!

- Pan już drugi miesiąc tę kretynekę wodzi za nos, a ten wszystko zrozumiał po jednym spojrzeniu?

Nic, on tylko był ostrożny, a tobie zabrakło szarych komórek, żeby wymyślić coś bardziej przekonującego niż sygnał do ataku! I co teraz niby mamy z nim zrobić? Jeżeli wyciągnę miecz, to nie będziemy mogli nim sterować, a bez reara z trupa pożytek niewielki.

- Rzemień mógł się zerwać podczas walki. Jeśli poszukać w trawie...

- Prościej będzie poszukać jakiejś mądrzejszej myśli w twoim pustym łbie! Nie, ten drań zdążył

sobie gdzieś znaleźć opiekuna... Ciekawostka, w Arlissie uważają, że mu po głowie tylko wiatr hula.

- Możemy zakopać trupy. Im powiemy, że wszyscy dotarli na miejsce, a jej, że on jak zwykle odmówił. Nawet się nie zdziwi.

- A koń?! Wcześniej czy później wróci do Dogewy bez jeźdźca, cały we krwi i najeżony bekami z naszymi znakami!

- Myślisz, że go nie dogonią?

- Jestem pewien! Bydlę biegło szybciej niż wiatr, a bełty tylko dodały mu pędu. Słońce już wzeszło, a ich nadal nie ma.

- To może daleko odbiegł? - z nadzieją zasugerował drugi.

- Uciekł, kretynie jeden - z pretensją odgryzł się jego rozmówca. - I co my teraz mamy powiedzieć Panu? Siedmiu z naszej dwudziestki nie żyje, a żywcem wzięliśmy tylko jednego. To jesteśmy o sześciu do tyłu!

Nie, tych typków stanowczo nie miałam za co kochać. I wampirami nie byli. Kogo oni tam wzięli żywcem? Chyba nie Lena?! Na to wyglądało, skoro wśród zabitych go nie znalazłam. Z tego, co mówili, mieli zamiar podmienić ochronę, ale po co? Żeby naprawdę porwać władcę? Kryna mówiła, że historię z „okupem za pana młodego” znają w obu dolinach, to może komuś wydała się wcale nie taka głupia. Oczywiście rozbójnikom przyjdzie chwilę popracować nad tym, żeby udowodnić wszystkim, że to nie jest kolejny dowcip, ale już po pierwszym uchu Dogewa zapłaci za Lena każdą kwotę, nawet wagę całej bandy w złocie.

Pozostawanie pod nogami podsłuchiwanym było nieco niebezpieczne, fałszywe wampiry dosłownie za moment spodziewały się chwilowo nieobecnych kolegów. Z pewną desperacją zaczęłam się zastanawiać, co robić dalej. Miałam do wyboru zacisnąć zęby i okrążyć rozbójników przez pokrzywy, po czym schować się w przyległym lesie, albo wycofać rakiem - bo jednak nie miałam dość zaufania, by odwracać się do nich tyłem.

Nagle ten drugi, któremu udało się spartaczyć operację, zagapił się wprost na mnie i wydarł:

- Ty patrz, jakie bezczelne bydlę! Znowu ono! I kiedy zdążyło się podkraść?!

Moją pierwszą myślą było zerwać się na nogi i rzucić do ucieczki, drugą - też zerwać się na nogi, ale już zaatakować pierwszym zaklęciem, które przyjdzie mi do głowy. Kiedy próbowałam coś wybrać, rozciągnięta na brzuchu, z twarzą schowaną w trawie zarówno ze strachu, jak i w celach konspiracji, pierwszy gwałtownie rzucił:

- Na koń!

I ziemia zadrżała od narastającego tupotu.

- Z lewej podejdź! Strzelaj! Ucieka, zaraza!

Tak?! - pomyślałam ze zdziwieniem i w tym momencie minęli mnie z dwóch stron, w odległości jakichś dziesięciu łokci. Z niedowierzaniem uniósłszy głowę, rozejrzałam się dookoła... Fałszywe wampiry z całej siły chłostały konie, a przed nimi na łeb na szyję gnała Smółka, która powoli, ale pewnie zyskiwała coraz większą przewagę. Na razie jeszcze znajdowała się w zasięgu bełtów, jednak przeładowanie kuszy na pędzącym koniu sprawiało pewien kłopot, a wycelowanie było jeszcze trudniejsze, tym bardziej że Smółka przypomniwała sobie taktykę stosowaną przez zająca i zaczęła biec zygzakami i podskakiwać. Ogrodzona lasami łąka wąskim gardłem otwierała się na bezkresną, pokrytą wzgórzami równinę, jak zalew otwiera się na ocean. Dowolny inny koń instynktownie wybrałby właśnie tę drogę ucieczki, ale kobyłka z mokradeł nie dowierzała otwartym stepom, ojczyźnie przodków, i nieoczekiwanie, jakoś tak bokiem, rzuciła się do lasu, w jednej chwili gubiąc się wśród drzew.

Bandyci wstrzymali konie, zdając sobie sprawę z bezsensu dalszej pogoni. Na pewno zaklęli z emfazą, chociaż znajdowali się za daleko, bym mogła ich słyszeć, i niespiesznym truchtem ruszyli z powrotem.

Popęzłam do przodu, mając szczyry zamiar skryć się w lesie. Posiedzę sobie w krzakach, a przy okazji posłucham, dokąd i po co zabierają więźnia, a tam pewnie wróci moja kobyłka i razem rzucimy się w pogoń. Bo na powrót do Dogewy stanowczo brak czasu, najpierw trzeba znaleźć gniazdo rozbójników, a potem patrzeć, co dalej. Może łatwiej będzie urządzić ucieczkę...

W tym momencie trafiłam ręką na coś twardego oraz zimnego i z oszałamiającą jasnością zrozumiałam, że spóźniłam się z moją durną nocną obietnicą zabicia Lena.

On już nie żył.

Rozdział dziesiąty

Było to tak bardzo przerażające i nieoczekiwane, że całkowicie zagłuszyło wszystkie właściwe dla sytuacji odczucia. Nie mogłam ani krzyknąć, ani wybuchnąć płaczem, ani stracić przytomności. Po prostu klęczałam i głupio dotykałam rozerwanego kołnierza jego szarej płóciennej koszuli, próbując

ściągnąć razem brzegi rozdarcia, jak gdybym bała się, że w przeciwnym razie on zmarznie i się przeziębii.

Niestety, pomyłka była wykluczona. Woskowa bladość zastygłej i poważnej twarzy nie pozostawiała nawet cienia wątpliwości, rozrzucone włosy wydawały się nierealnie jasne, jakby wyblakły w słońcu albo posiwiały. Skostniałe palce trzymały rękojeść miecza, który przygwałdził ciało do ziemi. Dobry cios, w samo serce.

Dobry?!

Niezbyt rozumiejąc, co robię i w jakim celu, ostrożnie oderwałam martwe ręce, po czym sama złapałam za rękojeść. Pociągnęłam, ale zabrakło mi sił - miecz nawet nie drgnął. W tym momencie zrozumiałam, że będę musiała wstać i jakby tego było mało - postawić nogę na piersi trupa.

Zaczął mnie dusić histeryczny śmiech. Mój najlepszy przyjaciel nie żyje, a ja stoję nad jego ciałem i zastanawiam się, czy wyciągnięcie tkwiącego w nim miecza jest etyczne!

Stanełam prosto, zamknęłam oczy i jedną nogą zaparłam się o ciało. Musiałam delikatnie poruszać mieczem, ale w końcu poddał się i powoli ruszył do góry, z każdym nowym pociągnięciem łatwiej i szybciej. Chyba wyciągnęłam. Nie miałam ochoty otwierać oczu, ponieważ po pierwsze, doskonale wiedziałam, co zobaczę, a po drugie, w ten sposób pozostawała jeszcze jakaś szansa, że nadal śpię i to wszystko jest kolejnym nocnym koszmarem.

I w tym momencie poczułam pod stopą jakiś ruch.

Do głowy nawet mi nie przyszło, że Len może w cudowny sposób powrócić do życia. Nie miałam też najmniejszego zamiaru się z tego cieszyć, wręcz przeciwnie. Złapałam miecz nieco wygodniej, żeby w razie czego wpakować go z powrotem, a jeszcze lepiej przekręcić. Tak na wszelki wypadek, bo na zajęciach praktycznych z nekromancji zdążyłam przekonać się ponad wszelką wątpliwość, że ożywiony przyjaciel jest znacznie gorszy od umarłego i lepiej jest przelewać nad trupem łzy, niż przed nim uciekać. Niepocieszeni krewni, którzy skorzystali z pomocy nekromantów, nie namyśliwszy się uprzednio, później jeszcze bardziej niepocieszeni błagali, żeby uspokoić strzygowaty przedmiot żałoby na zawsze.

Co prawda Len nie wyglądał, jakby miał zamiar ożyć i się zezombić. Mięśnie nie pracowały, a nieco makabrycznie zwijały się pod skórą, jak gdyby próbując przyjąć bardziej wygodną pozycję, z rany wypłynęła ciemna, gęsta krew. Powietrze nad ciałem zmętniało, niby otoczone przez bezbarwny płomień. Szybko zabrałam nogę i akurat zdążyłam: ubranie na trupie zaczęło dymić i zwijać się jak cienka brzoza kora na ciemnych, ale jeszcze niewystygłych węglach.

Słyszałam, że wampir trafiony osikowym kołkiem w serce natychmiast się spala. Na ścianie jednej ze starożytnych belorskich świątyń jest nawet zakopcona plama odpowiedniego kształtu, dla większej wyrazistości obrysowana żółtą farbą. Co prawda w zasadzie mogła być ona pozostałością po rycerzu, który czemuś nie spodobał się ziejącemu ogniem smokowi. Albo po prostu została narysowana przez jakichś przedsiębiorczych kleryków w celu przyciągnięcia dodatkowych wiernych. W każdym razie miecz wpakowany w serce zadziałał

inaczej niż kołek: samo ciało nie paliło się, ale jego kształt powoli się zmieniał, kończyny nieśpiesznie przemieszczały się, pozostawiając na ziemi „zbyteczne” kałuże krwi i strzępki ubrania.

Nie było to z żadnej strony podobne do zwykłej transformacji przy użyciu skrzydeł, jednak skutek okazał się ten sam.

Biały wilk z trudem i chwiejnie podniósł się na rozstawione łapy, pokręcił głową i spojrzał na mnie spode łba. Nędzne futro dokładnie okrywało wystające zębra, a z paszczy wilka kapła ślina, jak w trakcie ostatniego stadium wścieklizny.

W tym momencie przestraszyłam się naprawdę.

Miał żółte, zwierzęce oczy bez najmniejszych oznak intelektu.

- Len?

Zawarczał z wściekłością, spod obnażonych warg błysnęły kły. Zresztą jakie kły - cztery sztylety i tuzin mniejszych nożyków, bardzo przydatnych przy przerabianiu wieńców na farsz do kielbasy.

- Len!

Zwierzak skoczył. Podniosłam rękę, żeby zasłonić gardło, a on bez namysłu złapał zębami trochę poniżej łokcia. Przenikliwy, nieoczekiwanie silny i jakiś taki przykry ból szybko został zastąpiony przez brak czucia aż do samego ramienia. Odniosłam wrażenie, że rękę mam przegryzioną na pół

i dłoń zaraz wypadnie z rękawa. Ale wilk nie śpieszył się, by złapać i obgryźć trofeum. Zamiast tego z widocznym wstrętem wypluł tkwiącą w pysku kończynę, wyraźnie mając zamiar najpierw doprowadzić sprawę do końca. Ledwo zdążyłam cofnąć głowę, a już zęby ze szczęknięciem zamknęły się na moim kołnierzu, łatwo przegryzając zarówno kurtkę, jak i koszulę. Wilk w zamyśleniu przeżuł złapany kawałek skóry, kapiąc na moją szyję ciepłą śliną, ale nie zachwyił

się smakiem i spróbował załapać się na coś bardziej pożywnego, na wszelki wypadek nie wypuszczając tego, co już zdążył zagarnąć.

W tym momencie skończyła się moja cierpliwość, a raczej w końcu udało mi się pozbierać.

Oburzyłam się i kopnęłam napastnika nogą w brzuch. Zwierzak zaskomlał zdziwiony i cofnął się, nie otwierając paszczy. Kołnierz poszedł w szwach, koszula rozerwała się przy sznurowaniu.

- Len, odbiło ci?!

Wilk widocznie się zawahał. Przestał warczeć i patroszyć kurtkę jak skórę od kielbasy, a potem bez ceregieli zajrzał do rozerwanej koszuli. Widok stanowczo mu się spodobał. Sapnął z zachwytem i zamachał ogonem, po czym spróbował wpakować pysk jeszcze głębiej, łaskocząc moją pierś zimnym nosem, ale w tym momencie pisnęłam i uderzyłam wilka zdrowym łokciem, zmuszając do cofnięcia się.

Przez moment stał przede mną, jednocześnie zdziwiony i zasmucony, a potem odwrócił się i niepewnie ruszył precz, co chwilę oglądając się na mnie i spluwając. Wyglądał na głęboko urażonego, jakbym zrobiła mu ogromne świństwo - na przykład posmarowała kołnierz palącym pieprzem.

- Len!

Może by i wrócił, ale w tym momencie straciłam przytomność.

Szlachetne panny, mające tendencję do częstych omdleń, zwykle zapobiegawczo noszą przy sobie sole trzeźwiące - najlepiej we flakoniku na piersiach, by stworzyć jak najbardziej pikantne zamieszanie dookoła swojego nieprzytomnego ciała. Szczególnie dobrze ta metoda działa na niezdecydowanego zalotnika, który będąc człowiekiem szlachetnym, po całym przedstawieniu czuje się po prostu w obowiązku wzięcia symulantki za żonę.

Ale mnie najbardziej przydałby się hełm rycerski - medycyna nie wpadła jeszcze na lepszą metodę na cios polanem w ciemię.

Ocknęłam się związana i powieszona głową do dołu pod trzema nieszczególnie zadowolonymi spojrzeniami dwóch już znanych mi „wampirów” oraz jednego obcego, kudłatego, który podkraść

się do mnie od tyłu ze wspomnianym już polanem. Teraz w roztargnieniu podrzucał kawał drewna w dłoni.

- Myey eyeni? - spytałam przez knebel, niewinnie patrząc im w oczy.

Niewychowani rozbójnicy nawet się nie przywitali w odpowiedzi.

- Złapałem tę parszywkę koło ciała. - Kudłaty ze wstrętem pchnął mnie palcem w pierś. Na znak protestu mogłam tylko bujać się na przerzuconej przez gałąź linie i rozsyłać dookoła złe spojrzenia. - Wyciągnęła miecz.

- Co?! - Jak?!

- Zmienił się i nawiał - chmurnie dokończył rozbójnik.

Chyba ta wiadomość nieco ich zasmuciła. Lepiej by było, gdyby zatkali mi uszy.

Związane ręce praktycznie uniemożliwiały czarowanie. Oczywiście niektóre zaklęcia nie wymagają gestów, ale przewrócenie przeciwnika zwykle jednak nie jest wystarczające, bo najczęściej podnosi się on na nogi tylko bardziej rozeźlony. Krew powoli zaczynała pulsować mi w skroniach. Im dłużej tak sobie powieszę głowę w dół, tym większa szansa, że dorobię się wylewu krwi do mózgu, co dla maga jest losem gorszym niż śmierć - pełna i nieodwracalna utrata zdolności.

Po długiej i barwnej liście perwersji, którym oddawali się moi krewni ze sobą nawzajem, jak i z najróżniejszymi przedmiotami, rozbójnicy koniec końców przypomnieli sobie o najbardziej

paskudnym potomku całej wstrętnej rodziny. Wyciągnęli mi knebel i dla ożywienia rozmowy wpakowali pod nos szeroki krzywy nóż, po czym kudłacz grobowym tonem zapytał:

- A ty kto jesteś?

- A tak sobie pełzłam obok - odgryzłam się, zezując w stronę noża.

- Mówisz, że pełzłaś? - w zamyśleniu powtórzył bandyta i bez żadnego uprzedzenia uderzył mnie pięścią w brzuch.

Wygięłam się w łuk, próbując ustami złapać trochę powietrza, które uparcie odmawiało trafiania do płuc, utykając gdzieś w pół drogi. Tymczasem zostałam szybko i profesjonalnie przeszukana.

Na widok znaku cechowego kudłacz zagwizdał ze smutkiem.

- Wiedzma jej mać - zaklął, nie mogąc się powstrzymać. - Pusta, nie podmienisz...

Wytrząśnięte z sakiewki pieniądze nieco podniosły mu nastrój. Dokładnie przeliczył monетки, po czym przesypał je do kieszeni, całkowicie ignorując zazdrosne spojrzenia swoich współników. Z

trudem powstrzymałam się od złośliwego chichotu - przed wjazdem do Kamieńca, sławnego z kradzieży ulicznych, zaczarowałam sakiewkę, żeby komukolwiek, kto się na nią skusi, ręce świerbiły nie do cudzego dobra, tylko same z siebie. Następnie przysła kolej na dokumenty.

Kudłaty biegle przejrzał papierki, zmiął je i rzucił na trawę.

- Leszy by to wziął, ta dzierlatka jest byłym magiem królewskim!

Żeby tylko mistrz wiedział, komu będę musiała pokazywać zwój pracy...

- Kiedy praktykowałam na dworze - poinformowałam ich z wyższością - sam król co rano podawał mi kaptcie. I jeżeli z mojej głowy spadnie choć jeden włos, tajne służby odnajdą was i żywcem obedną ze skóry, a potem oddadzą do Konwentu Magów dla doświadczeń.

- To może ci władca też buty czyścił? - wyszczerzył się rozbójnik, drapiąc się w lewy nadgarstek, ale nóż zabrał.

- Nie, prał spodnie - poprawiłam go, nie precyzując, że praniem Len zajmował się wtedy po raz pierwszy i jedyny w życiu, na skutek zakładu, a cała sprawa zakończyła się utopieniem rzeczonych spodni. - A ja, tak w ogóle, jestem jeszcze najwyższą wiedźmą Dogewy. Wszystkie wampiry mi się w pas kłaniają, a Starsi puszczają przed sobą w drzwiach!

- Czyli ciche zakopanie cię pod krzakiem raczej nie wchodzi w rachubę? - z rozczarowaniem skonstatował kudłacz.

Z jakiegoś powodu ten fakt niezbyt mnie zmartwił. Powiedziałabym, że było dokładnie na odwrót.

Rozbójnicy odeszli na bok i cicho się naradzali, zupełnie nie zwracając uwagi na moje gromkie żądania, by dopuścić mnie do udziału w dyskusji jako stronę najbardziej zainteresowaną jej wynikiem. Kudłaty wściekle się drapał, pozostali zaczęli już rzucać na niego podejrzliwe spojrzenia i próbowali trzymać się możliwie daleko.

Pokazawszy sobie nawzajem po kolei gardło, ziemię, niebo i coś w kierunku lasu, rozbójnicy podjęli decyzję. Sądząc z ich zadowolonych min, mnie mogła ona jedynie zasmucić.

- Chyba puścimy cię wolno - ogłosił kudłacz.

- A nawet odprowadzimy - z niedobrym grymasem przytaknął mu drugi. - Tak ważna persona koniecznie potrzebuje ochrony, bo jakieś niedobre ludzie mogą przeszkodzić jej w powrocie do Dogewy ze smutnymi nowinami.

- Wszystko opowiem - obiecałam groźnie. - Wprost od progu. Znaczy od granicy.

- A my się tak strasznie boimy! - sztucznie roześmiał się trzeci. - Kto ci uwierzy? Słowo ludzkiej wiemy przeciwko słowom dziesięciu wampirów. No to niech ona sobie wymyśla w izbie tortur, jak jej się udało wykończyć władcę Dogewy. Przyczynę, dla której to zrobiła, Rada z pewnością sama wykoncypuje. Bo przecież miałaś jakieś grzeszki, czyż nie?

Nie bardzo już mogłam poczuć się gorzej, niemniej jednak...

„Z zazdrości” - na pewno zasugeruje Kella. Dwa lata chodziłam za Lenem jak wierny piesek, a na wieść o ślubie znikłam z doliny z tak wykrzywioną twarzą, że spokojnie mogłam zadusić całe poselstwo gołymi rękoma.

Spochmurniałam, a rozbójnicy wyraźnie się ucieszyli. Już odwiązywali nawet linę od pnia, gdy spod mojej koszuli z opóźnieniem wyslizgnęła się garść amuletów, po czym zawisła trochę poniżej czoła, bujając się na rzemieniach i łańcuszkach. Miałam na sobie zarówno ko-rzonek Welki, jak i awanturyn Lena, a poza tym kocie oko w kształcie kropli, niby na rozstrój żołądka (bądź wręcz przeciwnie, nie miałam nigdy okazji sprawdzić), drobne koraliki z obsydianu, które należało przebierać po kamyczku dla szybszego odnawiania rezerwy magicznej, zastygły w bursztynie listek (po prostu ładny) i całą resztę wiedźnich błyskotek.

Kudłaty obojętnie prześlizgnął się spojrzeniem po brzęczącym pęczku, spojrzął podejrzliwie na swoje do krwi rozdrapane ręce, ale nagle drgnął, odwrócił się gwałtownie, zgarnął amulety w garść, po czym natychmiast je wypuścił i z wrzaskiem zaczął skakać dookoła polany, dmuchając na dymiącą dłoń. Ochronny korzonek czadził czymś rudym i śmierdzącym. Welka sama do końca nie wiedziała, w jaki sposób powinien on działać na siły nieczyste. Tak na oko, trzeba było zebrać się na odwagę i pchnąć rzeczony siły tymże korzonkiem wprost w pysk albo inne wystające części ciała.

Pozostali bandyci nie zdążyli zauważyć, co się stało, i ze zdumieniem gapili się na tańczącego kolegę. Korzystając z chwili, na wszelkie sposoby naprężałam i wykręcałam nadgarstki, próbując osłabić ściągającą je linę. W tej ciężkiej misji pomagała mi krew, którą lina zdążyła już porządnie nasiąknąć, w związku z czym jej włókna napęczniały i zrobiły się śliskie. W prawej ręce, którą uznałam za

odgryzioną, brakowało czucia, ale jakimś cudem wykręcała się, mniej więcej jak potrzebowałam. Jeśli nie wyciągnę, to urwę, i tak potem trzeba będzie uciąć, pomyślałam ze złością, bezlitośnie wyrywając ją z pęt.

- Zdroweńki były! - dźwięczny dziewczęcy głosik zaskoczył wszystkich. Nawet kudłacz przestał

udawać trolla objedzonego muchomorami i z niedowierzaniem zapatrzył się na kolejną zakłócającą spokój osobę, zaczynając chyba podejrzewać, że wszyscy podróżnicy specjalnie nadrabiają drogę przez las, żeby popatrzeć na rozbójników, a gdzieś na rozstajach dróg wbita jest pewnie odpowiednia strzałka.

Jakieś dziesięć kroków ode mnie stała dziewczyna lat około dwudziestu. Samotna delikatna figurka, znad której prawego ramienia wyrastała opleciona skórą rękojeść miecza, a przez lewe spadał wzdłuż wysokich piersi gruby jasny warkocz. Dziewczyna bezczelnie trzymała dłonie na biodrach, z ciekawością podziwiając naszą barwną grupę. Gałęzie, przez które nieznajoma się przedzierała, jeszcze nie zdążyły zastygnąć w bezruchu.

- O, jakie garnę chłopcy! - stwierdziła tymczasem panna w soczystym winesskim dialekcie. - Wy tilki podywitysie jak po żanoczoj lascy znudyguwalysi, na odnu diwczynu we trzech rzucili! No to iditi i do mene, ja was też dobra uważu, bo maju czas i natchnienia!

Rozbójnicy również mieli solidne zasoby czasu i natchnienia. Wypuścili odwiązaną linę (prawie złamałam kark, o czym natychmiast poinformowałam ich w słowach nie do końca cenzuralnych), wyciągnęli miecze i w złowieszczej ciszy ruszyli w kierunku nieproszonej obrończyni.

Dziewczyna gwizdnęła ze smutkiem i cofnęła się, wyciągając własny miecz.

- Ty patrzą, druże, kogo my zaraz rubaty budemo! Nie wiem, czy miecz zdążył dobrze się rozejrzeć, ale ja bym na jego miejscu zadrzała, zanurkowała z powrotem do pochwy i możliwie ściśle związała sznurek. Broń przeciwników była półtora razy dłuższa i bardziej masywna, z drogiej ciemnej stali, znanej jako „krasnodzki aspid”. Rany zadane tym paskudztwem nie tylko nie chciały się goić bez użycia magii, ale i dalej rozrastały w głąb i wszere. Poza tym chodziły pogłoski, że aspidowy miecz słucha wyłącznie tej ręki, w której po raz pierwszy napił się krwi.

Nie zalecano nawet przerzucania go z ręki do ręki, chociaż naukowo - magicznego wyjaśnienia tego faktu nie było, tak samo jak i dowodów.

Niemniej nieznajoma nie wyglądała na szczególnie zmartwioną. Zaczęła się walka. Rozbójnicy bili się w milczeniu, dziewczyna wesoło komentowała:

- Majte sorom, pridhodite pa czerzi! To kudy ty pobiegł, kochany mój? A nu wertajsi, szos cikasze pokazę! Ne podobało się? A toż! Kułak w oko! O, to dobry cios! Ale żal, że nie mój... Ty szo robisz? Szo robisz, ja cię pytam?! Sam durny czy mistrz pogany się trafił? Chto tak diwczynę bije? Wo jak trebo! Poniaw? No jak się ockniesz, to dojdę. Ej, a mene to za szo?!

Mieczem wineczanka przeważnie parowała, waląc przeciwników na odlew wolną ręką i kopiąc.

Pierwszy cios żelazem trafił we wrogą skroń - szkoda, że na płask, Albo rozbójnicy w dzisiejszych czasach mieli jakoś wyjątkowo twarde łby, albo miecz pamiętał lepsze czasy, bo ostrze nawet nie tyle pękło, co rozbryznięło się na wszystkie strony. „Wampir” cofnął się chwiejnie, w oszołomieniu potrząsając głową. Dziewczyna nie straciła rezonu, trzasnęła go rękojęścią w szczękę, po czym bezlitośnie dołożyła nogą poniżej pasa. Przeciwnik skłonił się do samej ziemi, ale na ratunek śpieszyła mu już dwójka pozostałych. Wineczanka jak w grze dla dzieci odbiła się rękoma od ramion wampira i przeskoczyła przez niego. Cała trójka złożyła się w barwną kupkę, gwałtownie poruszającą wszystkimi kończynami.

Prawdziwe wampiry już dawno zrobiłyby z panny mielone, lecz ci ganiali ją po całej polance dobry kwadrans, zanim rzucili się wszyscy naraz i powalili na ziemię.

- Aha, ta się dla nas nada! - radośnie wydyszał kudłacz, trzymając dziewczynę za warkocz, jakby zamierzał urwać jej głowę.

Do czego - się nie dowiedziałam, jako że desperackim ruchem jednak wyrwałam prawą rękę (ni to z pęt, ni to ze stawów). Nie miałam specjalnie czasu na kombinowanie z czymś skomplikowanym i dokładnym, a poza tym bałam się, że trafię również dziewczynę, dlatego ograniczyłam się do zwykłej fali mocy, która rozrzuciła przeciwników po krzakach. Póki oni szamotali się i klęli, złapałam ułomek miecza i zajęłam się sznurami krępującymi nogi. Co prawda łatwiej byłoby rozplatać osłabiony czarami węzeł, ale w tym celu potrzebowałabym obu rąk, i to najlepiej sprawnych. Prawa wyglądała koszmarnie - zakrwawiona, spuchnięta, z niezginającymi się palcami i głębokimi śladami po sznurach. Lewa też ledwo działała, ale lepiej lub gorzej była w stanie trzymać zaimprovizowany nożyk.

Rozbójnicy wypadli z krzaków i skoczyli w moim kierunku, całkiem ignorując drugą przeciwniczkę. Zupełnie niesłusznie - ona sprawiedliwie uznała, że ten wróg nie zasługuje na uczciwą walkę. W powietrzu zagwizdał solidnych rozmiarów kamyczek, najbliższy „wampir” złapał go potylicą, wykonał zgrabny piruet i na dłuższą chwilę został wyłączony z działań bitewnych.

Pozostali przemyśleli sprawę i się rozdzielili. Mnie trafił się kudłacz, drapiący się intensywnie nawet w biegu. Odrzucił miecz i niczym stęskniona babcia otworzył ramiona na moje spotkanie, zdecydowany złapać mnie żywą. Tymczasem ja ledwie zdążyłam rozplatać nogi i wstać, ale nie mogłam zrobić ani kroku - kończyny tak zdrętwiały, że musiałam oprzeć się plecami o drzewo.

Nie miałam czasu na czarowanie i objęcia „babuni” okazały się żelazne do tego stopnia, że odczuły je zarówno moje kości, jak i pień drzewa. Bez szczególnej energii, raczej na znak protestu niż na poważnie stuknęłam kudłacza pięścią w łeb. Coś trzasnęło, błysnęło i przeciwnik bez jednego dźwięku rozsypał się w drobny czarny kurz, który natychmiast został rozwiany przez wiatr. Ze zdziwieniem spojrzałam na własną pięść. Dookoła palca prześlizgnęło się cieniutkie, pokryte łuskami żmijowe ciało, załśniło i ponownie zastygło srebrem pierścionka. A jednak artefakt po aktywacji nie zniknął ani nie stracił mocy.

Nogi się pode mną ugięły i osunęłam się wzdłuż pnia, czując się niewiele lepiej od trupa.

Obojętnie, dokładnie tak, jak powinny to robić nieobciążone sprawami doczesnymi zwłoki,

rozejrzałam się dookoła, machinalnie zebrałam z ziemi i wepchnęłam do kieszeni pomięty dyplom, ochlapując zwój krwią. Na polanie panowała podejrzana cisza, z krzaków wystawały nogi trzeciego rozbójnika. Dziewczyna pozbyła się już niepotrzebnego kamienia, ze smutkiem spojrzała na rozrzuconą po polance broń, ale po namyśle powstrzymała się przed zbieraniem trofeów.

- Tykaem! - zarządziła, machając ręką w kierunku lasu.

- Co?

Natychmiast przeszła na belorski z rzadkimi wstawkami winesskich słów:

- Spadamy, mówię! O tam, na horyzoncie, jakieś kropki się ruszają. Na pewno konni.

- Nie mogę.

- A to dlaczego? - Panna z niezrozumieniem ściągnęła brwi, szybko pochyliła się i złapała mnie pod pachy, po czym jednym pociągnięciem postawiła na nogi. - Na tamten świat zawsze zdążysz, a ten nie lubi leżących. Czy myślisz, że jeśli ręce na piersi skrzyżujesz, to woni czapki zdejmą, zapłaczą i się rozejdą?

Wyobraziłam sobie tę rozdzierającą duszę scenę i aż się wzdrygnęłam. Kropki rozrastały się, mnożyły. Naliczyłam osiem, potem straciłam rachubę. Konie rozbójników podczas walki uciekły na środek polanki, jednak nic miałyśmy czasu ich łapać, bo nogi w krzakach zaczęły się ruszać, ściągając na siebie uwagę głuchymi jękami swojego właściciela. Dziewczyna zdecydowała, że nie będzie czekała na moją zgodę. Pewnym ruchem podparła mnie ramieniem i złapała w talii, po czym z energią dzika podążyła w kierunku krzaków.

Jakoś udawało mi się przesuwać nogi, aż rozruszały się nieco pod wpływem upartego marszu i przestałam wisieć na mojej nowej znajomej niczym worek z piaskiem. Odsunęła się, ale na wszelki wypadek nie wypuszczała mojej ręki. Pogoni nie było słychać. Na zdrowy rozum miałyśmy w zapasie dłuższą chwilę, przynajmniej póki oni nie dojadą na miejsce, nie połapią się w sytuacji i nie odpytają tego, którego ogłuszyłyśmy - a i to, jeśli on w ogóle dojdzie do siebie, a nie zdechnie na miejscu. Poza tym mało prawdopodobne, by zauważył, dokąd po-biegłyśmy, i trzeba będzie szukać śladów, tak więc jeśli nie ma pomiędzy rozbójnikami prawdziwego wampira, na tym sprawa się zakończy.

Ugryziona ręka paliła, jakby wisiał na niej głodny bazyliśzek, który raz na jakiś czas poruszał

ostrą szczęką. Nie udawało mi się go strząsnąć, a zakłęcia rozbijały się o ścianę bólu, niepozwalającą na jakiegokolwiek skupienie. Ból narastał w odpowiedzi na dowolny ruch, dźwięk, pojawiający się w głowie obraz. Gdyby moja towarzyszka zaproponowała mi odrąbanie ręki, przystałabym na to bez chwili wahania. Ale dziewczyna bezlitośnie ciągnęła mnie do przodu, wybierając najmniej wygodną drogę przez rosnące blisko siebie świerki, czepiające się ubrania krzaki malin czy zrzucone przez wicher gałęzie. Koniec końców zleciałyśmy do porośniętego trzciniami parowu, z czego niesłychanie się ucieszyła - że niby teraz tamci nas na pewno nie dogonią, a jeśli będziemy szły po dnie strumyka, to nawet nie dadzą rady wysledzić.

Strumyk okazał się nie tylko głęboki nad kolano, ale i grząski. Chlupałyśmy po nim jak dwójka upartych myśliwych w pogoni za zestrzeloną kaczką, puszczając w dół potoku czarne chmurki brudu. Woda na początku wydawała się zimna, potem lodowata, ostatecznie nogi mi skostniały i zrobiło mi się już wszystko jedno. Poza tym strumyk pełen był jakichś węzowych kształtów, na oko żmij, które jednak nie śpieszyły się do włożenia pod podeszwy i czmychały na boki, sycząc z oburzeniem i nie mając najmniejszej ochoty na bliższe kontakty z szurnię-tymi pannicami. Suche zeszłoroczne trzciny wymieszane z zielonymi tegorocznymi bezlitośnie drapały ręce, nie było zza nich nic widać, a ja z trudem powstrzymywałam się przed żalonym okrzykiem: „Hej, rozbójnicy!

Poddajemy się! Wyciągnijcie nas stąd!”.

Wreszcie trafiłyśmy na leżącą sosnę i po niej wygramoliłyśmy się na brzeg. Jak się okazało, parów niezauważalnie się skończył, pozostawiając po sobie szeroki kanał, po którego obu stronach wyrastał rzadki las. Gdzieś daleko dały się koguty, dziewczyna bez wahania skrzyła w tamtą stronę.

Nie zdążyłyśmy przejść nawet stu kroków, gdy w i bez tego mętnych oczach mi pociemniało i jeśli sam upadek jeszcze potrafiłam sobie przypomnieć, to uderzenia o ziemię już nie poczułam.

Ocknęłam się głęboko w nocy na miękkim świerkowym pościeliu, obok wesoło strzelającego ogniska, delikatnie otulona dwiema kurtkami - swoją i cudzą, przesiąkniętą słodkim zapachem bzów. Po prawej ciemniał las, po lewej migwały gwiazdy, na horyzoncie przechodząc w skupione ogniki domów.

- O, cześć, niedoszły trupie! - Moja towarzyszka bezgłośnie wynurzyła się z mroku i postawiła na węglach kociołek z wodą, zrobiony z rycerskiego hełmu. Wyjaśniło się, co brzęczało w worku na jej ramieniu, który zrzuciła przed walką i którego nie zapomniała ponownie złapać przy ucieczce.

Jak to mawiał jeden z wielkich dowódców w starożytności: „Tchórz uciekający z pola walki porzuca wszystko, odważny zostaje w tym, co miał, a bohater zdąży również pozbierać po tchórze”. Ja nie miałam za bardzo czego zbierać, cały dobytek pozostał na siodle Smółki, a pieniądze wyparowały razem z kudłaczem. - No to szo, mam iść do siola po domowinę czy jak?

- Z domowiną poczekamy... - przyznałam ze zdziwieniem, po tym jak udało mi się połapać w swoich odczuciach. Głowa ciążyła niemiłosiernie, niesamowicie chciało mi się spać, ale nie czułam się chora ani pogryziona, zmarznięta czy pobita.

- Nie odzyskiwałaś przytomności od czasu obiadu. Spojrzałam, to niby ranna nie jesteś ani gorączki nic masz. Strułaś się? - zasugerowała dziewczyna. - Czy żmiję nadepnęłaś w tej klętej krynicy?

- Jak to ranna nie jestem? - obruszyłam się, siadając i wyplątując się z kurtek. - A odgryziona ręka? Myślisz, że to nic?

Podciągnęłam umazany krwią rękaw i ze zdumieniem zagapiłam się na gładką skórę. Ani blizny, ani zadrapania. Tylko rozerwany kołnierz kurtki i koszula świadczyły o minionym zajściu. Na wszelki wypadek obejrzałam również lewą rękę. Nic. Nawet siniec po pętach nie został.

- Leszy wie co - mruknęłam i z westchnieniem opadłam z powrotem na posłanie.

Nieznajoma pokiwała głową współczująco, opaloną gałęzią zbierając węgle bliżej hełmu z wrzącą już wodą.

- No, różnie się może zwidzieć po wyrznięciu łbem o ziemię. Wyśpij się dobrze, a jutro zobaczymy co i jak.

Wcale nie uważałam, żebym oszalała, chociaż w głowę oberwałam dziś dwa razy. Ale brakowało mi sił, żeby czegokolwiek dowodzić, oczy same się zamykały, a po ich zamknięciu natychmiast pojawiała się poczucie powolnego spływu rzeką na chybotzącej się tratwie.

Dziewczyna rozkruszyła i wrzuciła do kociołka łądygę dzikiej mięty, po czym usiadła po drugiej stronie ogniska, nakryta kawałkiem szarej wełny, topornie podszytym z boku. Takie koce rozdają wojownikom na wyprawy, są cienkie i lekkie, a w razie konieczności można je zwinąć w ciasny i zajmujący niewiele miejsca pakunek, który wygodnie jest przetransportować. W czasie postoju chronią śpiącego przed deszczem i wiatrem, lecz prawie nie grzeją. A ona oddała mi kurtkę z ciepłym futrzanym podbiciem.

- Nie zmarzniesz?

- Ta ne - dostałam senną odpowiedź. - Przyzwyczajona jestem. A ty może pić chcesz? Trawka zaraz się zawarzy, to mogę ci do kubka nacedzić...

Ale ja już spałam.

Rozdział jedenasty

Zostałam obudzona przez Smołkę. Akurat śnił mi się ogromny - i z jakiegoś powodu czarny -

wilk, przed którym długo uciekałam po gęstych górzystych lasach, ledwie poruszając ciężkimi jak ołów nogami... Koniec końców zwierzak mnie dogonił, skoczył na plecy, powalił i zaczął

objadać, zaczynając od głowy. Oczywiście widok czarnego pyska obwąchującego moją twarz nie wzbudził we mnie zachwyty. Moja towarzyszką, przebudzona wrzaskiem, najpierw zaplątała się w kocu, potem wygrzebała z niego z trudem i z powrotem padła na posłanie, tym razem z radosnym śmiechem.

Zakłęłam, odepchnęłam klaczkę i usiadłam, przecierając zaspane oczy. Zawsze radosna Smołka machnęła powitalnie ogonem w kierunku nieznajomej, obwąchała węgle i zanim zdążyłam zareagować, wpakowała pysk do kociołka. Przez noc zaschło mi w gardle i chłodny napar miętowy byłby akurat na miejscu, ale kobyła załatwiła sprawę w kilka łyków, biorąc zawartość naczynia za jakiś specjalny koński kompot. Głucho czknęła do hełmu, po czym ze zdziwieniem postawiła uszy i cofnęła się, nie spuszczać oczu z podejrzanego naczynia. Bez trudu złapałam ją za uzdę. W jednym ze strzemion wisiał zaczepiony czubkiem wyświechtany męski but. Przez ile wiorst jego właściciel niechlubnie włókł się za galopującą kobyłą, wiedziała tylko sama Smołka.

- Ot, bisowa koniaka - aprobowano zauważyła dziewczyna. Tylko wiejskie niedojdy na jarmarkach zaglądną koniom w zęby, żeby zrobić wrażenie doświadczonych kupców i obniżyć cenę.

Prawdziwemu zawodowcowi wystarczy jedno spojrzenie. I właśnie takim spojrzeniem moja nowa znajoma obrzuciła żylaste nogi, podciągnięty brzuch i widoczną pod lśniącą sierścią muskulaturę.

- Twoja?

Skinęłam głową. But nie wyglądał na należący do rozbójnika. Pewnie na bejskiej kobyłce chciał przejechać się jakiś chłop. Tak czy siak, do przewieszonych przez siodło sakw się nie dobrał i wszystko było na miejscu, nawet miecz. Pokręciłam but w rękach i już chciałam wyrzucić go w krzaki, gdy rychło w czas usłyszałam nieco przygłuszone brzęczenie. Ze środka wyciągnęłam trzy owinięte szmatką złote monety, które nieco polepszyły mi nastrój.

Gdy ja pieściłam i chwaliłam roztopną kobyłkę, dziewczyna zwinęła koc, przepłukała kociołek i napełniła go wodą z flaszki.

- Masz coś jadalnego? Bo ja tylko chleb ze słoniną, a i to na jeden kęs.

Pogrzebałam w torbie i zdecydowałam, że przyszedł czas na podejrzaną kaszę owsianą, póki nie zrobiła się z niej kasza jednoznacznie robaczywa. Rzuciłam woreczek obok ogniska i wyćwiczonym gestem dotknęłam górki opału, która nijak nie chciała zająć się ogniem od ledwie gorzejących węgli. Wilgotne polana zatrzeszczały z niezadowoleniem i zaczęły pluć skrami, ale zajęły się płomieniem. Moja towarzyszka drgnęła zaskoczona i na wszelki wypadek odsunęła się od ogniska, a przy okazji ode mnie.

- A ty kto jesteś? - przypominałam sobie nieco poniewczasie.

Przez chwilę milczała, ni to szukając właściwych słów, ni to próbując wygrać nieco czasu na kłamstwo:

- Jak by ci to powiedzieć... Tak przechodziłam obok...

Gdzieś już to słyszałam. Dziewczyna zauważyła mój sceptyczny grymas i szybko się poprawiła:

- Jestem najemną wojowniczką, chciałam ściąć sobie drogę do traktu. Myślałam, że załapię się jako strażniczka do kupieckiej karawany albo do czyjejś ochrony. A przy okazji, na imię mam Orsana.

Po raz pierwszy miałam okazję trochę lepiej przyjrzeć się mojej wybawicielce. Typowa wineczanka: jasnowłosa, o brązowych oczach i czarnych brwiach, wyraźnych rysach twarzy, mojego wzrostu, szczupła, ale mająca dużo mocniejsze kości. Mieszkanki Winessy znane są z wyjątkowo kobiecych kształtów i dosyć żywo wyobraziłam sobie Orsanę za jakieś dwadzieścia lat, jako rumianą babę, której wpół nie obejmiesz, z talerzem pierogów w rękach - o ile oczywiście do tego czasu wyjdzie za mąż, urodzi gromadkę dzieci i zarzuci codzienne treningi.

Co prawda spokojne życie raczej jej nie groziło, z tak upartym podbródkiem i wyzywającym, ironicznym spojrzeniem.

- Ja jestem Wolha. A gdzie masz wszystko?

- Co wszystko? - pogubiła się Orsana.

- No, miecz, łuk, garść noży do miotania, kolczugę, nakolanniki, parę kastetów, konia bojowego?

Co tam jeszcze powinno być w ekwipunku najemnika?

- A, o to ci chodzi... - Orsana posmutniała. - Niestety... Wyrosłam w biednej chłopskiej rodzinie, matka ledwo co zebrała mi na drogę dwadzieścia sztuk złota, a ojciec oddał swój stary miecz, który złamał się o łeb tamtego rzeńskiego rozbójnika. Tygodnia go nie miałam, zaraza...

- Czyli jesteś na drodze tak samo nowa jak i ja - podsumowałam.

- Jak i ty? Myślałam, że rozbójnicy zabrali cię z jakiegoś rozgrabionego sioła i zamierzali... -

dziewczyna zaczerwieniła się i szeptem dokończyła: - zbeczcześć...

Teraz ja przez chwilę zwlekałam z udzieleniem odpowiedzi, tak jak wcześniej Orsana.

Opowiadanie całej prawdy o sobie nie było najlepszym pomysłem. Ale nie miałam też najmniejszej ochoty na oczywiste kłamstwa - zapłaczę się w nich, wywołam głupie podejrzenia, a potem ona będzie w moją stronę zezować i zadawać podchwytliwe pytania.

- Jestem magiczką, tydzień temu dostałam dyplom z wolnym przydziałem. Też szukam pracy, ale najlepiej bez walki wręcz i bezczeszczenia.

- Magiczka? - Orsana gwizdnęła z szacunkiem. - A nie kłamiesz? W mieście widziałam magów, same facety, stare pierniki w kołpakach i szatach z gwiazdami. A i wiedźmy niby powinny u siebie w chatkach mieszać zioła ni to kurzymi łapkami, ni to gałęziami po samobójcach i robić wbrew przejeżdżającym ludziom.

- Zrobić wbrew to ja zawsze mogę - roześmiałam się. - Dla twojej informacji, w chatkach siedzą tylko oszustki, które przy pomocy tychże kurzych łap mieszają ludziom w głowach. Tak przy okazji, sproszkowane są znacznie efektywniejsze, mam gdzieś saszetkę... Możemy dosypać do kaszy, dla smaku.

- Nie no, przeżyję bez tego - Orsana spieszenie odmówiła. - A czy dasz radę zamienić pałkę w miecz?

Mogłam tylko rozłożyć ręce:

- Niestety... Tworzeniem mieczy się nie zajmuję. Zwróć się do kowala.

- Szkoda - westchnęła dziewczyna. - Zostało mi szesnaście kładni, a pilnie potrzebne mi miecz, kolczuga i koń w pełnym rynsztunku. Sam koń kosztuje nie mniej niż pięćdziesiąt, więc wystarczy mi tylko na ogon i kopyta.

- To kup póki co miecz, a nim zapracujesz na całą resztę - zaproponowałam.

- Przez miesiąc? Mało prawdopodobne. - Uderzeniem o kolano złamała grubą gałąź i cisnęła odłamki do ogniska. Gdybym chciała uczynić podobnie, złamałabym sobie nogę.

- Czas cię nagli? - spytałam z przyjazną ciekawością.

- Chciałam załapać się do belorskiego legionu. Za miesiąc jest letni nabór i dowolny wojownik, który wytrzyma próbę, zostanie wcielony w szeregi. Jeżeli, oczywiście, posiada pełny ekwipunek.

A tak będę musiała czekać do przyszłego roku.

Z kociołka kipiała gęsta piana w podejrzone ciapki, ale zdecydowałam, że nie będę psuć sobie apetytu jej dokładnym badaniem, i po prostu zdmuchnęłam całość do ogniska, pomagając sobie łyżką. To nic, kasza będzie bardziej jędrna.

- A co za próba?

- A takie tam drobiazgi. Pojedynek na miecze, kopie i kusze - niedbale machnęła ręką dziewczyna, krojąc chleb i słoninę.

- Niczego sobie drobiazgi! - Miałam okazję widzieć kilka takich pojedynków. Po ich zakończeniu z areny po cichu i niezauważalnie wywlekano za nogi nie dość roztropnych kandydatów. -

Wydaje mi się, że dodatkowy rok życia wcale ci nie zaszkodzi.

- Wojownik żyje w walce! - Orsana hardo zadarła nos.

- W niej też umiera, i to nader szybko - zgodziłam się. - W każdym razie mam u ciebie dług. Nie opływam co prawda w gotówkę, ale jeśli chcesz, możemy podróżować razem, póki nie zbieramy na kupno konia dla ciebie.

- Doskonały pomysł! - Orsana uśmiechnęła się, ale natychmiast spoważniała i szybko zapytała: -

Na pewno tego chcesz? Ja nie mam nic przeciwko towarzystwu, razem zawsze raźniej, ale przecież ty miałaś jakieś plany?

Plan miałam jeden: zabrać się stąd możliwie szybko i daleko, a w wolnym czasie dobrze przemyśleć zaistniałą sytuację. Do Dogewy nie mam po co jechać, to pewne. Tym bardziej że właśnie tam będą na mnie czekać. Jeżeli jak gdyby nigdy nic wrócę do Starminu, wampiry ostatecznie przekonają się, że to ja zabiłam ich władcę, i zażądają wydania przestępczyni. A naszemu królowi wystarczy tylko dać powód do waśni z nimi, cała ta dolina jest dla niego solą w oku i nie pozwala wyprostować granicy. Poza tym trochę za wcześnie, żeby rozpaczać po Lenie, może teraz wilk sobie pobiega, przewietrzy się i dojdzie do siebie. Jak bardzo bym się o niego martwiła, samodzielne szukanie go nie ma sensu i dużo bardziej celowe będzie przeczekanie i nienatrętne rozpytywanie dookoła o tych rozbójników udających wampiry. Tak duża banda po prostu nie mogła pozostać niezauważona, a na jej rachunku powinny być i jakieś inne przestępstwa.

- Nie, żadnych planów - stwierdziłam zdecydowanie. - Jak trakt, to trakt. A tak przy okazji, gdzie on jest?

Orsana machnęła ręką w kierunku widzianych wczoraj w nocy ogników:

- Jeśli mapa nie kłamie, powinien być tam.

Słońce oślepiało, miałam problemy, by wypatrzeć cokolwiek na horyzoncie czy ocenić odległość na bezkresnej równinie.

- To sprawdzimy - stwierdziłam krótko, mieszając bulgoczącą owsiankę. Orsana ucichła z szacunkiem, ponieważ nadchodził najbardziej odpowiedzialny moment, przed którym kasza jeszcze nie dość się rozgotowała, a po nim - na śmierć przywierała do ścianek.

Ale udało mi się. Parząc sobie języki i dmuchając na pełne łyżki, wyzarłyśmy owsiankę wprost z kociołka, a to, co zostało, dałam Smołce. Zajęta jedzeniem kobyła pozwoliła Orsanie nawet poklepać się po szyi, lecz tak pochmurnie łypnęła na nią znad hełmu, że śpiesznie wcisnęłam się pomiędzy obie damy, dla niepoznaki podnosząc z ziemi wylizany do blasku kociołek.

Najemniczka nic nie zauważyła i już przymierzała się do siodła.

- Uniesie dwójkę czy będziemy jechać na zmianę? Jak chcesz, to ty pierwsza.

- To niedaleko, może przejdziemy na piechotę? - zaproponowałam, łamiąc sobie głowę, jak by tu możliwie taktownie wyjaśnić Orsanie, że moja kobyła w zasadzie nie jest kobyłą, a do tego bywa bardzo wybredna, jeśli chodzi o wybór jeźdźców.

Lecz dziewczyna tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi:

- Wsiadaj!

Nawet nie zdążyłam wyprostować się w siodle, gdy Orsana już lekko wskoczyła na nie za moimi plecami, ledwo dotykając ręką końskiego grzbietu. Smółka zazdrośnie zerknęła do tyłu, ale zobaczyła wodze w moich rękach, uznała Orsanę za kolejny pakunek i się uspokoiła.

- Jak się zmęczy, to zeskoczę. A ty się o mnie nie martw, ja mogę biec obok, na treningach mnie uczyli. Tyle żeby się złapać strzemienia, a potem nawet i w galop.

Ukradkiem odetchnęłam. Nie widziała galopu Smółki, bo tylko ręka by w strzemieniu została.

Podwójne obciążenie nie miało na kobyłę żadnego wpływu, z niezmienną energią wrywała się do przodu, co rusz musiałam ją powstrzymywać. A nuż wczorajsi rozbójnicy czekali na nas konno i zmęczona Smółka nie da rady dostatecznie szybko przed nimi nawiać? Nie wątpiłam, że wcześniej czy później i tak zostaną w tyle, ale im mniej bełtów poleci w naszą stronę, zanim to się stanie, tym lepiej dla nas.

Myśli Orsany również podążały w tym kierunku:

- I czego oni się tak ciebie uczepili?

- Zwykli grabieżcy - skłamałam, ciesząc się, że najemniczka siedzi z tyłu i nie widzi wyrazu moich oczu. - Zabrali pieniądze, potem by zbezczeszili i zabili...

- Wiedźmę? Wieszając na drzewie głową do dołu? Coś mi się nie chce wierzyć. Bardziej podobne do przesłuchania czy namawiania do niedobrowolnej współpracy.

- A leszy ich tam wie, dzięki tobie nie miałam okazji porozmawiać z nimi o konkretach -

wykręciłam się. - Kto cię trenował? Dobrze walczysz.

Z jakiegoś powodu teraz Orsana chwilę milczała:

- A, to... tata, trochę wujek. Oni przez całe życie służyli w legionie, wojacy z dziada pradziada, w domu rozmowy były tylko o tym, jak i kogo posiekali na tatar.

- Ty też chciałaś?

- A kto mnie tam pytał? Uczyli machania mieczem, ponieważ sami nie umieli nic innego - z pretensją w głosie powiedziała dziewczyna. Wyglądało na to, że pożegnanie z krewnymi wcale nie było aż tak ciepłe, jak mogło się to wydawać.

- Dlaczego nie wysłali cię do winesskiego legionu? No dobrze, ostatnia wojna pomiędzy Belorią i Winessą przypominała raczej głupi dowcip: armie wyszły na pole walki, popatrzyły po sobie, po czym nasza wycofała się bez walki, a wasza ze zdziwienia nawet nie poszła grabić wsi. Ale kto może zaręczyć, że następnym razem nie zetkniecie się z ojcem nos w nos?

- Po pierwsze, po tamtej wojnie mamy z wami pokój podpisany na pięćdziesiąt lat. Po drugie, do winesskiego legionu dziewczyn nie biorą. A tak przy okazji, tata opowiadał, że po wsiach się jednak przeszli, ale bardzo uprzejmie i z pieniędzmi w garści, ponieważ trochę wstyd wracać z wyprawy z pustymi rękoma, trzeba było przynajmniej jakiś upominek, niechby nawet słomianą kukłę w regionalnym stroju przywieźć dla teściowej. Poza tym słoninę macie tanią. Nasi się potem długo dopytywali, czy to była jednak wojna, czy belorska zabawa narodowa: wyzywamy sąsiadów, zbieramy wojsko, efektownie maszerujemy przez połowę kraju, a potem przepraszamy i mówimy, że żartowaliśmy? W ramach wsparcia regionalnego chałupnictwa i sprzedaży zleżalej słoniny?

- Oj, tak, nasz król to prawdziwy specjalista, jeśli idzie o zabawy narodowe - westchnęłam. -

Pamiętam chociażby oblężenie Wzgórza Zamkowego. Pewnie przed tą całą „wojną” trenował.

- A co za wzgórze? - zaciekawiała się najemniczka. No i musiałam opowiedzieć Orsanie tę smutną i pouczającą historię. A przy okazji umiliłyśmy sobie drogę.

...Dwa lata temu świętowaliśmy równe sto lat od zajęcia przez wojska królewskie wspomnianej już twierdzy na wzgórzu za miastem. Tak w zasadzie to nikt nie pamiętał, z jakim wrogiem walczył nasz odważny naród i skąd rzeczony wróg się w twierdzy w ogóle wziął, ale najważniejsze było, że

wygrali ci, co powinni, czyli my. No więc król postanowił, że uczci tę wspaniałą datę festynem z inscenizacją ataku na ruiny. W całym kraju ogłoszono święto, żaden igrzysk naród radośnie zjechał się do stolicy, a Naum zarządził, by w związku z okazją wypolerować jego paradną zbroję, która z racji nieużywania zdążyła już zardzewieć, i jakoś przygotować twierdzę, przynajmniej z przodu. Sumienni budowniczcy w terminie postawili kamienną ścianę na zębatych resztkach starych murów - co prawda zrobili to dokładnie tak, jak król kazał, czyli przed główną bramą. Sądząc ze wszystkich oznak, powstała forteca obliczona była na bezgranicznie tępego i upartego wroga, który cierpi na nadmiar rycerskiego honoru i polezie na tę jedyną ścianę. Na obrońców twierdzy wyznaczono znajdujących się w niełasce dworaków, których przebrano za zagadkowych wrogów, czyli w czarne skórzane zbroje bez znaków rozpoznawczych. Sam król zażyczył sobie stanąć na czele elitarnego oddziału rycerzy, na wszelki wypadek założywszy na hełm największą i najbardziej błyszczącą koronę, żeby jakiś nadto energiczny obrońca nie spowodował przypadkiem urazów na ciele Jego Delikatności. Dookoła wzgórza rozstawiono kramy ze słodyczami i piwem, dziesiątki minstreli, przekrzykując się nawzajem, rozdzierało ciszę pełnymi uczucia pieśniami - z bliżej nieznanego powodu poświęconymi Naumowi, a nie prawdziwemu zwycięzcy. Wędrowni kuglarze dławili się ogniem, a złodzieje bez większych przeszkód pozbawiali kieszenie gapiów, podziwiających maszerujące w kierunku wzniesienia wojsko, nadmiaru gotówki. „Wrogowie” smętnie obserwowali wojsko ze szczytu ściany, trzymając w pogotowiu długie lagi, drewniane miecze i wiadra z zimną wodą, które miały zastępować wrzącą smołę.

Wydarły się trąby bojowe, król uroczyście zsiadł z konia u podnóża wzniesienia, zasalutował mieczem w kierunku przeciwnika i bardzo malowniczo wskazał tymże mieczem twierdzę.

Rycerze odważnie rzucili się do szturm.

Niestety, król nie wziął pod uwagę jednego przykrego drobiazgu - jego daleki poprzednik atakował zamek suchym latem, a lato obecne było deszczowe jak rzadko. Skutek: gliniasta ziemia na łysych zboczach wzgórza zmieniła się w śliskie błoto, na którym miałyby trudności nawet koza, a co tu dopiero mówić o setce zakutych w zbroje rycerzy.

Pierwsza dziesiątka dowodzonych przez Nauma entuzjastów zdołała w jakiś sposób oszukać prawa natury i dotrzeć dosyć wysoko, na jakieś czterdzieści łokci, ale obrońcy nie zdążyli nawet chlusnąć w kierunku zuchwalców wodą, bo i bez tego wilgotna ziemia osunęła się pod ich stopami.

Liczne wśród widzów niewiasty zapobiegawczo zakryły uszy swoim nieletnim dzieciom -

umazana błotem kupa ludzi zsuwająca się z łomotem wydawała z siebie mnogość niekoniecznie cenzuralnych dźwięków, które zbierały się w słowa, a nawet i we wcale skomplikowane zdania.

Powoli, acz pewnie rzeczona kupa rozpełzła się, wyjawivszy na samym dole nieco wymiętego króla w pogiętej koronie. Rozeźlony Naum złapał oddech i zarządził powtórny atak, tym razem nie świecąc rycerzom osobistym przykładem, a tylko z natchnieniem komenderując nimi przy użyciu szerokiej tuby.

Rycerze z uporem dążyli do twierdzy na kolanach, podciągali się na wtykanych w ziemię mieczach, a

nawet pełzli, korzystając z ostrych czubków żelaznych butów i uwieńczonych kolcami nakolanników. Ale wystarczyło, że jeden z nich zaczął się ześlizgiwać, by wszyscy znajdujący się niżej jak dojrzałe winne grono zrywali się z miejsca i z narastającą szybkością pędzili w dół. Niektórzy machnęli na sprawę ręką i spróbowali dobrać się do zamku od strony tylnej, praktycznie zniszczonej ściany, ale odważni obrońcy poczuli się tym faktem wysoce urażeni i odmówili walki z tak niesumiebnym przeciwnikiem, po czym z hańbą odesłali go z powrotem. Zresztą niektórzy atakujący kategorycznie odmówili zarówno odejścia, jak i dalszej walki - zmieszali się z wrogiem, rozsiedli pod murami, rozsypali zawiniątka przygotowane przez troskliwe żony i z chmurnym wyrazem twarzy zabrali się do konsumpcji chleba i świeżych ogórków.

Naród głośno wyrażał swoją radość. Naum zgrzytał zębami. Oblegani zrywali boki ze śmiechu, jednak w końcu ulitowali się i zrzucili wrogom liny. Rycerze, którzy z wielkim trudem pokonali szczyt murów, przeważnie dziękowali swoim wybawcom, po czym z jękiem padali w cień, ściągali hełmy i zachłannie pili z wiader ze „smołą”. Niestety, niektórzy oblegający wykazali się rzadką podstępnością i spróbowali zerwać łopoczącą nad fortem flagę, co oznaczałoby przejęcie tej pierwszej. Ale obrońcy natychmiast opamiętali się, oburzyli i nie bez pomocy szlachetnych rycerzy zabrali do spychania spryciarzy w dół wzgórza. Ci zaś bez żadnych przeszkód turlali się do samych jego stóp, przy akompaniamencie okrzyków widzów.

Zabawa trwała dobre dwie godziny, aż ostatecznie obolali ze śmiechu wrogowie sami zdjęli tę nieszczęsną flagę. I tak przywrócona została sprawiedliwość historyczna...

A my tymczasem dotarliśmy do sioła - nieoczekiwanie dużego, od miasta odróżniał je tylko brak kamiennych domów i bruku. Zwało się Klótniem i znajdowało na witiagskim trakcie, który przecinał Belorię z zachodu na wschód, lekko pod skosem, od Winessy do Jesionowego Grodu.

Sam trakt był centralną wiejską drogą. Prawie nieprzerwanym potokiem poruszali się po nim podróżnicy - handlarze, żebracy, gońcy, najemnicy, przyjezdni artyści i oszuści (czasem będący jednym i drugim naraz), minstrele i cała masa innych kochających podróżę ludzi. Oczywiście w siole istniała gospoda, a przy niej karczma „Dębowy Pieniek”, pełna ludzi i świeżych informacji.

Orsana rozglądała się na boki z taką ciekawością, jakby po raz pierwszy miała okazję widzieć karczmę od środka. Jej spojrzenie po kolei zatrzymywało się na warkoczach czosnku, chroniących budynek i znajdujących się w nim ludzi przed siłą nieczystą, ogromnych kuflach piwa, zwisających z sufitu lampach, jeszcze niezapalonych, ale już od rana napełnionych olejem, ciężkich i solidnych stołach oraz ławach, zbitych z dębowych bali - żeby nie szło ich połamać ani oderwać od ziemi przy okazji zadymy.

Za kilka sztuk srebra wynajęliśmy izbę na noc - na stryszku, malutką, lecz zamykaną na klucz, zaniósłszy tam bagaże i zamówiliśmy kolację oraz śniadanie dla siebie i dla kobyłki. Na nas karczmarz spoglądał sennie i obojętnie, ale Smółka go zachwyciła; długo cmokał językiem, podziwiając ją z okna, po czym z miłością zapytał:

- A czym panie każą ją nakarmić? Jęczmieniem, owsem, sianem z łąki? Może bym wysłał chłopaka, żeby skosił trochę koniczyny?

- Wszystko jedno, tylko proszę uważać na ręce - westchnęłam.

Smolce akurat bardzo się nie spodobał gapiący się na nią łachmaniarz, bez uprzedzenia odwróciła się do niego tyłem i uderzyła kopytami, wykopując go w sam środek kupy gnoju, co wywołało głośny rechot wszystkich znajdujących się w pobliżu. Karczmarz do reszty rozplątał się w zachwytach. Okazało się, że przecudna kobyła kopnęła znanego oszusta i złodzieja koni, który dawno już kręcił się po targach, ale nigdy nie został złapany za rękę.

Szybko odprowadziłam Smołkę do stajni, póki karczmarz nie wpadł na pomysł bliższego zapoznania się z cud - konikiem. Wróciłam, naradziłam się z Orsaną i zdecydowałyśmy, że najpierw poszukamy pracy w samym siole, a potem, jeżeli rzeczywiście trafi nam się jakaś poszukująca ochrony karawana, dołączymy do niej. W każdym razie nie miałyśmy zamiaru zatrzymywać się w Kłótniu na dłużej - mnie martwili rozbójnicy, którzy nadal pozostawali zbyt blisko, a Orsana marzyła o odwiedzeniu Witiagu znajdującego się dwa dni drogi od Kłótnia, dużego miasta znanego z ruin elfiego zamku i najlepszych w całej Belorii słodczy.

Jako że chciałyśmy możliwie szybko obadać sioło, ściągając na siebie przy tej okazji możliwie najmniej uwagi, rozdzieliliśmy się. Mało prawdopodobne, by ktoś chciał wynająć nas obie naraz, a nawet jeśli, to wieczorem spotkamy się w karczmie i wymienimy nowinami. Ja wyszłam jako pierwsza - Orsana wdała się w żywą dyskusję z solidnych gabarytów chłopiną przy drzwiach, który pokazywał jej swój miecz, podczas gdy ona z mądrym wyrazem twarzy stuknęła paznokciem po ostrzu. Potem, ku ogólnemu zachwytowi i używając tylko lewej ręki, z gwizdem rozkręciła miecz nad głową, zwinnie przekładając palce na

rękojeści, a po chwili takiej zabawy nieoczekiwanie rzuciła nim przez całą karczmę, tak że ostrze do połowy znikło w szczelinie między balami. Krasnolud, który siedział przy stole blisko ściany, popatrzył w górę, zszarzał na twarzy, po czym odłożył nadgryziony chleb i na wszelki wypadek pomacał się po czubku głowy.

Na centralnej ulicy panował hałas, a ludzi było prawie tylu co w stolicy. Na środku niewielkiego placu rozłożył się tabor koczowników, źródło przeważającej części rabanu: piszczały umorusane dzieciaki, smagłe kobiety w pstrokatych, mocno wyciętych z przodu sukniach przenikliwym zaśpiewem namawiały do wróżby, głośno klócili się mężczyźni, rżały konie i szczekały psy.

Dookoła biegały handlarki z drożdżówkami i orzeszkami, na odwróconych koszach siedzieli lokalni mistrzowie wyrobów ludowych z rozłożonymi na ziemi glinianymi gwizdkami i słomianymi babami, statecznym krokiem spacerowali przyjezdni kupcy, wymieniający uwagi ze sobą nawzajem i z miejscowymi.

Obeszłam plac bokiem i skręciłam w uliczkę pomiędzy budynkami. Tu było trochę ciszej, domy stały otoczone sadami i ogrodami, a tu i tam suszyły się na palikach sieci - w okolicach Kłótnia znajdowało się niewielkie jezioro.

Uczciwie mówiąc, nie wkładałam jakiegoś szczególnego wysiłku w szukanie roboty. Był to jednak niezły pretekst do rozpoczęcia rozmowy. Po otrzymaniu kolejnej odmowy nie śpieszyłam się z odejściem, rzucałam niewinną uwagę na temat wyjątkowo upalnej wiosny. W większości wypadków

zapewniało mi to półgodzinną pogawędkę. Tajemniczym tonem informowano mnie, że nie jest to dobry znak, niedługo znowu uderzą mrozy, i to takie mocniejsze od poprzednich, wszystkie pędy pomarzną, pąki się osypią, a sąsiadka Głębka w nocy zamienia się w siwą kobyłę i w takiej bezwstydnym postaci skacze nad dachami, rzucając w kominy klątw - trawę, co powoduje, że gospodyniom się kasza przypala i zupa kwaśnieje, a co się dzieje z chłopami, to w ogóle wstyd mówić. Sumienne i pełne współczucia potakiwanie sprawiało, że potok informacji i plotek lał się równym strumieniem i zanim nastał wieczór, wiedziałam już wszystko, co było mi potrzebne.

Żadne, nawet najcichsze wieści o bandzie rozbójników tu nie dotarły, jeżeli nie liczyć za rozbójników karczmarza i właścicielki gospody, którzy zapewniali sobie nawzajem klientelę i zdzierali ze trzy razy nad cenę. Podobni do wampirów obcy na gnadych koniach do sioła również nie zawitali. Czułam się zmęczona, głodna i w wyniku całkowicie nieudanych poszukiwań pracy zupełnie straciłam zapał. Koniec końców zwyczajnie usiadłam na poboczu drogi, żeby nieco złapać oddech i uporządkować myśli.

Nie chciało mnie opuścić paskudne, męczące uczucie, że czas działa przeciwko mnie. A co, jeśli Len właśnie teraz ponownie umiera gdzieś w lesie, nadal nie zmieniwszy postaci? Wyglądał

paskudnie, a te oczy... Kiedy mieszkałam w Dogewie, tylko w ten sposób od-różniałam wampiry od udomowionych wilków, których w dolinie było pełno. Stop, a jeśli w ogóle nie było tam prawdziwych wilków? Co wtedy mówiła Kryna? „Przekonał się, że oddał mnie w dobre ręce, i odszedł”... A może on też był kiedyś wampirem, a potem zginął i został z nią po śmierci, milczące, oddane zwierzę, wspomnienie, „którym nie można żyć, jakkolwiek dobre by było”?

W takim wypadku nie ma dla mnie nadziei.

Wyglądałam na tak umęczoną i nieszczęśliwą, że jakiś przechodzień o dobrym sercu rzucił na moje kolana miedziaka. Podniosłam spojrzenie i zobaczyłam karczmarza z wypatroszonym gąsiorem pod pachą - pewnie wszyscy pomocnicy byli zajęci i musiał osobiście wybrać się do rzeźnika. Gdy biedak zorientował się w sytuacji, rozplątał się w przeprosinach, że niby nie poznał.

Tylko machnęłam ręką i zwróciłam datek.

- Stało się coś? - ze współczuciem zapytał karczmarz, chowając monetkę.

- Po prostu jestem zmęczona.

- A szkoda, ja akurat miałem pani pracę zaproponować... - zasmucił się, przekładając gąsiora do drugiej ręki. - Ale to się nie śpieszy, tak, wilkołaka nauczyć moresu...

Takie postawienie sprawy było cokolwiek nietypowe, więc ostrożnie poprosiłam o sprecyzowanie, co dokładnie powinnam zrobić z tymże wilkołakiem.

- A cokolwiek, byleby się uspokoił - z irytacją w głosie rzucił karczmarz. - Do reszty, pies jeden, wstyd stracił. W nocy hasa po wsi i do okien zagląda, ratunku przed nim nie ma. I to dobrze, jak się z własną żoną miłujesz: popatrzy i sobie pójdzie, ale kiedy sąsiadka wpadnie z wizytą, to zaczyna do

sumienia wołać, i to tak przenikliwie, jakby z księgi czytał, aż włosy dęba stają. I rzeki ognia przypomina, i mrakobiesy z rozżarzonymi szczypcami, i co one tymi szczypcami robią... Lepiej by było, jakby cholernik kogo zagryzł i się uspokoił na miesiąc, jak każdy normalny potwór. Już nawet dajnowi się skarżyliśmy, a on tylko oczy podnosi ku niebu i je palcem wskazuje: że to niby boska kara zesłana za nasze grzechy! Macie się modlić i częściej ofiary składać. To może lepiej się zrzucić raz jeden i dla pani, niż co noc wysłuchi-wać takich litanii, a z rana lecieć do świątyni ze świecą.

- I pan mówi, że tak co noc? - spytałam ze zwątpieniem.

Karczmarz ochłonął i mruknął, że to tylko tak, bo ładnie brzmiało, ale wilkołaka jednak ma już powyżej uszu i niechaj ja sobie z nim robię, co chcę, ale żeby nie psuł odpoczynku porządnych ludziom.

Obiecałam, że się zastanowię, a tymczasem wróciłam na centralną ulicę, kupiłam pasztecik z kapustą oraz posiekanym jajkiem, przegryzłam i nieco się uspokoiłam. Nie ma co tracić nadziei przed czasem, przecież po coś ci rozbójnicy ochraniaли ciało Lena - nie spalili go ani nie pochowali. Wilk w klatce im średnio potrzebny, trup także. Tak, rozpatrywali również takie możliwości, ale się nie śpieszyli. Czyli jednak mieli w planach jakoś go wskrzesić i wykorzystać, licząc na jakiś tam rear. Ciekawe, co to jest ten rear? Wampiry na pewno wiedzą. Rety, jak mi brakowało Lena - z jego durnym zwyczajem przemilczania rzeczy, o których z jego punktu widzenia nie powinnam wiedzieć, ale udzielania uczciwych odpowiedzi na wprost zadane pytania... Nie raz i nie dwa włosy mi stawały dęba, na przykład kiedy zupełnym przypadkiem dowiedziałam się, że najkrótsza droga pomiędzy stolicą Dogewy i jedną z dużych wsi, z jakiegoś powodu omijana przez miejscowych szerokim łukiem, prowadziła przez opuszczony cmentarz, o którym wieść gminna niosła, że tam straszy... I to po tym, jak chodziłam tą drogą przez całutki miesiąc i nawet siadałam na takich wygodnych wzgórkach, żeby odpocząć! A sam Len, jeżeli mi towarzyszył, niezmiennie stał obok, przekonując, że nie jest zmęczony, i uważnie rozglądał się na boki. „Co to za różnica - tłumaczył się potem - nikt nic broni chodzenia po cmentarzach i jeżeli tobie tak jest wygodniej, to po co miałbym ci psuć nastrój?...” Leszy by to wszystko wziął, wszystko bym oddała za kolejny żarcik Lena albo przynajmniej za możliwość znalezienia się u jego boku na tamtej polanie, nawet gdyby już nie udało mi się jej opuścić...

Nie, stanowczo potrzebowałam innego tematu do rozmyślań. Zdecydowanym gestem wytarłam mokre oczy, wpakowałam do ust resztki pasztecika i udałam się „moresować” wilkołaka.

Nie zastanawiając się długo, urządziłam zasadzkę obok karczmy, czyli usiadłam na pniu za drewnutnią. Z tego miejsca wspaniale widać było całe podwórze, na które wychodziła większość okien. Szczególnie się nie chowałam, ale milczałam i nie ruszałam się, a ciemne ubranie pomagało mi wtopić się w mrok nocy.

Koło północy nagle zawyły wszystkie psy we wsi i z krzaków porzeczek wyskoczył wilkołak -

stworzenie podobne do wilka, lecz mające prawie trzy łokcie w kłębie, krótki ogon i solidną rudą brodę, widoczną na tle szarej sierści. Wyraźnie się bał, rozglądał na boki, a gdy wyszłam naprzeciw, uprzejmie się przywitałam i przedstawiłam, informując o celu naszego spotkania, do reszty stracił odwagę. Zaczął w skomplikowanych zdaniach przeproszać za swoje niewłaściwe zachowanie i

obiecał mi, że poprawi się oraz przestanie urządzić nocne kazania, tylko

„przeciekający dach naprawi, wyłoci ikony i jeszcze zamówi u malarza, żeby odnowił portrety, bo sam już nie odróżnia świętych od mrakobiesów”, w którym to celu „wziął na duszę grzech, dając wolę przekłętemu opętaniu, które przedtem trzymał na wodzy modlitw i pobożnego życia”, ponieważ „nie pójdzie pastwa po właściwej drodze bez niedrzemiącego stróża i strach ten dobry dla nich jest”.

Z trudem powstrzymałam się od śmiechu, wyciągnęłam miecz i obiecałam, że przekażę połowę honorarium na świątynię.

Pobożny wilkołak pisnął i rzucił się do ucieczki, w biegu wołając: „Zgiń, przepadnij! Ratujcie mnie, dobre ludzie! Co to się takiego dzieje! Za słuszną wiarę od wstrętnej wiedźmy męki śmiertelne znoszę!”.

Głośno potupałam w miejscu i schowałam miecz do pochwy, uznając zadanie za wykonane.

- Jutro będzie jarmark we wsi - radośnie poinformowała mnie Orsana, gdy już rozebrałam się, na paluszkach podeszłam do dużego wspólnego łóżka i ostrożnie schowałam pod kołdrę, cały czas ze wszystkich sił próbując jej nie obudzić. - Trzeba będzie pójść i popatrzeć, tutejsze ceny powinny być niższe niż w mieście. A ja zarobiłam jednego kładnia, zastąpiłam wykidajkę przy drzwiach.

Uszkodził staw i uznał, że sobie dzień poleży.

- I wielu wyrzuciłaś?

- Tylko jednego, bo wziął mnie za dziwkę. A jak tobie poszło?

- Drobiazg. Jeden wilkołak, ale taki prawdziwy. Nie zabiłam go, więc mało prawdopodobne, by ktokolwiek mi zapłacił.

- Znaczy się co?

- Prawdziwe wilkołaki zmieniają postać na własne życzenie i w dowolnej chwili, zachowując rozum i zdolność mowy. A jeżeli umiejętność ta nie jest wrodzona, tylko pojawiła się, powiedzmy, na skutek klątwy albo ugryzienia kudłaka, to zmieniają się w stwory rodem z koszmaru wyłącznie w nocy albo w ciemności i rzucają na wszystko, co się rusza, a potem nic nie pamiętają... Co prawda wśród prawdziwych również zdarzają się żądne krwi potwory, dokładnie tak samo jak wśród ludzi.

- A one są straszne? - z drzeniem w głosie spytała Orsana, trzęsąc się pod ciepłą kołdrą.

- Zwykle - ziewnęłam - podobne do wilków, kudłate, o okrągłych uszach, nos pokryty sierścią, pysk krótszy niż u wilków, ale za to szerszy. Podstawowa różnica: ślad będzie miał pięć palców.

Ale pazury też mają, luz problemu wleżą po ścianie z belek. Zresztą ten to tylko przez okna zaglądał... Ale co tam, leszy z nim, dobranoc!

Już zasypiając, usłyszałam, jak Orsana przekradła się do okna i zamknęła okiennice na haczyk.

Rozdział dwunasty

Desperackie pianie kogutów obudziło nas przed świtem. Orsana otworzyła okiennice na oścież i wbiła senne spojrzenie w szarą poranną mgłę, po czym chmurnie zasugerowała, że za pierwsze pianie kogutów wzięliśmy ostatnie wycie wilków. Niemniej jednak czas był najwyższy, żeby wstawać. Kupcy zwykle zjeżdżają na plac jarmarczny głęboką nocą, a handel zaczynają w momencie, gdy zyskują możliwość odróżnienia złota od srebra, i jest to najlepsza możliwa chwila do ubicia interesu. Potem na rynku pojawia się tłum, który w pierwszej kolejności wynosi wszystko, co najciekawsze i najtańsze.

Z okna widać było wybieg dla zwierząt, pokryty nawozem i poryty kopytami. Przy ścianie stał

krzywy stóg zeszłorocznej słomy do wyściełania żłobów. Zamknięty w kurniku kogut wydarł się jeszcze raz i przez tylne drzwi wyszła ziewająca gospodyni z wiadrem jęczmienia w rękę.

Wysypawszy ziarno do długiego koryta, otworzyła ptaszarnie. Podwórko wypełniło się gdakaniem, kwakaniem, gęgotem, a w chlewach niecierpliwie zakwiczały głodne świnię.

Obudzeni goście zaczęli powoli ściągać do jadłodajni, ku smakowitym aromatom rozpełzającym się od paleniska. Słyszałam, jak wymieniają powitania i tupoczą na schodach.

Ja i Orsana uznaliśmy, że nie będziemy marnować czasu na śniadanie. Szybko się ubrałyśmy i po kolei zeskoczyłyśmy z okna na stóg, stoczyłyśmy się po jego szeleszczącym boku, po czym otrzepałyśmy sobie nawzajem plecy i ruszyłyśmy na plac handlowy.

Niestety, targ nie spełnił naszych oczekiwań. Zgadza się - wyłożono na nim całą masę mieczy, łuków, sztyletów, kolczug oraz innych narzędzi ataku i obrony, ale, niestety, zaliczały się one do gatunku topornie skleconych tanioc, od biedy nadających się do treningu, jednak prawie bezużytecznych w walce. Po wielu poszukiwaniach najemnicze udało się wygrzebać w stercie chłamu wcale niezły krasnoludzki miecz, który nawet nosił znak mistrza. Kupiec zażądał za niego piętnastu kładni, czyli prawie całości posiadanych przez Orsanę pieniędzy. Zasmucona dziewczyna pokręciła się dookoła kramu, zważyła miecz w rękę, wypróbowała w akcji, rozrąbując usłużnie podstawione polanko. Co tu dużo gadać - rzeczywiście był niezły, pewnie wart swojej ceny. Nawet ja widziałam różnicę pomiędzy zwykłym paskiem zaostzonego żelaza i tą matową, acz groźną klingą, zrobioną z dwóch różnych gatunków stali, w której pręty zostały najpierw splecione ze sobą, a dopiero potem wykute.

- Niech panna się nie zastanawia - przekonywał kupiec pochmurną najemniczkę. - Towar pierwsza klasa, innego nie mamy. Z takim to panna wytrwa przeciw całej bandzie rozbójników. E, co ja gadam, nawet starą Gerdę panna wyprawi na tamten świat.

- Ze niby kogo? - zaciekałam się.

- Smoczycę - chętnie wyjaśnił kupiec.

- A to wy tutaj macie smoki?

- No, mamy, co mamy nie mieć? O tam, daleko w górach, mieszkał stary smok, ale coś ja go dawno nie widziałem, ni to odleciał, ni to zdechł ze starości, kto go tam wie. A tu, trochę bliżej, o, tamoj, pod tamtą górą, jest jaskinia smoczycy. Też niemłoda, jakieś trzydzieści lat będzie, kiedy jej ostatni wylęg się rozleciał po świecie. Mawiają, że ona w tej swojej jaskini ma niezmierzone skarby: złoto, kamienie szlachetne. No i, się rozumie, szkieletów też niezłą kolekcję. Na świecie przecież masa durniów, którzy uznają smoczą głowę za wspaniałe tro-feum.

Gdyby chciała, mogłaby się tylko nimi jednymi żywić, wtedy może przestałaby kraść bydło.

Zresztą te trzy czy cztery owce na miesiąc miejscowi jej wybaczą. Mówi się, że z czyjego stada owcę stara Gerda zje, temu niedługo córka za mąż wyjdzie. No to jak, panno, bierze panna miecz?

Czy, he - he, mam pannie owcę zaproponować na oczarowanie smoczycy?

- Biorę! - Orsana zarumieniła się jak burak i złapała za sakiewkę.

- Nie, nie bierze - zaprzeczyłam spokojnie, zabierając wojownicze miecz i ostrożnie wkładając go z powrotem w stojak. - Idziemy.

- Ej, co ty? Dokąd?! - obruszyła się dziewczyna, próbując ponownie chwycić za rękojeść, ale złapałam ją za ramiona i odwróciłam tyłem do kramu.

- Dziękujemy, szanowny panie, bardzo nam pan pomógł.

Kupiec z niezrozumieniem patrzył za nami.

- Wolho, o co ci chodzi?

- Mam zamiar oczarować starą smoczycę.

- Odbiło ci?!

- Przeciwnie.

„Górą” kupiec na wyrost nazwał pokryte lasami wzgórze, a „jaskinią” - porzuconą kopalnię granitu, do której prowadziło długie, wąskie przejście, kiedyś podparte balami. Smoczyca nie przejmowała się zawałami, przeciskając się do jaskini, tułowiem przewracała drewniane podpory i ich odłamki leżały teraz na ziemi wewnątrz tunelu, który niknął w mroku.

Na otwartym kawałku terenu przed wejściem wyrastała górka kości. Na udekorowanie

„przedpokoju” Gerda nie żałowała sił ani czasu - wiele warta była chociażby wesoła kompozycja z trzech szkieletów siedzących dookoła dopalonego ogniska, nad którym wisiał kociołek.

- Wolho, a jesteś pewna, że ona w ogóle będzie chciała z nami gadać? - Orsana niepewnie zerknęła do czarnej dziury. - Pachnie szczurami...

- No, jak nie będzie, to nie będzie. A co tracimy? - Dołączyłam do najemniczki. - Oj, tak, zapach mocno taki sobie. Hej - ho!

- ...Ej!! O!!! - usłużnie powtórzyło echo.

- Jest kto w domu?

- ...Omu... Omu...

- Daj, ja spróbuję. - Orsana zrobiła krok do przodu. - Hej, smoku! Wyłaż! Będziemy się bić na śmierć i życie!

- Cie! Cie!!! - skomentowało echo. W głębi przejścia coś syknęło, ryknęło, a potem zapaliło się i poleciało w naszym kierunku. Ze zgodnym wrzaskiem rzuciłyśmy się na bok, przykrywając głowy rękoma, a nad nami z hukiem zatrzepotał język smoczego ognia. Wy-starczyło go tylko na moment, ale i tak zaczęłam dosyć wyraźnie czuć gorąco na plecach. Potem język znikł, jak gdyby został wchłonięty z powrotem, a w powietrzu pojawił się ostry zapach spalenizny. Ostrożnie otworzyłam oczy. Kamień, za który tak szczęśliwie padłyśmy, nadtopił się i poczerniał.

- No, kto tam się znowu drze?! - przeciągle zaryczał solidnie wzmocniony przez echo głos. Z mroku wychynęła głowa na długiej szyi, potem pierś, przednie łapy, skrzydła...

- Jaka piękna! - wyrwało się Orsanie. Połechtana smoczyca wygięła szyję, dając nam możliwość podziwiania wąskiego, kształtnego łba, szerokiego złotego grzebienia oraz błyszczących łusek koloru antracytu, po których tu i ówdzie przeskakiwały zielonkawe iskierki.

- Dzień dobry! - powiedziała uprzejmie, podnosząc głowę zza kamienia. - Przepraszam, czy mogłaby nam pani poświęcić trochę czasu?

- A możecie wrócić później? - nieoczekiwanie cienkim, zrędlwym i skrzekliwym starczym głosem poprosiła smoczyca. - Może ja najpierw polecę i zjem śniadanie, a wy tu sobie poczekacie? Bo to trochę niewygodnie walczyć o pustym żołądku...

- Ale my tylko chcieliśmy porozmawiać...

- No to po co było się drzeć? „Wyłaż! Śmierć i życie!”? - oburzyła się smoczyca. - Myślałam, że tu naprawdę pojawili się jacyś rycerze i chcą tej, jak jej tam... sta... scy... scacysfakcji! Ta, już ja im wierzę!... Pewnie, że im scacysfakcja potrzebna! Śnią i tylko moje skarby widzą, cholerni drakłusownicy!

- Ale ja tylko tak żartowałam... - przyznała się czerwona Orsana. - Myślałyśmy, że pani śpi i nie słyszy.

- Ano, zgadza się, spałam - z godnością potwierdziła smoczyca. - A ponieważ bój na śmierć i życie się jednak nie odbędzie, to tym bardziej możecie poczekać, aż zjem śniadanie!

Z tymi słowami niedbale przekroczyła nasze ciała, rozprostowała czarno - złote skrzydła, ciężko skoczyła i wzbiła się w powietrze, podnosząc gęstą chmurę kurzu.

Gdy już skończyłyśmy kaszleć, przez dłuższą chwilę nie mogłyśmy znaleźć słów.

- Stara kłoda! - Orsana z oburzeniem splunęła, podniosła się i wyciągnęła do mnie rękę. - Myślisz, że naprawdę sobie poleciała?

- Pewnie tak, ale mało prawdopodobne, że daleko czy na długo. Ma nadzieję, że my się tu ucieszymy i uderzymy do jaskini po złoto i brylanty - zasugerowałam sarkastycznie.

- A nie uderzymy? - zdziwiła się dziewczyna, z bo* jaźnią, acz pożądliwie zaglądnęła do tunelu. Z

zewnątrz nic nie było widać, jednak Orsana nie ośmieliła się wejść do środka. A nawet jakby, to i tak bym ją powstrzymała.

- Chyba zwariowałaś. Zapamiętała nasz zapach, a lata szybciej niż gołąb pocztowy, nie zdążymy wiorsty przejść! A nawet jeśli...

Lewark (smok, który kiedyś mieszkał w Górach Elgarskich, a potem przeniósł się na szkolne podwórko, możliwie daleko od nadmiernie energicznych drakłusowników) opowiadał, że w czasach jego gorącej młodości pewnemu magowi mimo wszystko udało się niepostrzeżenie ukraść z jaskini złote berło z rubinowym zwieńczeniem, artefakt powodzenia i szczęścia. Smok z prawdziwym zachwytem wyliczył zaklęcia, których użył sprytny złodziejasek, po czym pokazał

mi będące przedmiotem całej afery berło, zauważalnie nadtopione. Magowi wystarczyło szczęścia równo na dwa tygodnie.

Orsana z rozczarowaniem odwróciła się od jaskini.

- No to w takim razie wyjaśnij mi, po co przyciągnęłaś mnie do tego śmierdzącego legowiska.

- Szukać pracy. Przecież jesteśmy najemniczkami, nie? - Puściłam do niej oczko.

- Pracować? Dla smoka?! - ze zdenerwowania Orsana przeszła na swój rodzimy język.

- A co w tym takiego? Smoki przynajmniej zawsze dotrzymują słowa.

- Wolho, ale ceż przecie smok! Weliczezna, wognedyszna, newrazlima góra! Szo my możemy ej zaproponowały? W sensie zaoferować? - najemniczka w końcu załapała, dlaczego patrzę na nią kompletnie nierozumiejącymi oczyma.

- Za nic nie uwierzę, że tak wielki smok nie ma przynajmniej jednego drobnego problemu.

Dokładnie jak się spodziewałam, Gerda wróciła dosyć szybko i zastała nas przy palącym się ognisku. Szczęśliwie zdążyłyśmy już rozprawić się z zakupionymi na jarmarku racuchami i zapić je wodą zagotowaną z ziołami (kociołek pożyczłyśmy od szkieletów, a strumyk przyuważyłyśmy po drodze

do jaskini) - las znowu zaścielony został kurzem, który aż zgrzytał w zębach. Smoczyca rzuciła w naszą stronę spojrzenie z ukosa, sceptycznie prychnęła, złożyła skrzydła i weszła do tunelu. Kolczasty koniuszek ogona pozostał na zewnątrz i z rozdrażnieniem stukał po ziemi. Słysząc było, jak stara kłoda grzebie po jaskini, mrużąc pod nosem coś w rodzaju: „...Impertynentki... i sobie tak po prostu siedzą... żadnego spokoju... i pułapki nieruszone... szkoda, szkoda...”.

Orsana drgnęła i pochyliła się ku mnie:

- Dobrze, że tam nie poszliśmy! Łuskowata gadzina rozstawiła na nas wnyki!

- Wszystko słyszę - chmurnie burknęła smoczyca tyłem wyłaząc z jaskini. - Mam znakomity słuch. Jeszcze jeden wątpliwy komplement pod moim adresem i pewne młodociane grubianki ryzykują, że nie doczekają siwych włosów. Dobra, opowiadajcie, z czym żeście przyszły, i możecie stąd zniknąć, póki humor mi się nie zepsuł do reszty.

- Myśmy tylko chciały się dowiedzieć - wystąpiłam do przodu - czy nie będzie pani miała jakiejś pracy dla maga i wojowniczeki?

Gerda aż przysiadła na ogonie, zdziwiona nie mniej niż Orsana.

- Co?! Czy wy, maluszki, macie przynajmniej wyobrażenie, z kim rozmawiacie?! Też mi się pracownice znalazły! Śniadanie i kolacja!

- Ale przecież pani nie jada ludzi - przypomniałam, kiwając głową w kierunku wysuszonych przez czas szkieletów.

- A skąd ci to przyszło do głowy?! Jadam. Szczególnie młode, delikatne panny.

- Ale my jesteśmy łykowate i koślawe - beczelnie zauważyła Orsana.

Gerda przysunęła pysk bezpośrednio do twarzy dziewczyny i w skupieniu ją obwąchała.

Najemniczka zmrużyła oczy, a jej włosy trzepotały w rytm smoczego oddechu.

- No, zgadza się, nie jadam - po dłuższej chwili namysłu przyznała Gerda. - Ale nie ze względów etycznych, a z racji wyjątkowo paskudnego smaku. Jednak nie mówcie mi, że macie nadzieję za jakąś drobną przysługę zostać obsypane brylantami? Wydaje wam się, że skoro mam skarby, to szastam nimi na lewo i prawo?

- Brylanty nam niepotrzebne. - Ja otrząsnęłam kurz ze spodni, Orsana przyglądała sterczące włosy. - Lepiej, jeśli pani nas obsypie przyzwoitymi mieczem i kolczugą.

- Żebyście mi na miejscu ucięły głowę?!

- Żeby moja przyjaciółka mogła się dostać do belorskiego legionu - wyjaśniłam cierpliwie, nie pozwalając wyprowadzić się z równowagi.

Smoki to bardzo chytre i pragmatyczne istoty i mimo że wyglądają, jakby bardzo szybko traciły cierpliwość, długo zachowują spokój. Ale za to same uwielbiają doprowadzać ludzi do wściekłości. Słyszałam, że po powitalnych „dyskusjach” ze smokami niektórzy rycerze ciskali broń, złazili z koni i w jakimś zaćmieniu rzucali się na paskudną gadzinę z gołymi rękoma, pragnąc zadusić na miejscu. A gadzinie tylko w to graj.

- Pewnie miecz ma być ze srebra, a kolczuga ze złota? - Gerda pogardliwie prychnęła dymem. -

Do legionu? Że niby kurwą oddziałową? No to przecież za takie coś się nie płaci, a nawet można coś odłożyć.

- Ostry miecz i solidna kolczuga - wyliczyła biała jak kreda Orsana. - A swoje złoto możesz sobie wsadzić w...

Ostatnie słowo wypowiedziała bardzo cicho, ale wyraźnie.

Zapanowała niemiła cisza.

- No dobrze - nieoczekiwanie zdecydowała smoczyca. - Będę miała dla was zadanie. Może ciężka praca fizyczna podziela wychowawczo na tę gadatliwą... legionistkę.

Ton jej głosu bardzo mi się nie spodobał.

- Nienawidzę... - przez zęby wycedziła Orsana, ze wstrętem podnosząc dwoma palcami wyschniętą kość o rozmiarach ludzkiego obojczyka, lecz kształtem przypominającą piszczel. -

Najbardziej ze wszystkich rzeczy na ziemi nienawidzę wielkiego sprzątanía!

- Ja także - przyznałam z westchnieniem, rytmicznie omiatając jaskinię własnoręcznie zrobioną z gałązek orzecha miotełką. - Nie żeby była to czysta robota, ale musisz się zgodzić, że bardzo dobrze płatna i niezbyt uciążliwa.

- Wiesz no, to nie tak, że mam pretensje. Trzeba przyznać, sprzątanie rzecz potrzebna, szczególnie jak się je jeszcze podeprze bonusem w postaci legionu. Ale jeżeli tu skądś wyskoczy szczur, będę krzyżeć - uczciwie uprzedziła mnie Orsana, rzucając kość na kupę śmieci pośrodku pieczary. Sprzątanie trwało już kolejną godzinę i zbliżało się do końca - sumiennie wymiotłyśmy śmieci ze wszystkich kątów, tworząc prawdziwy kurhan, w którym ziemia i kamienie mieszały się z kawałkami pogiętego żelaza i kości.

- Szczury nie przepadają za smokami i rzadko zamieszkują w ich norach. - Rozprostowałam plecy i przetarłam krzyż, podziwiając dzieło naszych rąk. Gerda znowu gdzieś odleciała, pozostawiając jaskinię pod naszą kuratelą. Pewnie ona również nie przepadała za sprzątaním. Światła, które docierało przez tunel, było stanowczo za mało dla tak tytanicznej pracy, w związku z czym korzystałam ze sztucznego oświetlenia z użyciem kulistych pulsarów, trzepoczących promieniami w różnej odległości od podłoża.

- To skąd ten słodkawy zapaszek? - Orsana zmięła jakąś szmatę i celnie rzuciła nią w imponującą

pajęczynę pod sufitem.

- Może to sama smoczyca? - Podniosłam i rozłożyłam brudny kawał tkaniny, który okazał się kobiecymi koronkowymi majtkami. - Jak myślisz, co się stało z ich właścicielką?

- Najpewniej jakiś szlachetny rycerz wziął je od pięknej damy serca w zamian za pas wierności.

Mam nadzieję, że dama miała zapasowy klucz... A przy okazji, gdzie w ogóle są skarby?

Wydawało mi się, że smoki na nich sypiają!

- Pewnie za tym kamieniem. - Skinęłam w kierunku sporo ode mnie wyższej, masywnej bryły, która niedokładnie przylegała do ściany. Ziemia przed nią wyglądała na podejrzenie czystą, jak gdyby kamień był niedawno odsuwany.

- Ej, a może zajrzemy, co?! - wyraźnie zainteresowała się Orsana, podchodząc i przymierzając się do skały. Raczej dla żartu, ponieważ do jej odsunięcia potrzeba by pięciu takich jak my.

- Chcesz, żeby ten kurhan stał się dla nas nagrobny?

- Oj, daj spokój, przecież nie mamy zamiaru kraść jej z trudem zebranego dobytku. A jak to mówią, za patrzeć się nie płaci. Ona przecież nam kazała wysprzątać jaskinię. Skrobiemy w pocie czoła, nie omijając ani kącika, ani szczelinki, to żeśmy przy okazji również pod kamyczkiem przetarli...

Spojrzałyśmy po sobie i wybuchłyśmy śmiechem.

- No dobrze, czuję się przekonana. - Sama byłam ciekawa tej sterty złota i klejnotów, po prostu żeby porównać, kto więcej zebrał za swoje smocze łata: nasz Lewark czy ta stara megiera.

Oczywiście nie miałam zamiaru niczego stamtąd kraść, a o powrocie Gerdy uprzedzi mnie niewidzialna linia magiczna, na wszelki wypadek nakreślona w poprzek wejścia do tunelu. Która tak w zasadzie nie była kreślona na smoka. Mimo że miejscowi nie widzieli rozbójników, byłam pewna, że ci po cichu kręcą się gdzieś po okolicy i mnie szukają.

Z pełnym wyższości uśmiechem odrzuciłam zaproponowaną przez najemniczkę dźwignię z połamanej halabardy i wykonałam kilka gestów, po których kamień bezgłośnie, jak na kółkach, odjechał w bok. Szczurzy odór przybrał na sile. Zżerane przez ciekawość jedno-cześnie przekroczyłyśmy zakazany próg i prawie natychmiast trafiłyśmy na bogato zdobioną tarczę ze złotą otoczką, wyłożoną klejnotami. W poprzek tarczy szły cztery głębokie zadrapania po smoczyczych pazurach.

- Nie ruszaj! - Złapałam już pochyloną Orsanę za kołnierz. - Ona od razu poczuje, gdy wróci.

Chodź, po prostu sobie obejrzymy.

Zamarłyśmy na skraju plamy światła, które padało z jaskini. Kiedy moje oczy przyzwyczyły się do ciemności, z przestrachem złapałam Orsanę za rękaw i skinęłam w najdalszy, ciemny kąt jaskini:

- Rety, patrz! Coś się tam rusza!

- Iii! Szczur!!! - dziewczyna zaniósła się obiecany wrzaskiem, od którego o mało pękł bębenek w moim lewym uchu.

- Aaa! - chętnie jej zawtórowałam. Panika wśród kobiet to sprawa bardzo zaraźliwa.

- Ooo! - basem wydarł się z mroku ktoś trzeci.

To przepełniło miarę. Na złamanie karku wyskoczyłyśmy ze skarbcza, jak gdyby sama śmierć łaskotała nam pięty lodowatymi palcami.

- Wydaje mi się, że go przestraszyłyśmy - skomentowała Orsana, gdy już złapała oddech.

- Zdażyłaś się mu przyjrzeć?

- W ogóle go nie widziałam!

- No to czego się darłaś?!

- Tobie uwierzyłam!

- A ja tobie!

Spojrzałyśmy po sobie. Niezrozumienie szybko zmieniło się w irytację.

- Może ci się tylko wydawało? - zasugerowała Orsana.

- Sądząc z tego wrzasku, który słyszałyśmy, wydawało się nie tylko mnie.

- Jak myślisz, kto to mógł być? Smoki biorą jeńców?

- Nawet jeśli biorą, to mała szansa, żeby trzymały je w swojej największej świątyni, skarbcu.

Proponuję powrót i dokładniejsze przyjrzenie się tej istocie. - Logicznie wywnioskowałam, że panika w głosie wroga świadczy o naszej przewadze.

Orsana skinęła ze zgodą, podnosząc z ziemi jakiś cięższy kawałek żelastwa. Przywabiłam palcem jeden z pulsarów, który posłusznie wślizgnął się do szczeliny.

Czubek złotej góry ginął w mroku, ale i podnóże mogło dowolnego grabieżcę doprowadzić do ekstazy. Najemniczka przeciągle gwizdnęła, a ja z pewną satysfakcją zanotowałam, że mimo iż nasz Lewark nie miał aż tak okazałego zasobu kruszcu, to jeśli chodzi o ilość kamieni szlachetnych, biżuterii i artefaktów, wygrywał co najmniej o korpus.

- Nie wiem, czy to szczur, czy nie, ale śmierdzi tu nimi dosyć wyraźnie. - Orsana pochyliła się po brudny kawałek skóry, który okazał się workiem. - Wygląda na to, że ktoś znalazł inną drogę do

skarbonki starej kłody.

Zrobiłam kilka gestów i pokręciłam głową:

- Nikogo tu nie ma. Już nie.

- Ale jakoś się stąd wydostał - rozsądnie skonkludowała Orsana. - Przecież nie przeszedł przez ścianę!

- A to też jest możliwość. - Sprawdziłam skarbiec jeszcze raz, tym razem w poszukiwaniu śladów zakłęb.

Nic. Nieco rozzuchwalona najemniczka już obchodziła złotą górę, przyglądając się dnu jaskini i ścianom, raz na jakiś czas pochylając się i ostukując kostkami palców co bardziej podejrzone fragmenty. Skarb prawie sięgał sklepienia. Orsana dwa razy okrążyła górę złota, mruknęła w zamyśleniu, przykucnęła i drapnęła paznokciem po złoconym brzegu tarczy.

- Wydaje mi się, że wcześniej leżała obok wejścia. Podeszłam bliżej i przyjrzałam się dokładniej.

- Zgadza się. A teraz stoi przy ścianie, jakby... Spojrzałyśmy po sobie.

- Drzwi!

Natychmiast zapomniałam o obawach przed smokiem, złapałam za brzeg tarczy i pociągnęłam ją do siebie. Ku mojemu zdumieniu ta nie poddała się od razu. Musiałam zaprzeć się nogami i pociągnąć z całej siły. Z tamtej strony coś brzęknęło, opór gwałtownie osłabł i nagle klapnęłam na tyłek z tarczą w rękę. Orsana spojrzała na nią i znowu gwizdnęła przeciągle. Odwróciła odporne żelastwo tyłem, pozwalając i mnie zobaczyć postrzępiony sznur z włosia przywiązany do uchwytu.

W ścianie przy ziemi czerniała półokrągła dziura. Jeżeli została ona wygryziona przez szczura z umiejętnością skręcania lin, to był on wielkości wypasionego bobra.

- Nie utkniemy tu? - Orsana z wątpliwością zerknęła w kierunku tajnego wjazdu. Może udałoby jej się tam wcisnąć, ale na przeszkodzie stał wbity w ścianę hak, na którym bujał się kawałek sznura.

- Zaraz coś wymyślimy. - Dmuchnęłam na palec wskazujący, po czym powiodłam nim po brzegu dziury. Za palcem ciągnął się ledwo widoczny srebrzysty ślad. Gdy tylko zamknęłam narysowane koło, krawędzie wjazdu rozmyły się, a ściana dookoła niego zmętniała, jak gdyby była zrobiona z dymu. - Zapraszam! Albo nie, ja idę pierwsza, bo może tam dalej znowu będę musiała czarować.

Jednak nie musiałam. Przejście było proste i krótkie, po niecałych pięciu łokciach trafiłam na jakąś mokrą i chropowatą przeszkodę, złamałam ją, zanim poczułam, i znalazłam się na wolności, w krzakach za jaskinią. „Drzwiczkami” od drugiej strony okazał się omszały kawałek kory, przystawiony do przejścia i dla pewności podparty kamieniem. Szeptem zawołałam Orsanę i rozejrzałam się dookoła, mrużąc oczy w świetle dnia. No, trudno coś zarzucić, bardzo udane miejsce na robienie podkopu - od strony głównego wejścia złodziejaska zasłaniały pędy malin, wysokie i gęste, ale pozwalające obserwować właścicielkę leża i dopasować wizyty z workiem pod jej

nieobecność. Sądząc z wrzasku i śpiesznej ucieczki, złodziej nawet nie przypuszczał, że Gerda będzie miała jakichś gości.

- Chyba nie po raz pierwszy się zapuścił do smoczego skarbcza - zauważyłam, ostrożnie drapiąc paznokciem wygładzone do połysku brzegi dziury, które wróciły do poprzedniej formy natychmiast po tym, jak Orsana wylazła na zewnątrz. - Kamień wypolerowany aż miło, a kopania tu niedużo, szczególnie jeżeli się podejdzie do sprawy z władczyim albo krasnoludzkim kilofem, ten ostatni to nawet w granit wchodzi jak w masło.

- Pst! - przerwała mi dziewczyna, przyciskając palec do warg. W odróżnieniu ode mnie najemniczka najpierw zwróciła uwagę na las, nie zagłębiając się w inspekcję wjazdu.

- Co? - odszepnęłam.

- Patrz! Oj, nie tam, pod krzak!

Przyjrzałam się i zauważyłam szarą, przygarbioną postać, która prześlizgnęła się pomiędzy powaloną brzozą i wysokim, szczerbatym pniem.

Orsana spojrzała na mnie i wyraziście poklepała dłonią powietrze tuż przy samej ziemi, po czym pokazała na siebie i palcem zakreśliła w powietrzu luk. Skinęłam ze zrozumieniem, więc najemniczka bezgłośnie ruszyła na przeciwnika od tyłu. Listki za nią nawet nie drgnęły.

Po dotarciu na miejsce Orsana celowo głośno zatupała i złamała z trzaskiem suche gałęzie, pogwizdując coś nieskomplikowanego.

Zadziałało. Ciągłe oglądając się do tyłu i nasłuchując, złodziejasek cofał się w moim kierunku, widocznie mając nadzieję, że schowa się w tajnym wjeździe.

Pozwoliłam mu podejść trochę bliżej i wyprostowałam się na pełną wysokość. Krasnolud! W

plaszczu ze szczurzych skórek, których fetor zabijał wszystkie leśne zapachy. Moja obecność zaskoczyła go na tyle, że nie od razu wpadł na pomysł, żeby rzucić się na bok, i najemniczka w parę susów pokonała dzielącą nas odległość, odcinając złodziejaszce drogę ucieczki.

A ten miał aż z nadmiarem tupetu - w mgnieniu oka ocenił sytuację, po czym odwrócił się, żeby widzieć nas obie, rozczapierzył ręce z zaciśniętymi w nich rąbkami płaszcza, zyskując pewne podobieństwo do wyświechtanego nietoperza, po czym wydarł się głośno i z obu-rzeniem:

- Niegodne ludziki! Jak śmieliście przebiec mi drogę? Czy wy wiecie, kto ja jestem?!

Niski nawet jak na krasnoluda, ledwie dorastał mi do pasa. Wytrzeszczył oczy, wypchnął pierś do przodu, po czym nosowo kontynuował:

- Drżycie! Jestem wielki krasnoludzki wojownik i szaman, zabójca smoków i czarodziej, wielki i groźny Tor - e - Ti! Na tych, co ściągają na siebie mój sprawiedliwy gniew, spadnie najkoszmarniejsza i najpotworniejsza ze śmierci, i nawet po niej nie odnajdą spokoju, gdyż władza

moja rozciąga się też na świat duchów! Ratujcie się, póki nie jest za późno! Uuu!

Po czym zaczął skakać w miejscu niczym postrzelony zając, wystawił do przodu ręce z rozczapierzonymi palcami i zaszczekał rzadkimi żółtymi zębami, co miało widocznie oznaczać przygotowanie do naszego koszmarnego i męczącego zglądzenia. Długa broda trzęsła się w rytm skoków jak kawał łyka.

- Hm, wydaje mi się, że nie ma sensu ryzykować walki z tym straszliwym szamanem. -

Nieznacznie mrugnęłam do Orsany, przybierając wielce strwożony wyraz twarzy.

- Ano, też mi się tak wydaje - najemniczka dołączyła do komedii. - I tak nie uda nam się go pokonać!

Krasnoludek nabrał powietrza w płuca i rozprostował ramiona.

- Najlepiej będzie, jeśli się wycofamy - ciągnęłam, z udawanym strachem rozglądając się na boki.

- I to natychmiast!

- Uciekajmy, trzeba natychmiast uprzedzić Gerdę o niebezpieczeństwie!

- O tak, może smoczyca też zdoła uciec!

- Śpieszmy się! - I z okrzykami „przerażenia” rzuciłyśmy się ku wejściu do jaskini.

Krasnoludy mogą poszczycić się tupetem oraz pewnością siebie, ale nawet nasz bezczelny złodziejasek nie ośmielił się przypisywać sobie uciekającego w przerażeniu smoka.

- Hej, hej, stójcie! - wydarł się desperacko, wyprzedzając nas i zastępując drogę. - Żartowałem!

Jestem potężny i groźny, ale bardzo, bardzo dobry!

- O wielki szamanie, oszczędź nas! Zaniesiemy smoczycy szczęśliwą wieść o twoim przybyciu i sama wyniesie ci swoje skarby, by ocalić życie!

- Nie, nie, nie trzeba! Jestem tu incognito!

- My jej na uszko szepniemy!

- Oj, żartowałem, żartowałem! Nie jestem żadnym szamanem!

- O wielki wojowniku, zabójco smoków, i tak nie możemy się z tobą równać! - Obieglyśmy krasnoluda z różnych stron i on ryknął naszym śladem:

- Ani żadnym wojownikiem!

W tym momencie zatrzymałyśmy się i odwróciły z paskudnymi uśmiechami na twarzach. Ja skrzyżowałam ręce na piersiach, Orsana oparła swoje na biodrach, znacząco tupiąc czubkiem lewego

buta. Rozmowa zapowiadała się bardzo obiecująco.

- A kim?

- Tak sobie... przebiegałem obok...

Nie dałam rady powstrzymać się od chichotu. Orsana wymownie pomachała przed nosem krasnoludka znalezionym w jaskini workiem.

- Nie moje - zaprzeczył spieszenie, nie bawiąc się nawet w przyglądanie przedmiotowi.

- A czyj to znak na boku?

- Ale ja nie miałem żadnego znaku!

- Ano fakt, nie miałeś. - Orsana rozsypała mieszek. - A czy przynajmniej jakiś nożyk posiadasz, wojowniczy szamanie?

- Aaa po co? - krasnoludek nieco się zdenerwował.

- Będziemy ci łepkę piłowaty ta widrezaty - westchnęła najemniczka, powoli zbliżając się do niego z otwartym workiem. - A nemaje noża, to oderwiem. Mamy ze smoczycą taką umowę: czy to zgubę zwrócić, czy złodzieja ubić. Całego trupa to się ciężko do niej taszczy, a głowa akurat się do torbiny zmieści...

Krasnolud niespodziewanie zerwał z siebie płaszcz, cisnął go Orsanie w twarz i rzucił się do ucieczki. A raczej próbował, bo już po drugim kroku wpakował się na niewidoczną ścianę i klapnął na ziemię.

- Nie ty jeden tu jesteś szaman. - Niedbale machnęłam nadgarstkiem prawej ręki, chłodząc świerzbące koniuszki palców.

Złodziejaszek zrozumiał, że jego akcje nie stoją najlepiej.

- To może się dogadamy? - pisnął cienko, cofając się przed Orsaną.

- No to się dogaduj - niedbale przytaknęła najemniczka, nie zatrzymując się ani nie zmieniając skupionego wyrazu twarzy.

- Dziesięć kładni!

- Ha - ha.

- Dla każdej!

- Co ty nie powiesz.

- Połowę!

- Dla każdej? - sprecyzowałam.

- Przecież to wyjdzie całość! - krzyknął z oburzeniem.

- No, ale głowy i tak na pół nie podzielisz - rozsądnie zauważyła Orsana.

- Szantażystki! Rozbójniczki! Złodziejki!

- Orsana, bierz się do tego urywania!

- Nie trzeba! - krasnoludek w jednej chwili zrezygnował z targów. - Zgadzam się.

Najemniczka jeszcze przez moment stała nad nim, symulując ciężką pracę myślową, po czym skinęła głową:

- Dawaj. Jeśli jednak będziesz próbował oszukiwać... - Z trzaskiem stawów rozprostowała splecione palce.

- Tu obok mam! - Przerażonemu złodziejaszкови w widoczny sposób się śpieszyło.

Zaczął krążyć po lesie pod naszym pilnym nadzorem, po czym przy którejś jarzębinie opadł na kolana, zebrał w garść pęczek turzycy i pociągnął za niego, otwierając zrobiony z trawy schowek

- głęboką wąską jamę, wykopaną pod pieczolowicie oddzieloną warstwą zieleni. Dzięki wciąż całym korzeniom turzycy nie wysychała i w żaden sposób nie dałoby się wykryć schowka, nie znając jego lokalizacji z dokładnością do piędzi.

- O, tu jest - z głębokim szacunkiem w głosie stwierdził złodziej. - Wszystko do ostatniego okruszka! Biedny ja, nieszczęśliwy, rabu - u - ją!

Starannie puścił łzę i na pokaz wytarł ją rękawem, ale nie udało mu się wywołać w nas litości - no bo kto to widział krasnoluda z jednym jedynym schowkiem? Przecież jego własny naród będzie się z niego naśmiewał do śmierci!

- Jeśli oddałeś mniej niż połowę, to wyciągniemy nawet spod ziemi! - obiecałam twardo, a Orsana wbiła w biedaka znaczące spojrzenie, jak gdyby próbując na zawsze utrwalić w pamięci rysy pechowego złodziejaska.

„Wielki i groźny” zatrzepotał niczym liść osiki, lecz nadal upierał się przy ukrywaniu dochodów, przywołując na świadków cały panteon krasnoludzkich bogów, zdrowie żywych rodziców i prochy nieżyjącej już babuni.

Udałyśmy, że wierzymy. Na ile znałam krasnoludy, za ostatnią garstkę monet polegnie jak stoi albo zachowa urazę nie gorzej od smoka. No, ale leszy z nim, przecież kopał, starał się...

- Dobra, spływasz stąd - pozwoliłam.

Krasnoludek znikł tak szybko i chętnie, że rozumiałam, iż dałoby się z niego wyciągnąć więcej.

Zapobiegawczo zgarnął ze sobą worek i szczurzy płaszcz, działający nawet na smoczy węch.

Pewnie miał nadzieję na poprawę swojego stanu posiadania zaraz po naszym odejściu. Jednak czekało go głębokie rozczarowanie - natychmiast zamknęłam włącz przy pomocy magii, a na wszelki wypadek jeszcze zaczarowałam, żeby naprawdę nikt się już do niego nie dostał.

Trzeba powiedzieć, że potężny szaman naprawdę się postarał i nie raz, i nie dwa przebiegł się z workiem do skarbcza. Orsana zdjęła kurtkę, zawiązała rękawy i reszką sznura ściągnęła kołnierz.

Obciążona złotem część garderoby ważyła nie mniej niż pud i niebezpiecznie trzeszczała w szwach. We dwie ledwie zdołałyśmy ją unieść i z trudem powlokłyśmy do jaskini, po drodze robiąc częste przerwy na odpoczynek.

Po złapaniu oddechu i szybkiej naradzie uznałyśmy, że oddamy smoczycy całą zdobycz, chociaż poważnie kusiło nas, żeby zabrać sobie po kamyczku „na pamiątkę”. Ale kto je tam wie, te smoki, może ten cały krasnolud był kolejnym wnykiem na żądnych złota ludzi.

Okazało się jednak, że Gerda nie miała pojęcia o „wielkim i groźnym Tor - e - Ti”. Po powrocie prawie że zachłysnęła się z oburzenia, widząc nas obok odsuniętego kamienia, ale gdy efektownie wytrząsnęłyśmy z kurtki swoją zdobycz i wyjaśniłyśmy, że przy okazji znalazłyśmy i zaplombowałyśmy wszystkie szczurze nory, jej radość nie miała granic. Smoki doskonale pamiętają każdą monetkę ze swojego skarbcza i każdy klejnot, wliczając w to również te, które zginęły, więc Gerda absolutnie nie wątpiła w naszą uczciwość. Z jej opowieści wynikało, że klejnoty zaczęły znikać jakiś czas temu, ale złodziejaszek przemyślał sprawę wyjątkowo starannie i rzeczywiście uznała, że winne są szczury. Krasnolud rozsądnie omijał duże przedmioty, takie jak złote kandelabry, wykładane klejnotami półmiski i rzadkie ozdoby, więc o ile regularne kradzieże smoczycę irytowały, to jednak nie do tego stopnia, żeby przewracać całą jaskinię do góry dnem w poszukiwaniu szczurzej nory i zagubionego pierścionka.

Po odzyskaniu uznanych już za definitywnie utracone skarbów była w doskonałym humorze.

- No cóż, muszę przyznać, że na swoje honorarium zapracowałyście - stwierdziła. - Sądzę, że nawet i na małą premię. To zobaczymy...

Zebrane przy skarbcu jak panny na wydaniu przy kramie z sukienkami, zachwyconymi jękami witałyśmy każdy nowy przedmiot wyciągnięty przez smoczycę. Jakie tam były kolczugi!

Koronkowe, cieniutkie, nieważkie jak pajęczynka, z łatwością zmieściłyby się w torbie podróźnej, ale potrafiły skutecznie wytrzymać smocze zęby i pazury, co Gerda na miejscu zademonstrowała.

A miecze! Długie i wąskie elfie, z kunsztownym grawerunkiem od rękojeści do samego końca klingi, jarzące się błękitnym płomieniem w promieniach słońca; szerokie i krótkie krasnoludzkie, doskonale wyważone i idealnie zastrzone, choć jednak dość ciężkie; trollowe, topornie wykonane, lecz

osypane kamieniami szlachetnymi jak trawa rosą. Wszelakie sztylety, noże, jatagany - proste, krzywe, zazębione, podwójne, zatrute i zaczarowane, mieszczące się w pięści, z wysuwającym się ostrzem, sterczące za pasem, chowane za cholewkami czy wiszące w pochwach. Była nawet jakaś lanca - srebrzysta koń-cówka z kawałkiem drzewca, które nie wytrzymało spotkania ze smoczymi łuskami.

Gerda odsunęła sporą część zbroi na bok, stwierdzając, że bardzo się tego wstydzi, lecz nie potrafi zmusić się do rozstania z „tymi arcydziełami sztuki kowalskiej”. Ale i wśród pozostałych można było dostać oczopląsu.

Po dłuższych wahaniach, naradach i przymiarkach Orsana zdecydowała się na srebrzystą kolczugę sięgającą trochę poniżej pasa, bez ozdób i zbędnych blaszek, za to lekką i wyjątkowo wytrzymałą. Miecz wybrała sama - elfi, średnich rozmiarów, również nierzucający się w oczy, ale wzbudzający szacunek. Pas ze skóry bazyliuszka z przymocowanymi do niego pochwami, oczywiście nie pustymi, na cienkiej talii dopełniał wyglądu najemniczki.

- Ślicznotka! - skomentowałyśmy jednym głosem ja i smoczyca.

- Z taką to nie wstyd iść się bić na śmierć i życie! - dodała Gerda.

Czerwona jak burak i szczęśliwa Orsana okręcała się wokół własnej osi, próbując ocenić wspaniałość ekwipunku bez użycia lustra.

- A ty? - Smoczyca zbliżyła pysk do mojej twarzy i zobaczyłam, jak powoli rozszerzają się pionowe źrenice w miodowych oczach. - Nie chcesz mnie o nic poprosić?

- Poprosić? Nie. - Lewark dostatecznie dużo opowiedział mi o smoczych zwyczajach, a w szczególności o pytaniach, które wymagały bardzo konkretnych odpowiedzi. Gerda delikatnie sprecyzowała:

- A w takim razie co chciałabyś otrzymać w prezencie?

- Przysługę - odparłam bez namysłu. Smoczyca prychnęła, jednocześnie z niezadowoleniem i satysfakcją.

- Wiesz, o co prosić. Ktoś nauczył?

- Pewien stary znajomy.

- Widzę, że masz szczęście do znajomych. - Gerda znacząco puściła do mnie oczko, krzywiąc w uśmiechu kąciki łuskowatych warg. - Albo i pecha, zależy, z której strony spojrzeć...

- O co pani chodzi?

Ale smoczyca już odwróciła się tyłem, zadowolona, że w końcu udało jej się wywołać we mnie jakąś żywszą reakcję. Zakłęłam w myślach, wiedząc doskonale, że jeżeli smok nie odpowiedział na pytanie za pierwszym razem, to nie ma sensu powtarzać.

Gerda zaczęła chować broń z powrotem do skarbcza, sarkastycznie komentując okoliczności, przy których w jej łapy trafił ten czy inny przedmiot. I bez tego spora kolekcja cały czas powiększała się dzięki „nieznającym strachu rycerzom bez wady i skazy”, w przypadku których za jedyną realnie istniejącą, aczkolwiek ogromną wadę można było uznać brak strachu w obliczu jednoznacznej przewagi wroga.

Pożegnanie było bardzo ciepłe. My obiecałyśmy, że będziemy wpadać w odwiedziny, smoczyca - że do nas przyleci, po czym machałyśmy do siebie nawzajem, aż znikłyśmy sobie z oczu.

- A co to za przysługa, którą Gerda ci obiecała? - przypomniała sobie Orsana, w chwili gdy zbliżyłyśmy się już do wsi.

- Pomoże mi, jeżeli zaistnieje taka życiowa konieczność.

- A jak ona się dowie, czy taka konieczność zaszła, czy nie?

- Dowie się. - Uśmiechnęłam się. - A przynajmniej bardzo chciałabym na to liczyć...

Rozdział trzynasty

Senny półmrok stajni znudził się Smołce szybko, więc nie zastanawiając się zbytnio, wykopała drzwi boksu i poszła paść się siołem. Po krótkiej chwili szczypania zakurzonej trawy na poboczu, gałęzi drzew i puchowej pierzyny, wywieszanej na płocie do suszenia (to, co początkowo wzięłyśmy za krążący po okolicy puch z topoli, okazało się puchem z gęsi), w krzakach za wsią kobyła natrafiła na zdechłego psa i z apetytem nim zagryzła, po czym wytarzała się w resztkach, od kopyt po grzywę przesiąkając odorem nieświeżego trupa.

Na mój widok radośnie ruszyła na spotkanie i bardzo się zdziwiła, gdy odskoczyłam od niej, sypiąc przekleństwami i równocześnie zaciskając nos. Nie zaryzykowałam powrotu z nią do wsi -

kto wie co jeszcze zdążyła nabroić, a przesądni chłopcy naprawdę mogliby obrzucić nas kamieniami. Obeszłam psotnicę od nawietrznej, złapałam za uzdę i na wyciągniętej ręce powlokłam do widniejącego niedaleko jeziora. W tym czasie Orsana udała się do gospody po nasze rzeczy.

Do jeziora Smółka podeszła bardzo sceptycznie i mimo twardego, równego dna kategorycznie odmówiła włożenia do wody dalej niż po brzuch, prawdopodobnie pamiętając podstępne oczka na mokradłach. Raz i drugi plusnęłam na nią wodą, na co kobyła obraziła się wprost śmiertelnie -

zaczęła parskać, po czym otrząsnęła się, wybrała dogodny moment i pchnęła mnie pyskiem w plecy, zwałając z nóg. Zanurzyłam się z głową, co niespecjalnie mnie zmartwiło - woda była wyjątkowo czysta, chociaż wiosennie chłodna i trzeźwiąca.

W czasie gdy my wygłupiałyśmy się pluskaniem na siebie i gonitwami po płyciźnie, wróciła chichocząca Orsana i opowiedziała, że karczmarz próbował złapać uciekającą Smolkę, a teraz siedzi na dachu i tuli się do komina, podczas gdy wynajęty stolarz pilnie robi nową drabinę, bo stara sięga tylko do rynny, a biedaczysko odmawia złączenia po śliskich dachówkach. I ma na temat mojej kobyłki

wcale nie tak dobre zdanie jak przedtem.

Skorzystałyśmy z okazji i wyprałyśmy ubrania, które rozwiesiłyśmy do wyschnięcia na krzakach, i w oczekiwaniu na powyższe przez chwilę opalałyśmy się na brzegu. Do wieczora było jeszcze daleko, ale słoneczko już zaczynało spoglądać w dół, tak że ponowne spieczenie się mi nie groziło.

W pobliżu jakiś wymięty dziadek ciągnął sieci - wychodziło mu to nie najlepiej z tej racji, że bardziej interesował się dwiema na wpół nagimi pannami niżeli połowem jako takim. Ja leżałam na plecach, z oczami zasłoniętymi ręką, Orsana nadal nie mogła uwierzyć w swoje szczęście i siedząc, podziwiała miecz. Wijący się po klindze grawerunek lśnił w słońcu jak węzowa łuska.

- Jak myślisz, jest zaczarowany?

- Bardzo możliwe, ale nie jestem w stanie dokładnie określić w jaki sposób. Elfy nie nakładają zaklęć na gotową klingę, a wplatają je na etapie kucia. Zwykle są to zaklęcia wytrzymałości, samoostrzenia i skuteczności przeciwko nieumarłym.

- To by było miłe. - Najemniczka schowała nowy nabytek do pochwy i poszła sprawdzić ubrania.

- Chyba wyschły.

Ku wyraźnemu rozczarowaniu dziadka odziałyśmy się. Wyglądało na to, że udało mu się utopić sieć, co zarejestrował wyjątkowo ponieważ i teraz desperacko grzebał w wodzie kijem.

- No to pozostał tylko koń. - Orsana wlaźła na Smołkę za moimi plecami. Czarna kobyłka tylko westchnęła i udała, że pod podwójnym ciężarem zaraz padnie, gdzie stoi. -W najgorszym razie sprzedam pas z nożami, nie ma ich w obowiązkowym ekwipunku.

- Hm, chyba jednak trochę szkoda. - Rzuciłam krótkie spojrzenie na zdobione rubinami rękojeści.

- Z koniem można poczekać, jeśli przez dwa tygodnie nie trafi nam się jakaś okazja do zarobku, to sprzedasz noże i kupisz wierzchowca przed samym turniejem.

Decydujące okazało się zdanie Smołki, której nikt nie zapytał. Gdybym nie widziała tego na własne oczy, nigdy bym nie uwierzyła, że ta parszywka może zrobić naraz parę szpagatów -

przednimi i tylnymi nogami. Paskudna kobyła ze złośliwym wyrazem pyska obejrzała się na zszokowane pasażerki: „Wypchajcie się sianem i idźcie na piechotę!”.

Podzieliłyśmy się z wredotą naszą szczerą opinią o leniwych oraz bezmózgich bydlętach i wylazłyśmy z siodła. Smołka jak gdyby nigdy nic po pajęczemu pozbierała wyciągnięte kończyny i wstała.

- Gdy kupię konia - burknęła Orsana - będzie to koń, a nie klaun - akrobata z wędrownego cyrku.

- Za to jest bardzo zwinna - wystąpiłam w obronie Smołki. - No, jaki jeszcze koń zgodzi się wieźć cię po zboczach górskim czy po wzgórkach na mokradłach?

- No nie, ja jednak wolę kierować koniem, niż pytać go o zgodę. Moim zdaniem, ona w ogóle nie ma pojęcia, że istnieje takie coś jak stawy. Gdzieżeś ty ją znalazła?!

- To Smółka mnie znalazła - odpowiedziałam żartem. - Przecież nikt nie oczekuje od wiedźmy, żeby jeździła na zwykłym rumaku.

- Niemniej, o ile wiem, większość magów porusza się na jak najzwyklejszych wierzchowcach - nie zgodziła się Orsana.

- Nie będę się wyklócać, ale jeżeli wszystkie zwierzęta należące do wiedźm i czarodziejów uznawane są za nasienia mroku, to dlaczego nie mieliby wybrać sobie za towarzysza prawdziwego demona? To naprawdę ułatwia sprawę, zarówno wiedźmom, jak i przesadnym chłopom.

- Ja nie jestem przesadna - prychnęła najemniczka. - A nasienia mroku nie produkują takich ilości nawozu. A zresztą, jeśli zastanowić się nad tym, czym ona się żywi, to nic dziwnego. Ale dobra, leszy z nią, będę szła obok.

- O nie, jeśli iść, to razem - stwierdziłam zdecydowanie. - I niechaj to leniwe bydlę się wstydzi!

I tak oto Szłyśmy traktem w kierunku Witiagu, niczym nie wyróżniając się z rzadkiego łańcuszka konnych i pieszych. Wyglądało na to, że Smółka rzeczywiście poczuła wyrzuty sumienia i raz na jakiś czas z parsaniem szturchała mnie pyskiem w plecy, proponując podwiezienie - niech nas leszy - obu. Jednak nam się specjalnie nie śpieszyło, a idąc obok siebie, rozmawia się znacznie wygodniej. Gadałyśmy o wszystkim i o niczym: jak robi się słynny belorski bimber - krupnik na dwudziestu siedmiu ziołach, jak po spożyciu rzezonego krupniku król Naum stwierdził, że nadszedł czas na odwiedzenie grobowca przodków, w którym to grobowcu własnoręcznie odsunął

jedną z ciężkich marmurowych płyt, zażądał rodzinnego portretu prapradziadka i długo porównywał go z leżącym w sarkofagu szkieletem - czy podobny, czy może jednak nie. O tym, jak chłopci w Winessie uważają, że najlepszym sposobem na strzygi jest poświęcona w świątyni kaszanka, którą podstępnie rozrzucają po podwórku, a strzyga się potem męczy z bólami brzucha.

Czy to prawda, że złe czary można odgonić, pokazując rzucającej je wiedźmie figę albo inny pogardliwy znak. Po co w świątyniach przed wejściem kładzie się dębową gałąź i dlaczego jeden dwuręczny miecz jest gorszy, mimo że dłuższy, niż para jednoręcznych.

Jak wszyscy wiedzą, po takiej rozmowie kobiety zwykle zostają albo przyjaciółkami na całe życie, albo zadeklarowanymi wrogami. I chodzi tu wcale nie o podobieństwo czy różnicę zainteresowań i opinii, ale o stosunek do życia w ogóle.

Obie wolałyśmy poszukiwać w onym jasnych stron i kpić z ciemnych, tak że szczególnych różnic w poglądach nie zanotowałyśmy.

Pod wieczór wyprzedził nas straszliwie hałasujący wóz, do którego zaprzęgnięty był kudłaty zimnokrwisty. Za wozem, przywiązany do kraty, truchtał zgrabny izabelowaty rumak -

kasztanoworudy, z jasnym ogonem i grzywą. Budowa wskazywała, że został ułożony pod siodło, ale wyglądał wyjątkowo ponuro: opuszczony łeb, niepewne ruchy, ciągłe potykanie.

Woźnica strzelił z bata i zimnokrwisty posłusznie przeszedł w nierówny kłus, a izabelowaty w płynny inochód. Wydawało się, że nie biegnie po drodze, tylko płynie nad nią.

- Ech, garny źrebaczek! - Orsana patrzyła z podziwem. - I jaki piękny bieg... Ze sto pięćdziesiąt kładni wart albo i więcej.

Rumak potknął się na równej drodze i upadł. Rozpaczliwie podrzucone nogi wzbijały chmurę kurzu. Woźnica zaklął z emfazą i ściągnął wodze. Zimnokrwisty posłusznie zatrzymał się, a rumak przetoczył się po ziemi i wstał, ciężko unosząc boki w oddechu.

Przez ten czas udało nam się dogonić wóz.

- Hej, panie szanowny, co się stało z konikiem? Kulawy jest czy co?

Chłop splunął siarczyście na ziemię:

- Gdzie tam, ślepy! Miesiąc temu oślepl, żeby go cholera. Z woropachowskiej hodowli, może panny słyszały? Najczystszych krwi rumak, po zesłorocznych wyścigach dwieście kładni za niego dawali, ale pan nie sprzedał. A teraz prowadzę do mydlarni, tam pewnie właściciel i dwudziestu nie da, skąpiradło jedno...

Ostrożnie pogładziłam konika po długim rudym pysku przeciętym białą strzałką. Jego oczy były całkowicie ślepe, ciekła z nich ropa i pełzały muchy.

- Chyba by się nadał do ojcowego młyna, żeby chodzić w kole - powiedziałam, udając głębokie zamyślenie. - Siostrzyczko, jak myślisz?

- Tego... eee... - Orsana wytrzeszczyła na mnie oczy z wyrazem całkowitego braku zrozumienia na twarzy, ale kobieca solidarność i wrodzona domyślność szybko przeważały: - Wydaje mi się, że tatuś nie będzie miał nic przeciwko.

- Oczywiście, że nie. - Wzruszyłam ramionami. - Na łożu śmierci powiedział, że możemy korzystać z młyna i wszystkich pieniędzy tak, jak uznamy za stosowne.

- Biedny tatko... - chlipnęła Orsana, roniąc skąpą łzę. Objęłam „siostrzyczkę” i obie z rozpaczą zapłakałyśmy sobie w ramionach.

Miła scenka rodzinna rozculiła woźnicę, który przy okazji dostał szansę opchnięcia ślepego konia dwóm durnym, zupełnie nieznającym się na rolnictwie pannom - bo kto to widział, żeby wyścigowego konia zaprzęgać do młyńskiego koła!

- No cóż, mógłbym go chyba pannom odstąpić za... eee... dwadzieścia kładni.

Płacz przybrał na sile.

- A zresztą, ze współczucia do panien ciężkiej straty... niech już będzie, siedemnaście.

Nieznacznie szturchnęłam Orsanę w bok. Ale ona wyraźnie pożałowała wszystkich posiadanych pieniędzy i w związku z tym zanosła się tak rozpaczliwym, przeciągłym i wibrującym szlochem, że cena natychmiast spadła do piętnastu.

Wóz pojechał dalej, a my zaprowadziłyśmy konia do najbliższego lasku.

- Ale oszust, w mydlarni by za niego nawet dziesięciu nie dali - warczała najemniczka, chowając do kieszeni wyraźnie oklapłą sakiewkę. - Wolho, po tej historii ze smokiem to ja się już niczemu nie dziwię, ale powiedz mi, czemu wymusiłaś na mnie wydanie ostatnich pieniędzy na ślepego rumaka?

- A czy to naprawdę taka poważna wada? - zażartowałam, kiwając głową w kierunku Smołki, która z entuzjazmem bobra ostrzyła kły o młodą brzoźkę. Pogładziłam izabelowatego po szyi, a on westchnął głęboko, uspokajając się i przyzwyczajając do nowego zapachu. Moje ręce prześlizgnęły się po delikatnych krzywiznach lśniących policzków, po czym nakryły zebrany-mi w garść dłońmi ślepe oczy. - Śliczny jesteś, taki śliczny... Naprawdę wspaniały... I jaki posłuszny...

Rumak stał, jakby go kto wmurował w ziemię. Przycisnęłam swoje czoło do końskiego i zamknęłam oczy, celowo pograżając się w nasz wspólny mrok.

Jasność, która niespodziewanie przeszła go na wskroś, odbiła się bólem w głębi czaszki.

Dokładnie jak się spodziewałam, koń zareagował bardzo gwałtownie. Nie zarżał nawet, tylko kwiknął z rozpaczą, jak gdyby ktoś trafił go lancą, rzucił się, przysiadając na ogonie, po czym stanął dęba, prawie że wybijając mi szczękę podkutym kopytem.

- Hej, hej, spokój! - Ledwie zdążyłam uciec spod oszalałego zwierzęcia. - Orsana, łap go!

Koń zaczął skakać po polanie jak zając, na którego czyhają równocześnie dwa wilki. Odzyskany wzrok bardziej przeszkadzał mu, niż pomagał - tak bardzo odzwyczaił się od ufania oczom, że wpadał na pnie i potykał się o korzenie.

Drzewa otaczały naszą polankę ze wszystkich stron, oba końce ścieżki przegrodzone były przez nasze wyciągnięte ręce, więc zdenerwowany rumak jednak nie dał rady uciec i wreszcie Orsana chwyciła wodze, po czym złapała pod wędzidłem. Koń zezował w jej kierunku dzikimi czarnymi oczyma, chrypiał i cofał się, ryjąc ziemię kopytami. Najemniczka gruchała do niego jak do małego dziecka: „O, jaki śliczny, wspaniały i na pewno najmądrzejszy ze wszystkich, tu masz, spróbuj, jaki pyszny chlebek”...

Chlebka konik spróbował, i to z głębi serca - z nadmiaru miłości Orsana podsunęła mu przed pysk cały pozostały nam kawałek, prawie pół bochenka. Częstowany głupi nie był, szybciotko, póki nowa właścicielka się nie opamiętała, skorzystał z jej szczodrości.

- Nie rozumiem - stwierdziła Orsana, gdy chleb się skończył, a jej zachwyty nieco opadł. - Jego poprzedni właściciel mógł sam zapłacić magowi kilka kładni za uzdrowienie i znacznie korzystniej sprzedać konia. Dlaczego tego nie zrobił?

- Ponieważ, szanowna panno legionistko - uśmiechnęłam się z wyższością, głaszcząc wierzchowca po długiej grzywie - specjaliści mojej klasy nie szlajają się po traktach i nie leczą zwierząt. Do twojej wiadomości, ja jestem zawodowym magiem praktykiem, i to mającym dyplom z wyróżnieniem. My zwykle na takie zabawki się nie rozdrabniamy.

Smołka, która do tego momentu z obawą obserwowała nas z daleka, podeszła i zazdrośnie władowała się pomiędzy mnie i rumaka. Musiałam również jej poświęcić chwilę uwagi.

- Ojoj... - przedrzeźniła mnie Orsana ze słabo skrywanym zachwytem. - Też mi się znalazła specjalistka w zniszczonych butach.

- Wiesz no, potrafię załatać dziury i nawet przykryć buty iluzją nowych, ale przecież one w każdej chwili mogą... Dziwne - stwierdziłam nieoczekiwanie, przerywając poprzednie zdanie i w skupieniu wsłuchując się w siebie - moja rezerwa już wróciła do normy.

- Że co?

- Każdy mag ma do dyspozycji pewną rezerwę, ilość energii, mocy, którą może wydać na raz. A potem musi albo szukać jej zewnętrznego źródła, albo czekać od paru godzin do dwóch - trzech dni. I im więcej **tej** energii wydał, tym wolniej jej przybywa - wyjaśniłam pokrótce.

- No dobrze. - Orsana wzruszyła ramionami. - Czyli im prędzej, tym lepiej, nie?

- Zgadza się, ale przecież nie tak szybko!

- A to dlaczego?

Ponieważ to jest po prostu niemożliwe! - pomyślałam, ale tylko machnęłam ręką, że nie ma sprawy.

Najemniczka zostawiła kwestię niezrozumiałej rezerwy w spokoju, jej myśli zajęte były czym innym. Rumak nadal parskał i tańczył, a ona nie mogła się doczekać, żeby wypróbować go w akcji. Nie czekając, aż wyjdziemy na równą drogę, już na skraju lasu wskoczyła na koński grzbiet i rozkazująco cmoknęła.

Szczęśliwie, koń okazał się mądrzejszy niż siedząca na nim dziewczyna - nie ruszył z kopyta, a ostrożnie poszedł po wysokiej trawie, starannie, jak na defiladzie, podnosząc nogi. Widać było, że został doskonale wyćwiczony do wyścigów - nawet najgłupszy jeździec nie potrafiłby zepsuć mu startu bezsensownym przyśpieszaniem i spowalnianiem w najmniej odpowiednich momentach.

Zresztą Orsanie wystarczyła myśl, że siedzi na własnym koniu, więc nie miała najmniejszej ochoty go poganiać.

- Ale wyplata! - zachwyciła się i natychmiast zdecydowała: - Nazwę go Wiankiem.

Na drodze Wianek przyzwyczaił się i ruszył sprężystym inochodem w tempie galopu.

Dogoniłyśmy i wyprzedziłyśmy wóz z chłopem, który ze zdziwienia aż stanął na koźle.

Zimnokrwisty uznał, że zaraz dostanie batem, więc dobrowolnie przyśpieszył kroku, biedny woźnica nie dał rady utrzymać równowagi i upadł na plecy, zadzierając nogi nad burtą wozu.

Orsana cała aż lśniła ze szczęścia, a ja robiłam się coraz bardziej i bardziej pochmurna, niczym wieczorne niebo nad górami. Dopiero na popasie, przy wesoło trzaskającym ognisku, zebrałam się, by wypowiedzieć na głos przyczynę nieoczekiwanej zmiany nastroju.

- No i już - westchnęłam. - Teraz masz pełny ekwipunek. Miecz zdobyliśmy, konia kupiliśmy.

Możesz jechać i startować do tego swojego legionu.

Orsana na wszelki wypadek przywiązała Wianka do drzewa, a rozsiodłana Smółka jak pies ułożyła się obok ogniska, z łbem opartym o wyciągnięte przednie nogi i z podciągniętymi tylnymi.

- Czyli nie pojedziesz ze mną do Witiagu? - ostrożnie spytała mnie towarzyszka.

Powoli pokręciłam głową:

- Chyba tu jestem bardziej potrzebna.

- Chyba? Pojawiły się jakieś problemy?

- Ależ one wcale nie znikły - westchnęłam ponownie. - Tylko że cokolwiek bym wymyśliła, to nie mam pojęcia, co z nimi robić. Przystałam na twoją propozycję, żeby się przynajmniej czymś zająć i do reszty nie zwariować. A teraz kłopoty znowu wysunęły się na pierwszy plan, więc nie mogę z czystym sumieniem pojechać do Witiagu, żeby podziwiać zamek. Pracę da się znaleźć i w tej okolicy, a nuż coś mi się wyklaruje.

Najemniczka spoważniała, przysunęła się bliżej i położyła mi rękę na ramieniu, uważnie patrząc w oczy.

- Wolho, gadaj.

- Obawiam się, że moja opowieść ci się nie spodoba.

- Nie wątpię! Właśnie dlatego problemy są problemami, że psują ludziom humor.

- Ale ty sobie nawet nie wyobrażasz, jak bardzo twój się zepsuje. - Uśmiechnęłam się ze smutkiem.

Kiedy po Szkole rozeszła się plotka o mojej przyjaźni z wampirami, z dwóch tuzinów przyjaciół

zostało mi tylko czworo. I to wśród wykształconych magów, po roku wykładów, z ras rozumnych, ludzi jakoby wolnych od uprzedzeń! Więc czego mogłabym się spodziewać po najemnicze ze zwykłej chłopskiej rodziny?

- Nie ufasz mi? - obraziła się Orsana.

- Ufam i chcę, żebyśmy rozstały się w przyjaźni.

- To jakież ze druzi - do reszty rozzłościła się najemniczka, mieszając belorskie słowa z winesskimi.

- Akszo wony z toboju tilki w radości zastajutsi? Na koj wtedy wony potrzebne?

Dawaj?!

No to opowiedziałam. Po prostu żeby się wygadać, a dalej się zobaczy.

Byłam pewna, że tej nocy Orsana nie zaśnie, a o świcie przypomni sobie, że ma do załatwienia jakieś pilne sprawy gdzieś daleko stąd. Albo niewiele lepiej - uzna mnie za wariatkę. W najgorszym razie natomiast nie pożegna się w ogóle, a biedny Wianek nie wytrzyma dzikiej gonitwy przez nocny las i padnie po półsetce wiorst.

Najemniczka wysłuchiwała mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, nie przerywając ani nie uciekając spojrzeniem, po czym w zamyśleniu pogładziła się po brodzie i jak gdyby nigdy nic stwierdziła:

- Mhm, nieźle się wpakowałaś. No to co robimy? Zapatrzyłam się na nią, nie dowierzając własnym uszom.

- Mówisz, że po śmierci twój przyjaciel zmienił się w wilka, ale nie masz pojęcia, dlaczego cię zaatakował i nawiał - spokojnym tonem ciągnęła Orsana. - No to czemu nie miałabyś zapytać kogoś, kto wie? Masz jeszcze jakichś znajomych wśród wampirów?

- Masę - odparłam machinalnie. - Nie boisz się?

- Czego? - zdziwiła się szczerze. - Ciebie? Chyba żartujesz! Jeśli nie zagryzłaś mnie przez trzy noce, to nie mam najmniejszego zamiaru bać się czwartej, i niech ci się nie wydaje, że w ten sposób uda ci się uniknąć nocnych wart. Mam jeszcze chwilę i jeśli zaraz uda nam się wymyślić, co robić, to zrobimy to bez ociągania się.

- Orsana, jesteś cudowna. - Uśmiechnęłam się ze wzruszeniem. - Ale nie mam pomysłu, co mogłybyśmy uczynić. Len, znaczy się wilk, nawiał. Nie bardzo chcę wracać do Dogewy, bo tam się zacznie histeria, jakby ogłoszono koniec świata! Niech lepiej jeszcze chwilę po-zostaną w błogiej nieświadomości, jeśli idzie o śmierć ukochanego władcy. Poza tym jestem pewna, że ani zielarka, ani Starsi słowa mi nie powiedzą, nawet gdybym zaczęła kroić ich na kawałki. A jeżeli panowie rozbójnicy mieli już okazję przekazać im „wyrazy współczucia” i swoją wersję zabójstwa, to sama zostanę pokrojona.

- A co powiesz na Arliss? - po namyśle zaproponowała Orsana. - W końcu to ich posłowie wciągnęły Lena w pułapkę.

- Nie, akurat oni go bronili i zginęli razem z nim. A przynajmniej część z nich.

- No właśnie, część. Może pośród pozostałych znaleźli się zdrajcy, skoro ktoś tam wspominał o wymianie straży i bliskiej znajomości z posłami. Coś w tym całym Arlissie śmierdzi i wypadaloby tam wpaść i się rozejrzeć.

- Ja nawet nie mam pojęcia, po której stronie świata mam szukać tej krainy!

- Zaraz sprawdzimy na mapie! - pocieszyła mnie zawsze optymistyczna najemniczka.

Z naramiennej sakwy wyciągnięta została szmaciana mapa, którą Orsana rozścieliła na trawie i przycisnęła kamieniami, żeby chronić przed podmuchami wiatru.

- Tu jest! - Moja towarzyszka znalazła nasz cel jako pierwsza. - Oż, daleko! Co najmniej siedem dni drogi: przez całą Belorię aż do Jesionowego Grodu. Ale akurat witiagskim traktem, więc możemy wpaść na momencik i obejrzeć sobie ten cały elfi zamek, a raczej to, co z niego zostało.

Przyjrzałam się uważniej. Podobne do drobnej monетки, równe kółko doliny Arlissu leżało na granicy pomiędzy Belorią i Jesionowym Grodem - głębokim lasem, strzeżonym przez elfy, driady i druidów. W zasadzie pomysł nie był zły, pod warunkiem, że rozbójnicy nie pojawią się w Arlissie przed nami. A oni jak najbardziej mogli się rozdzielić - wysłać po kilku gońców do obu dolin, a resztą grupy dalej szukać mnie i Orsany. Przede wszystkim mnie, choć będącej w pobliżu Orsany z pewnością też nie oszczędzą.

- Nie, to się nie uda - przyznałam się ze smutkiem. - Nie mam znajomych w Arlissie, a nie wydaje mi się, żebyśmy miały znaleźć tam losowo jakąś przyjazną osobę. Słyszałam, że jest to dolina najbardziej ze wszystkich zamknięta dla ludzi. Nawet kupcy mają problemy, żeby się tam dostać, a i ich nie wpuszczają głębiej niż do przygranicza.

- Nie mów mi, że ktoś ryzykuje handel z wampirami?

- Pieniądze nie śmierdzą... ani nie gryzą. Arliss podobno eksportuje cielęcinę i różne sery pod elfimi znakami handlowymi, bo inaczej nikt by ich nie kupił. Słuchaj, to jest jakiś pomysł! -

Pstryknęłam palcami, z których wzbiła się chmurka brzęczących iskierek.

„Kuglarskie sztuczki”, jak pogardliwie mawiał mistrz, ale wśród adeptów ten prościutki czar był

bardzo popularny i z biegiem czasu wchodził w nawyk. - Kiedyś Len mówił mi, że można trafić na wampira w dowolnym większym od średniego ludzkim miasteczku, ponieważ często jeżdżą tam w sprawach handlowych, a czasem nawet mieszkają, codziennie witając się z niczego niepodejrzewającymi sąsiadami. Mimo najlepszych chęci rozbójnicy nie będą mieli dosyć czasu, żeby odnaleźć i powiadomić każdego z nich, a z wampirami mieszkającymi wśród ludzi powinniśmy łatwiej się dogadać.

- Witiag jest mniejszy chyba tylko od stolicy, a do tego leży najbliżej - przytaknęła Orsana. - A wiesz, nigdy wcześniej się nie zastanawiałam, skąd w Jesionowym Grodzie biorą się krowy!

Przecież nie wypasają ich w świętych gajach. Czy chcesz mi powiedzieć, że słynny „Kaprys elfa” z

białą pleśnią produkują wampiry?! Koszmar! Ale trzeba przyznać, że smaczny jest, próbowałam. Skinęłam głową i dopiero po chwili zrozumiałam, że coś się nie zgadza:

- Próbowałaś sera, który kosztuje sześć kładni za krążek wielkości dłoni?

- Dawno temu, jeszcze w dzieciństwie. - Orsana wzruszyła ramionami. - Kolega mnie poczęstował, syn bogatego sąsiada. A co?

- Nic. - Zaczerwieniłam się, ganiąc się za nietaktowne pytanie. Sama po raz pierwszy miałam okazję spróbować „Kaprysu elfa” w Dogewie, z okazji siedemdziesiątych szóstych urodzin Lena.

Dla wampira wcale nie jest to jakiś szczególnie solidny wiek, około dwudziestu lat w przeliczeniu na ludzkie. Oczywiście przedtem miałam okazję widzieć rzeczony sery, ale tylko w bogatych kramach, ponieważ większość mieszkańców wsi nie może sobie na nie pozwolić. To trochę tak, jakby zjeść za jeden kęs całego barana. - Przepraszam. No to ustalone, z rana jedziemy do Witiagu. Oczywiście jeśli się nie rozmyślisz.

Przyjaciółka tylko prychnęła w odpowiedzi.

- Wydaje ci się, że kiedy wychodziłam na trakt, to nie miałam pojęcia, że z usług najemników ludzie korzystają tylko wtedy, gdy nie chcą albo nie potrafią sami dać sobie rady, i mało prawdopodobne, by zaproponowana mi praca była lekka i bezpieczna? A przy okazji, skoro sprawy stoją, jak stoją, to wydaje się, że warty w nocy będą całkiem sensownym rozwiązaniem.

Kto pierwszy?

- Ono. - Skinęłam głową w kierunku otaczającego nasze obozowisko pierścienia, który załśnił matowo i ponownie zgasł. - Przedtem również nie kładłam się bez strefy ochronnej, strzeżonego...

- A jeżeli wampiry dobiorą się do nas z powietrza?

- No to je złapiemy i zachowamy w spirycie, dla muzeum. Bo jeszcze chwilę temu latać nie umiały. A tamte o, kręcące się pod drzewami nietoperki, raczej nie są groźne, więc nie zwracaj na nie uwagi.

Orsana przez dłuższą chwilę wpatrywała się w bezksiężycowy mrok, po czym z pretensją potrząsnęła głową:

- Wolho, a jesteś stuprocentowo pewna, że cię żaden wampir nie pogryzł? W mroku widzisz lepiej niż kot, po ugryzieniu wilka nie pozostał nawet ślad, rezerwa, czy jak ją tam, tryska nad brzegi. Może ty sama jesteś jakaś strzyga? Nocami wyjesz i krew wysysasz?

- Znam Lena już od ponad dwóch lat. I przez ten czas nikt w Szkole nie słyszał wycia i nie widział pogryzionych trupów. Bzdura. A poza tym na szyi powinny zostać ślady kłów!

- Niekoniecznie. Sama mówiłaś, że rany na wampirach goją się w jednej chwili, jakbyś nóż wpakowała do kisielu. Chodź, potnę cię, to się przekonamy na pewno!

Na wszelki wypadek odsunęłam się kawałek.

- Nie jestem pewna, czy ten wilk ugryzł mnie aż tak głęboko, raczej się przestraszyłam. Dla maga praktyka nie jest jakimś wyjątkowym problemem zalecenie płytkiego cięcia, więc robię to odruchowo i nie gorzej od wampira. A nie dam ci „piłować” ręki do kości, bo ona mi się jeszcze przyda. Poza tym Len mi mówił, że wampiryzmu nie przekazuje się przez ugryzienie.

- Fiu! - Orsana gwizdnęła. - Znalazłaś sobie autorytet, wampira! On ci opowie bajkę dla grzecznych dzieci, a potem jeszcze pościeli mięciutko... w grobie!

- On jest jedynym, kogo warto słuchać - ucięłam. Chyba zbyt niegrzecznie i kategorycznie.

- Kim on dla ciebie był? - pytanie złapało mnie z zaskoczenia.

No właśnie, kim?

- Przyjacielem - wydukałam niechętnie, sama nie będąc pewna, czy kłamię, czy mówię prawdę. -

Najlepszym. Najbliższym. Najdroższym. Wiedziałam, że w trudnej chwili zawsze mogę do niego przyjść, a on nie będzie się przede mną wymawiał pilnymi sprawami, nie będzie mi robił

wykładów ani pouczał, tylko pomoże, a jego pomoc mnie nie skrępuje ani do niczego nie zobowiąże. Nie zrozumiesz...

Najemniczka popatrzyła na mnie ze współczuciem, bez żadnego komentarza.

Len był dla mnie znacznie więcej niż przyjacielem. I Orsana doskonale to rozumiała.

Ale nic nie powiedziała, więc w milczeniu zjadłyśmy kolację i poszłyśmy spać.

Bez siodła na koniu długo nie posiedzisz - i zwierzakowi zetrzesz grzbiet, i sam potem będziesz łąził zgięty w podkowę. Tak więc przejażdżka do Witiagu zajęła nam trzy dni zamiast planowanych dwóch. Im bliżej miasta, tym częściej trafiały się wsie, nie miałyśmy więc najmniejszych problemów z noclegiem i jedzeniem, a sakiewki dopełniałyśmy drobnymi fuchami po drodze - narąbać drewna, przegonić szczury, usunąć brodawki, czy też przypilnować kupieckiego kramu przed rozbójnikami i strzygami (tak po prawdzie podparłyśmy drzwi stołkiem i słodko się wyspałyśmy na zwiniętych w rulony dywanach).

Sławetny elfi zamek znajdował się w odległości wiorsty od miasta i prezentował sobą malownicze gruzowisko białe - fiołkowych kamieni z jedną jedyną ocalałą, ale wyraźnie przechyloną wieżą.

Oględziny całości zajęły nam równo kwadrans: od północnej strony budynek był restaurowany, czyli do samego szczytu wyrastały przegniłe i częściowo osypane rusztowania, którym remont potrzebny był wcale nie mniej niż zamkowi jako takiemu. Zachodnia część była w ruinach do tego stopnia, że nie bardzo można było tam wejść. Wschodnią zasłaniał las. A na polance przed jako tako ocalałym sadem siedział barwnie ubrany mężczyzna, tulący do siebie lutnię, ale posiadający też przytroczony do pasa miecz i ciężką kuszę za plecami.

- Panny to pewno chcą sobie zamek obejrzeć? - zakrzyknął radośnie, wybiegając nam na spotkanie. – To ja w jednej chwili i pokażę, i opowiem, i nawet jakaś” ciekawa skorupa się na sprzedaż znajdzie!

- Przepraszam, a pan to kto? - spytałam, nie potrafiąc wydedukować tej informacji z posiadanych danych.

- Tutejszy stróż, a przy okazji oświecam przejezdne ludki co do tych ruin - wyjaśnił z dumą, poruszając ramionami, żeby poprawić ześlizgującą się kuszę. - Opowiadam o zamku i elfach, mogę tak po prostu, mogę smętnym wierszem przy lutni. - I na dowód przeciągnął ręką po wyraźnie obwisłych strunach. Konie cofnęły się, a ja drgnęłam i zaczęłam szukać spojrzeniem kota, którego ktoś przytrzasnął drzwiami.

- A co tu jest do pilnowania?

- No przecież psuje, wszędzie psuje - poskarżył się stróż - bajarz. - Obrazki malują na ścianach takie, że wstyd patrzeć, i jeszcze wyłamują z podłogi te malutkie zdobione płytki. Że też im się chce ręce zdierać, przecież łomem to się znacznie wygodniej robi, a za pięć mie-dziaków sam złapię narzędzie w garść i wyłamię. Tylko mi pokażcie palcem którą!

- I węgielek z drabiną nam pan podstawią? - spytałam złośliwie.

- E, za dużo panna chce! - oburzył się stróż. - Oczywiście, że nie podstawię, póki nie dołożycie jeszcze srebrnika! No to co? Bajać o tych elfach?

- To może najpierw pokrótce, dla wprowadzenia - zaproponowała najemniczka. - A my się zastanowimy.

- Pokrótce? No da się, czemu nie. Znaczący się tego, no... elfy... one, znaczący tego! Były tutaj, cosiaj robiły, kto tam te nieludzie wie! A potem w nocy toto wszystko wzięło i ja - ak huknęło! Tamoj, tutaj i gotowe! I, no tego, znaczący się zamek na wszystkie strony frrrr! I ni ma. - Stróż rozłożył

ręce i z nadzieją popatrzył po nas, oczekując materialnego wynagrodzenia za barwną opowieść.

My wyraziłyśmy całymi sobą uczciwy zachwyt, obie-całyśmy, że wrócimy po dokładny opis wydarzeń, po czym okrążyłyśmy zamek i próbując uniknąć „opowiadacza”, ukryte, zagajnikiem wróciłyśmy na trakt.

- Ruiny to jednak ruiny - filozoficznie skonstatowała Orsana. - Wszystkie takie same są, i elfie, i ludzkie. Nie ma w nich za bardzo co podziwiać.

- Oprócz nieprzyzwoitych malunków - przytaknęłam.

Za wjazd do miasta zażądano od nas po drobnej srebrnej monecie - że niby na remont drogi.

Orsana zasugerowała, by strażnicy własnoręcznie wyłożyli na rzeczoną po kawałku bruku, ale oni odpowiedzieli paskudnym rechotem i natychmiast po otrzymaniu opłaty wysłali gońca do najbliższej tawerny. Wątpię, by miał przynieść kamienie.

Witiąg mało różnił się od Starminu. W ciągu ostatnich lat bardzo się rozrósł - z powodu bliskości morza i wygodnej lokalizacji. Od strony otaczających morze gór do miasta nie mógł podejść żaden wróg, od strony jezior tym bardziej, więc jedynym przeciwnikiem w okolicy były komary, mnożące się w niesamowitych wręcz ilościach. Wojownicze plemiona koczowników, które raz na jakiś czas najeżdżały okolicę, grabiły tylko przygraniczne sioła, a duże wojny z sąsiadami dogasały pod kamiennymi murami stolicy.

Tutaj, w Witiagu, mury były niższe i trzymający je cement trochę bardziej rozwodniony, a już na pewno nikt nie pofatygował się, by wyszlifować same kamienie do połysku, żeby szturmujący wróg nie znalazł podparcia ani dla ręki, ani dla haka (po chwili wykryliśmy, że trochę dalej ściany w ogóle nikną, by znowu wyrosnąć przy wyjeździe z Witiagu, w związku z czym do miasta spokojnie można się było dostać opłotkami).

Tuż za bramą trafiłyśmy na mnogość kramów i Orsana natychmiast pozbyła się dwóch pozostałych kładni na rzecz prostego, ale solidnego siodła. Jeśli idzie o słodycze, czyli drugi symbol Witiagu, to trzeba przyznać - miałyśmy o wiele więcej szczęścia niż w przypadku zamku: gotowane w miodzie orzechy smakowały ponad wszystkie pochwały. Na dokładkę mojej towarzysze ogromnie spodobał się olbrzymi piernik w kształcie drapieźnie wyszczerzonego słoneczka o wylupiastych oczach, wyglądającego tak, że trudno było powiedzieć, kto tu miał kogo zjadać.

- A mnie się jednak wydaje, że rozwiązania należy szukać w Arlissie - z przekonaniem stwierdziła najemniczka. Obrzuciła szybkim spojrzeniem lepkie miedziaki reszty, po czym przesypała je do sakiewki. Przypomniałam sobie, jak moi rodzice z mozołem rozsuwali na dłoni drobne monetki, poruszając wargami przy niezwyklej dla siebie pracy umysłowej. Może Orsana miała za sobą darmową szkołę przyświątynną dla dzieci chłopów, chociaż mnie osobiście ledwie nauczyli tam liczenia na palcach rąk. - A może by nam się jakoś udało wywabić ich władczynię i odpytać ją na osobności?

- Ta, sama wybiegnie ci na spotkanie z otwartymi ramionami - mruknełam ponuro, również rozmyślając o naszych dalszych planach.

- Oj, daj spokój, przecież jesteś wiedźmą - beztróska rzuciła najemniczka, zatapiając zęby w pierniku. - Zaczarujesz ją i po kłopotcie.

- Biegnę i pędzę! Władcy są odporni na zaklęcia.

- A to dlaczego?

- Są telepatami.

- I co z tego? Ja też wiem, jak rzucać ogniem: krzyczy się: „Ryj!” i macha ręką. Ale coś mi się nie wydaje, żeby mi to miało pomóc, prawda? - Orsana zaczerwieniła się i dodała: - Próbowałam...

Kiedyś, dla żartu.

- Roili - poprawiłam odruchowo. - To nie jest wcale takie proste. Zaklęcia zasadniczo składają się z

trzech komponentów: potrzebne są słowo, ruch i oddana przez maga moc. I jeszcze cała masa warunków działania, i właśnie od tej strony zwykle podchodzą do sprawy wampiry. Chociażby jeśli idzie o pulsary: tak w ogóle one są samonaprowadzające, ale dolatując do celu, z nieznanego powodu odskakują, jeśli się machnie w ich kierunku gałęzią.

- Byłam na dorocznym turnieju winesskich czarodziejów, ale nie zauważyłam, żeby machali gałęziami - sceptycznie zaoponowała przyjaciółka. - O rany, on jest z nadzieniem! Chcesz spróbować?

Nadgryzione słoneczko, krwawiące porzeczkową konfiturą, wyglądało cokolwiek smętnie.

- Nie, dzięki. Po pierwsze, ty spróbuj najpierw zgadnąć, jakie zaklęcie zastosuje przeciwnik, a po drugie, ja osobiście rzucam ogniem bez uprzedzania wroga. I jeżeli długie zaklęcie czasem można przerwać w połowie tworzenia, to z pulsarem taka sztuczka się nie uda. A władca dokładnie wie, czego i kiedy użyję, tak więc nic z tego.

Nagle drogę przebiegł nam ogromny szary szczur. Wianek prychnął z przestachem i stracił rytm.

Smółka po kociemu przysiadła na przednich nogach i kłapnęła zębami, ale spudłowała. Ze złością kopnęłam ją w bok. Solidnie upity chłopina w drzwiach karczmy usiadł na tyłku i wyglądał tak, jakby obiecał sobie, że zachowa trzeźwość przynajmniej przez tydzień.

- A co z tym amuletem, który dostałaś od wampira? Mówiłaś, że ukrywa myśli.

- Ale nie przed Lenem. Może być, że dla pozostałych władców także nie jest przeszkodą. W

każdym razie najpierw powinniśmy znaleźć zwykłego wampira i z nim porozmawiać.

- I jak masz zamiar go szukać? - Orsana z zazdrością odprowadziła spojrzeniem konny patrol.

Oficjalnie strażnicy byli częścią legionu, o którym ona marzyła. Oczywiście objeżdżanie miasta z batem zamiast miecza (który można wyciągać tylko w sytuacjach nadzwyczajnych) nie było szczególnie bohaterskie, ale rzadko który dzień mijał bez potyczek z nieporządnymi obywatelami i krwawych bijatyk, podczas gdy legionieści w koszarach w czasie pokoju cierpieli na chroniczny brak zajęcia. Tfu - tfu, jak na razie wojny nie było widać nawet na horyzoncie, więc po namyśle Orsana nie odmówiłaby przejechania się po mieście w ten sposób: patrząc na wszystkich z góry, bawiąc się batem, w dźwięcznie brzdąkającej kolczudze.

Jeden ze strażników, sympatyczny szatyn, pomachał ręką dziewczynie, która zachłannie i wprost gapiła się na legionistów. Orsana zmitygowała się, zaczerwieniła po koniuszki włosów i odwróciła do mnie.

- Masz jakiś pomysł, żeby go znaleźć? - powtórzyła.

- Właśnie się zastanawiam - westchnęłam. Strażnik, który zwrócił na Orsanę uwagę, nawet przytrzymał konia, ale jako że ona już nie patrzyła w jego kierunku, dogonił towarzyszy i razem z nimi skręcił w sąsiednią uliczkę. - Ktoś mi mówił, że wampira nie da się wysledzić... No to sprawdzimy

rano, ze świeżą głową, czy rzeczywiście tak jest. A póki co chyba warto coś przegryźć, nie?

- Pomysł niezgorszy - zgodziła się Orsana.

Na końcu ulicy znalazła się zadbane karczma z wiele obiecującym szyldem „Pod Trzema Wesołymi Wampirami”. Z tego, co wiedziałam, tego typu lokale otrzymywały nazwy albo z powodu lokalizacji, albo właściciela, albo jakiegoś bardziej znaczącego wydarzenia. Tak że było bardziej niż prawdopodobne, że kiedyś imprezowały tu wampiry w ilości sztuk trzech. Pozostało mi tylko zastanawiać się, na czym polegała ta impreza. Zresztą właścicielowi mogło chodzić również o to, że w jego karczmie nawet wampiry nie będą się nudzić. Zsiadłyśmy z koni i na nasze spotkanie natychmiast wyskoczył chłopczyk, który przejął lejce i odprowadził zwierzęta do koniowiązu. Rzuciłam mu drobniaka, jako pierwsza weszłam do karczmy i z niezadowolaniem zobaczyłam, że wszystkie stoły są zajęte. Akurat musiałyśmy trafić na moment, kiedy ludzi jest najwięcej - dzień pracy się skończył, dopiero co zapada zmrok, a solidnie już wyrośnięty apetyt nie pozwala nogom przejść obok celowo otwartego na oścież okna kuchni.

Miałyśmy szczęście: karczmarz nie zdążył nawet napełnić kufla zamówionym przez nas kwasem, a dobrze już podpite towarzystwo, składające się z krasnoludów i ludzi, szcudrze sypnęło na stół

złotem i lekko chwiejną, niezwartą grupą ruszyło w kierunku wyjścia. Złapałyśmy za kufle i zajęłyśmy wolne miejsca.

- A dlaczego takiego wampira nie można wysledzić? Jak on w ogóle wygląda? - Orsana obrzuciła zadymione pomieszczenie ostrożnym spojrzeniem, jak gdyby oczekując, że któryś z gości zamieni się w nietoperza i ze złowieszczym rechotem wyleci przez komin.

- Nijak. - Wzruszyłam ramionami i poprawiłam się: - Znaczy jak zwykły człowiek. Kły chowa w wąsach i brodzie, a skrzydła pod płaszczem albo kurtką.

Nieszczęśliwie dla nas, wszyscy przebywający w karczmie wyróżniali się solidnym zarostem, nawet panna roznosząca potrawy mogła pochwalić się rzadkim czarnym wąsikiem nad górną wargą.

Orsana obejrzała się przez ramię, świdrując wzrokiem grubego brodacza w czarnym płaszczu, który wchłaniał piwo z kufla o rozmiarach większych niż niejedna beczułka.

- Czyli każdy z tych typków może okazać się wampirem?

Brodacz z hukiem postawił pusty kufel na stole, otarł wąsa ręką i głośno beknął.

- Niewykluczone.

- No to zaraz sprawdzimy. - Zanim zdążyłam otworzyć usta, dziewczyna wlała na stół i podniosła ręce nad głowę, ściągając na siebie uwagę wypełnionej po brzegi sali. - Szanowne druze! Chwilinkę uwagi! Chciałabym zrobić niewielką objawę. Widzicie, szukamy wąpierz.

Duże trzeba nam z nim pomówić! Słowo honoru, tylko pomówić, sama za czosnkiem nie przepadam. Wiem, że tu jest, więc...

Nigdy nie dowiedziałam się, co Orsana miała zamiar zaproponować wampirowi. „Szanowne druże” zapobiegawczo zdecydowało, że nie ma zamiaru przeciągać swojego pobytu w karczmie wypełnionej wampirami, i jak jeden mąż rzuciło się ku wyjściu, wydając z siebie kwiczące i wyjące dźwięki.

Moja towarzyszka ze zdziwieniem rozejrzała się dookoła. Na podłodze kręcił się drewniany kufel, otwarte drzwi skrzypiały, a z kranika dębowej beczki cienkim strumykiem sączyło się piwo.

Poza nami w karczmie nie pozostała nawet jedna żywa dusza.

- Genialnie! - Odchyliłam się na oparcie krzesła i kilkakrotnie klasnęłam w dłonie. - Już wiem, do kogo się zwrócić, gdy nie będzie wolnego stolika.

- Hm, to nie do końca tak miało zadziałać - z pewnym zakłopotaniem przyznała Orsana, złażąc ze stołu. - Kto mógł wiedzieć, że oni tak gwałtownie zareagują... A może wszyscy byli wampirami?

- I niby stado wampirów przstraszyło się dwóch dziewczyn? Nie, niestety, byli ludźmi. Sugeruję możliwie szybką ucieczkę ich śladem, zanim pojawi się tu straż miejska. Za takie dowcipy możemy trafić do jamy na dwa miesiące albo i dłużej.

Orsana mruknęła coś ze sceptycyzmem, ale uznała, że nie będzie się stawiać. Złapałyśmy swoje rzeczy z ławy i szybkim krokiem porzuciłyśmy gościnne progi karczmy. Odwiązałyśmy konie (Smółka akurat kończyła przegryzanie koniowiązu, i to wyłącznie dla czystej przyjemności, jako że przegryzienie lejców było znacznie prostsze), zgodnie wskoczyłyśmy w siodła i z miejsca ruszyłyśmy galopem.

Niestety, nasza ucieczka nie przeszła niezauważona.

- Ktoś za nami jedzie - szepnęła Orsana, gdy już zwolniłyśmy do kłusa i skręciłyśmy w jakąś uliczkę.
- Cii - i - i, nie oglądaj się! To strażnik.

- Jesteś pewna?

- Tak. Ma kolczugę. I rudego konia.

- I co z tego?

- Herb Witiagu to rudy lis na złotym tle. I dlatego cała straż ma pozłacane kolczugi i rude konie.

- Oż leszy! Mam nadzieję, że to nie o twój występ w karczmie chodzi.

- Nie mam pojęcia. Ale jedzie za nami już dość długo.

- Może nasza przewaga liczebna go przytłacza i ma nadzieję na spotkanie z patrolem?

- Płonne marzenia. Patrole nie zapuszczają się w takie zaułki. Instynkt samozachowawczy, rozumiesz.

- No to czego on od nas chce?

- Czekaj na datę - zasugerowała Orsana. - Chodź, demonstracyjnie wywrócimy kieszenie, a nuż się odczepi?

- A może spytamy go wprost? - Powstrzymałam kobyłę. Szerokość ulicy nie pozwalała mi na wykonanie obrotu, póki Orsana mnie nie wyprzedzi, ale w słowniku Smolki pojęcie „niemożliwe” nie istniało. Ignorując możliwe powiązania pomiędzy naciągnięciem wodzy i komendą „prrr!”, ruszyła tyłem - z niezmaconym wyrazem pyska i dokładnie taką samą szybkością jak zwykle, stabilnym, płynnym kłusem. Zanim Orsana zdążyła zawrócić Wianka, ja już zrównałam się z naszym prześladowcą.

Dokładnie tak, jak podejrzewała Orsana, był to strażnik. Kolczugę co prawda miał nie złoconą, a z jakiegoś bladozłocistego metalu, ale poza nią mógł poszczycić się znakiem na prawym rękawie, tarczą z herbem i przydziałowym siodłem ze znakiem stajni odcisniętym na przednim łęku.

Wyglądał na trzydziestkę i robił wcale sympatyczne wrażenie: regularne rysy twarzy, wysokie czoło, mądre brązowe oczy ze zmarszczkami od uśmiechu w kącikach, krótkie ciemne włosy, równo przystrzyżona broda i szczoteczka wąsów.

- Dobry wieczór. - Strażnik skłonił się uprzejmie, kładąc rękę na rękojeści przytroczonego do siodła miecza. - Mam na imię Rolar. O czym chciały panny ze mną pomówić?

- Z panem?! Ja pana po raz pierwszy wi... - i w tym momencie najemniczka urwała, skutecznie porażona czarującym uśmiechem nieznanego oraz jego nader imponującymi kłami.

Rozdział czternasty

O dziwo, jako pierwsza pozbierała się Orsana. - I szło to, wąpierz?! - z jakiegoś powodu za-dała to pytanie mnie, jednocześnie wskazując Rolara palcem.

- Zachodzą pewne podobieństwa... - odparłam ostrożnie.

Rolar wyraźnie napawał się naszym zmieszaniem, chowając uśmiech w sztucznych wąsach - bo wampiry nie posiadały zarostu.

- To co! - spróbował dodać nam nieco odwagi. - Która pierwsza? Moje panny, wykażcie trochę śmiałości! Samo ugryzienie to przecież drobiazg, a potem już wcale nie boli!

- Tylko spróbuj dotknąć mnie albo mojej przyjaciółki! - Orsana z groźbą w głosie zakręciła w powietrzu wyciągniętym z pochwy mieczem. - Stój, gdzie stoisz, strzygo jedna!

- Zaraz, ja tu chyba czegoś nie rozumiem. - Wampir jedną ręką przygładził włosy, drugą niby przypadkiem dotknął rękojeści wystającego zza pasa sztyletu. - Wam w końcu strzyga potrzebna czy wampir?

- Wampir, strzyga, kudłak, jeden leszy! - Orsana opuściła miecz, ale nie śpieszyła się z wkładaniem go z powrotem do pochwy.

- Piękna panna się nieco myli. Strzyga to podniesiony z grobu nieboszczyk, kudłak jest rodzajem drapieżnej siły nieczystej, a ja przedstawicielem rasy rozumnej.

- Aha, i cała ta rozumność wprost ci się z kłów wylewa!

- Łabędzi kształt szyjki szanownej panny doprowadza mnie do szaleństwa... Proszę schować miecz, to nie była aluzja, tylko komplement.

- Jeszcze czego, chyba na wszelki wypadek wyciągnę i sztylęty!

- Hej, stop, stop, stop! - Zamachałam rękoma. - Dajcie spokój, w takim tempie to wy się zaraz pobijecie i będę musiała albo się mścić, albo pomagać w ukrywaniu trupa, a naprawdę nie mam czasu na takie głupoty! Rolarze, moja przyjaciółka ma na imię Orsana, ja jestem Wolha. I naprawdę chciałyśmy z panem porozmawiać, ale wołałybyśmy zrobić to w jakimś sympatyczniejszym miejscu. I bezpieczniejszym. Możliwe, że ścigają nas bandyci.

- Mam nadzieję, że mówiąc o bandytach, nie ma panna na myśli moich kolegów ze Starminu? -

złośliwie skomentował wampir.

- Nie, prawdziwi rozbójnicy, bardzo niezadowoleni z faktu, że wtrąciłyśmy się w ich leśną działalność antyspołeczną.

- I w jakiż to sposób udało wam się ich tak rozwścieczyć?

- Właśnie o tym chciałybyśmy z panem porozmawiać.

Wampir spojrzał na mnie z tak smętnym wyrazem twarzy, jakby na sto procent wiedział, że za najbliższym rogiem oczekują na niego tłumy wiedźminów z kołkami osinowymi, a ja jestem szefem całej imprezy. Ale poprzestał na westchnieniu i skinął w kierunku Orsany:

- Można jej zaufać?

Ze zdziwieniem potwierdziłam. Dokładnie z takim samym skutkiem mógł zadać to pytanie Orsanie, czyli drugiej z dwójki kompletnie nieznanym mu paniom. Ale z jakiegoś powodu wybrał

mnie.

- Dobrze. Tu niedaleko jest niezła knajpka - zaproponował Rolar, łapiąc w garść uzdę swojego konia. - Co prawda tylko dla strażników i do tego nieżonatych, więc z ulicy się tam nie wejdzie.

Ale jeżeli pani ochroniarka będzie się dobrze zachowywać i schowa miecz do po-

chwy, to przedstawię was jako przypadkowe przyjaciółeczki, które za niewielką opłatą zdecydowały się ubarwić moją samotność.

- Szo?! - ryknęła najemniczka, przepelniona słusznym gniewem. - Mnie za sprzedajną dziewczkę?!

- Ale za to tam na pewno nikt nas nie podsłucha. - Rolar wzruszył ramionami. - Rozbójnicy za żadne skarby nie będą się pchali do karczmy po brzegi wypchanej strażnikami, a znajomi nie zechcą popsuć mi takiego obiecującego wieczoru.

Sądząc z wyrazu twarzy Orsany, „obiecujący wieczór” zaczęłby się już i natychmiast, ale dokładnie w tejże chwili jakieś półtora łokcia nad nami otworzyło się okno, z którego małym, acz śmierdzącym wodospadem wylała się zawartość nocnika, dzieląc się po równo pomiędzy kanał

ściekowy i lewy bok Wianka.

- Ażeby ci tak kto szwarknął na twój durny łeb! - z głębi serca życzyła najemniczka, potrząsając zachlapaną nogą.

- A nie ma co stać pod oknami i łupać oczkami! - wyglądająca oknem baba nie pozostała dłużna, po czym chlusnęła z wiadra mydlinami wprost w Orsanę. Mętna woda zatoczyła koło i znalazła się z powrotem w wiadrze z takim impetem, że kobiecinę odrzuciło do tyłu i na podstawie łomotu, plusku oraz soczystych przekleństw pod adresem „wstrętnej wiedźmy” już tylko mogliśmy zgadywać, co się wydarzyło.

W ten oto sposób wyrzuciłyśmy z siebie złość, ale nie chcąc ściągać nadmiernej uwagi, śladem Rolara wycofałyśmy się z niegościnnego zaułka. Wbrew moim oczekiwaniom, wampir nie śpieszył się z zagłębianiem w mroczne chaszczę, gdzie łatwo zgubić ślady i schować się przed cudzymi spojrzeniami, a na odwrót, ruszył w kierunku centrum miasta. Jechałyśmy za nim, nieco skołowane popularnością naszego nowego znajomego wśród okolicznych mieszkańców. Witął się z nim co drugi - zaczynając od napotkanych strażników, a kończąc na żebrakach siedzących wzdłuż ścian. Chichotały sprzedajne dziewczki, żartobliwie posyłając w kierunku wampira całusy, radośnie piszczały dzieciaki, skąpo uśmiechali się złodzieje, pośpiesznie wyciągając ręce z cudzych kieszeni, solidnie kłaniali się kupcy. Uliczne handlarki jedna przez drugą wołały Rolara do swoich kramów, a gdy skusił się na gorący pasztecik z kapustą, nie kosztowało go to nawet miedziaka.

„Knajpka” okazała się przestronną karczmą „Łaknący Strażnik”, w której hałaśliwie spędzały czas patrole po zakończeniu zmiany. Nasze wejście zrodziło rwetes zachwyconych głosów - w drodze do wolnego stolika w ciemnym rogu Rolar musiał co rusz odpowiadać na powitania i ścisnąć rękę kolegów. Nie zdążyliśmy nawet usiąść, a stół już uginał się pod ciężarem kufla z piwem, a podkuchenna pośpiesznie, żeby nie zapomnieć, wyliczała, komu z przyjaciół wampir zawdzięcza taką obfitość. Rolar przerwał jej, pytając o zdrowie, żartobliwie uszczypnął za chętnie podstawiony tyłek i królewskim gestem nakazał poczęstować wszystkich obecnych na jego rachunek. Karczma ponownie utonęła w ryku, a wampir musiał wstać i przywitać zebranych, kłaniając się na wszystkie cztery strony.

Orsana bez ceregieli pociągnęła podkuchenna za spódnicę, odrywając jej uwagę od Rolara, i poprosiła o sznycel cielęcy z kiszoną kapustą i kawałek ciasta z wiśniami. Nie komplikując sobie życia wyborem, zamówiłam to samo.

- I ci wszyscy ludzie wiedzą, że pan jest... znaczy tym? - z niedowierzaniem spytała Orsana.

- Oczywiście, że nie, tego mi tylko brakowało. - Rolar przymknął oczy i pociągnął nosem z zachwyconym wyrazem twarzy wygłodniałego konesera. - Miletta, słoneczko, a dla mnie barani udziec zapiekany w gorczycy, a do niego talerz ziemniaków. I jeszcze parę pasztecików z serem.

Tylko szybko, moja miła, szybko, bo będę musiał zjeść ciebie!

- I on nie żartuje - burknęła Orsana śladem dziewczyny.

- Hej, Rolar! - zawołał wampira starszy mężczyzna przy barze. - Wczoraj w nocy w zaułku bednarzy, to twoja robota?

- Yhym. - W oczekiwaniu na kolację wampir oddawał honory piwu. Ja nie ryzykowałam alkoholu na pusty żołądek. Orsana natomiast odważnie złapała za rączkę najbliższego kufła i upiła wielki łyk, ale natychmiast skrzywiła się i zaczęła kaszleć.

- Mówią, żeś na miejscu położył siedmiu? - kontynuował odpytywanie znajomy. Rolar leniwie machnął ręką z rozczapierzonymi palcami.

- Pięciu. Dwóch zdążyło dość daleko odbiec.

- Gisz się zaklinał, że oni cię co najmniej dwa razy dorwali.

- Ja się tam dziwię, że on w ogóle cokolwiek dojrzał. Z beczki, do której zanurkował na widok dziesiątki idiotów z zardzewiałymi mieczami - pogardliwie rzucił wampir, biorąc się do drugiego kufła. Począł, aż koledzy skończą się śmiać, a potem z pretensją dokończył: - I to się ma nazywać partner. Trzy miesiące żeśmy zmarnowali, żeby znaleźć bandę Zoara, a jak przyszło co do czego, wszystko na mojej głowie zostało. A do tego mają mi potracić z żołdu za tę beczkę, bo Gisz się w niej zaklinał na dobre i trzeba było rozbijać obręcze...

- To mogłeś go w niej przyturlać na posterunek - poradził jakiś żartowniś i uwaga otoczenia przełączyła się na barwną wyliczankę sposobów wyciągnięcia pechowego tchórza.

My tymczasem patrzyliśmy na siebie w oczekiwaniu.

- Rozmowa - przypomniał Rolar. - Niewymuszona dyskusja pomiędzy ludźmi w celu wymiany lub pozyskania informacji. Z czym ma pani problemy, opiekunko?

- Jak mnie pan nazwał? - nie zrozumiałam.

Wampir skinął podbródkiem w kierunku podarowanego mi przez Lena amuletu, który wyglądał spod rozpiętej z racji gorąca kurtki.

- Ma pani na sobie rear władcy Dogewy, a nie ma pojęcia, co on oznacza?

- To jest prezent na znak wdzięczności.

- Co też pani nie powie? - mruknął Rolar. - Wszystko rozumiem. Prezent! No tak, na swój sposób jest to wspaniały prezent...

- O co panu chodzi? - Złapałam w garść dyndający na rzemyku kamyczek. Orsana nie wtrącała się do rozmowy, ale również z ciekawością zerknęła na niczym niewyróżniający się kawałek awantury oprowiony w srebro. - Zaraz, moment, czyli to właśnie jest rear?! A co w nim takiego specjalnego?

Wampir zachmurzył się, Zabębnił koniuszkami palców po blacie, ewidentnie nie potrafiąc zrozumieć, czy go sprawdzam, czy sobie żartuję.

- Rear na szyi oznacza, że jest pani oficjalną zastępczynią Arr'aktura na wypadek... hm... jego długotrwałej nieobecności. To pani chciała usłyszeć?

Chciałam usłyszeć prawdę i jeżeli tak właśnie wyglądała, to żaden wymysł nie mógł się z nią równać.

- Czyli co, jesteś teraz władczynią Dogewy? - Orsanie nie udało się powstrzymać chichotu. - Ale heca!

- Nie do końca... - wampir z trudem dobierał słowa, próbując wyjaśnić mi coś, co z jego punktu widzenia pozostawało poza granicami ludzkiej wyobraźni. - Pani... y - y - y... nie jest władczynią w dokładnym tego słowa znaczeniu, tylko wybranką... opiekunką...

- Opiekunką czego? Skarbca? Klejnotów koronnych? Ogniska domowego?

- Ciała - poważnie odparł wampir.

- Znaczy się trupa? - z niedowierzaniem zapytała Orsana. - Hm, trzeba powiedzieć, że nie jest to coś wybitnie przystosowanego do przechowywania, chyba że w zamkniętym grobie... Czy się go uprzednio balsamuje?

- Orsana! - przerwałam jej z oburzeniem. - To nie jest zabawne!

- Przepraszam. Zapomniałam, że on naprawdę nie żyje. - Orsana ze współczuciem, ale trochę zbyt mocno poklepała mnie po ramieniu, budząc pewne podejrzenia co do skutków jedyne łyku piwa.

Drewniany kufel w rękach Rolara skrzywnął i zmiął się, jak gdyby był zrobiony z kory, fala piwa spłynęła po złocistej koleczudze.

- Co powiedziałaś?! - zapytał ochryłym głosem biały jak płótno wampir.

- Kilka dni temu bohatersko zginął z ręki rozbójnika, niech spoczywa w spokoju - rzeczowo wyjaśniła podchmielona najemniczka. - A przy okazji, gdzie mój kotlet? Miletta, ha - alo!

- Hej, Rolar... - Pomachałam dłonią przed szklistymi oczyma rozmówcy. - Orsano, przecież nie można tak ni z gruszki... Trzeba było jakoś spokojniej i z taktem...

- Twoim zdaniem, powinniśmy najpierw poprosić, żeby usiadł, uspokoił się, rozluźnił, po czym delikatnie i w jasnych barwach odmalować życie pozagrobowe i obiecać, że „kiedyś tam wszyscy trafimy”, po czym doprowadzić do zawału durnymi aluzjami odnośnie nieszczęśnika, którego to spotkało? - Najemniczka cynicznie wzruszyła ramionami. - Nienawidzę tych udawanych rozpaczów nad mogiłami. Gdy dotrę do kresu drogi życiowej, poproszę, żeby mnie zakopać możliwie głęboko, potem powiedzieć: „Jak to dobrze, że nie ma jej z nami!” i już można się rozejść.

- Jeszcze chwila i właśnie tak to się skończy - obiecałam jej z pogrozką w głosie. - Rolarze, pan nie dosłuchał do końca. Len rzeczywiście nie żyje, na własne oczy widziałam jego skostniałego trupa z mieczem w piersi. Ale potem zamienił się we wcale żywego wilka, z jakiegoś powodu napadł mnie i pogryzł, po czym zwał. Wydaje mi się, że coś jest z nim bardzo nie tak, lecz nie mam pojęcia, jak mu pomóc!

- Ale to przecież wszystko zmienia! - Rolar w jednej chwili doszedł do siebie, podnosząc się i otrząsając z piwa oraz odłamków kufła. - W takim razie jeszcze nie wszystko stracone! Kiedy to się stało?

- Sześć dni temu - podliczyłam po chwili wahania. A ma człowiek wrażenie, jakby to było sześć godzin...

- Doskonale! Akurat zdąży pani do Arlissu i jeszcze zostanie dzień czy dwa zapasu.

Nie podzielałam jego optymizmu.

- Zapasu do czego? I co my tam będziemy robić?

- Zamykać krąg, oczywiście. - Wampir wyciągnął rękę po trzeci kufel, ale zdezorientowany moim nic nierozumiejącym spojrzeniem nie trafił. - Co? Nie ma pani pojęcia, jak to się robi?!

- Ani jak, ani po co, ani co to w ogóle takiego jest!

- O bogowie! - Rolar schował twarz w dłoniach, próbując uspokoić się i pozbierać myśli. - To pani nie żartuje? Len nic pani nie opowiedział? To jak się pani zgodziła na zostanie opiekunką?

- Przecież już panu mówiłam, że Len po prostu dał mi tę ozdóbkę w prezencie!

- W prezencie! Ozdóbkę! - Wampir chichotał tak głośno i nerwowo, że zaczęły się na nas skupiać spojrzenia z sąsiednich stolików. - Może nasza władczyni ma rację i jemu rzeczywiście w głowie się pomieszało?

- Czyli pan jest z Arlissu? - zdziwiłam się. - A mnie się wydawało, że skoro pan poznał rear Lena...

- Reary wszystkich dwunastu dolin różnią się kształtem. A Dogewa ma jednego władcę. -

Rolarowi jednak udało się złapać kufel, z którego w zamyśleniu upił łyk, zastanowił się i zdecydowanym tonem ogłosił: - Nie, moje panny, tak to my nigdzie nie zajdziemy. Proszę mi opowiedzieć wszystko i od początku albo zanim zrozumiem, co się stało, będę siwiutki jak gołąbek. I

może przejdźmy na ty, dobrze?

Po chwili namysłu uznałam, że wampir niekoniecznie jest zainteresowany moim ciężkim dzieciństwem i pełnymi trudów szkolnymi dniami.

- Ja i Len, czyli władca Dogewy, poznaliśmy się dwa i pół roku temu, gdy przyjechałam do doliny z zadaniem szkolnym, żeby spróbować rozwikłać serię zagadkowych morderstw. Udało mi się odnaleźć i zniszczyć potwora i w podziękę dostałam od Lena ten amulet. Pół roku później spotkaliśmy się ponownie, po czym w towarzystwie pewnego znajomego trolla wpakowaliśmy się w totalnie idiotyczną aferę, przy okazji zdobywając trzynasty kamień dla wiedźmiego kręgu w Dogewie. A w trakcie ostatnich dwóch lat spędziłam w dolinie tyle cza-su, że Len zaproponował mi miejsce najwyższej wiedzy... maga Dogewy. Chyba zrozumiał, że i tak się ode mnie nie uwolni, a w ten sposób przynajmniej będzie z całej sprawy coś miał. I gdy już jechałam do doliny, żeby zacząć pracę...

W tym miejscu musiałam zagłębić się w szczegóły. Najwięcej uwagi poświęciłam podsłuchanej rozmowie, próbując możliwie dokładnie powtórzyć kwestie rozbójników, żeby nie zniekształcić niezrozumiałego dla mnie sensu. Jego część pozostała zagadką nawet dla Rolara, który kilka razy ze zdziwieniem unosił brwi i prosił o powtórzenie, a w końcu poklepał się po kieszeniach, znalazł

jakiś zużyty, niepotrzebny zwój i zaproponował, żebym zapisała to wszystko na jego czystej stronie. O coś do pisania trzeba było poprosić karczmarza, lecz byłam zbyt leniwa, żeby wstać i iść przez całą salę. Ukradkiem pstryknęłam palcami i kałamarz z piórem zniknął z kontuaru, a pojawił się na środku naszego stołu. Karczmarz, nie dowierzając własnym oczom, pochylił się aż ku deskom i nawet poklepał po nich dłonią. Póki ja pisałam i kreśliłam, Orsana opowiadała o swoim wkładzie w potyczkę z rozbójnikami. Szczęśliwie, skutki piwa szybko z niej wywietrzały, więc pokrótce i rzeczowo opisała, ilu ich było, jak wyglądali i w co byli ubrani.

- Rzeczywiście podobni do wampirów - przyznał Rolar. Piwo nie podziało na niego w żaden dający się zauważyć sposób. Spojrzenie strażnika pozostało tak samo skupione i przenikliwe jak na początku rozmowy. Zresztą Len również potrafił pić, nie odczuwając skutków alkoholu, i to znacznie mocniejsze trunki. - Nie zauważyłyście, czy mieli kły?

Pokręciłam głową.

- Nie przyglądałam się.

Orsana tym bardziej miała lepsze rzeczy do roboty, zwinność i szybkość atakujących nieprzyjemnie ją zaskoczyły, odbierając wszelką ochotę do zaglądania im w zęby.

- W Dogewie widziałam znacznie szybszych wojowników - dodałam i się zacięłam. Czy ma sens opowiadanie wampirovi, że rozbójnicy zwalili na mnie winę za morderstwo? Ich wersja może mu się wydać bardziej prawdopodobna. Jednak w przeciwnym razie czeka mnie wyjaśnianie, dlaczego nie wróciłam do Dogewy.

Rolar wysłuchał mojej nieskładnej relacji i z niezadowoleniem pokręcił głową.

- Twoja wina polega wyłącznie na tym, że uwierzyłaś w ich groźby. Jak to się mówi w dolinach:

„Kto ma rear, ten ma rację”. Mogłaś najspokojniej w świecie wrócić do Dogewy, pokazać Starszym amulet i otrzymać ich pełne poparcie, ale teraz już na to za późno. Arliss jest bliżej, więc raczej trzeba jechać tam. Poza tym jego władczyni nie raz zamykała krąg, więc będzie w stanie przekazać wam najdrobniejsze szczegóły obrządku, o których ja mogę nie mieć pojęcia.

- To opowiedz przynajmniej ogólniki - poprosiłam błagalnie, dmuchając na zapisany pergamin.

Karczmarz ze zdumienia podskoczył i ponownie pochylił się nad kontuarem, świdrując spojrzeniem marnotrawny kałamarz. Strachliwie pchnął go palcem, poczekał parę sekund, a potem złapał w obie ręce i wyniósł na zaplecze.

- Spróbuję. Ile dzieci może wydać na świat ludzka kobieta? - dziwacznie zaczął wampir.

Wzruszyłam ramionami.

- W chłopskich rodzinach bywa od czwórki do dziesięciorga dzieci, nie licząc tych, które umarły w niemowlęctwie. Dlaczego pytasz?

- Czyli co dwadzieścia lat liczba ludzi na świecie podwaja się albo nawet powiększa pięciokrotnie

- podliczył wampir.

- W teorii. W praktyce przeważająca część dzieci nie dożywa pełnoletności, nie licząc epidemii i wojen. Oficjalny spis ludności mówi o podwojeniu co siedemdziesiąt, sto lat.

- Jednak nawet w tym przypadku nie możemy się z wami mierzyć. Mimo naszego długiego życia większość wampirzyc staje się bezpłodna już po trzecim, a czasami nawet po drugim dziecku. Co prawda nasze niemowlęta prawie zawsze przeżywają, a dzieci rzadko chorują i zanim skończą dziesięć lat, mają zdolność regeneracji na poziomie władców, dysponując również naprawdę sporą siłą. Niestety, o żadnym podwojeniu nie możemy nawet mówić, chyba że w ciągu tysiąca lat albo nawet i dwóch, a i to wyłącznie, jeśli wykluczyć przypadkowe zgony. I właśnie tym zajmują się władcy.

- Ubezpieczaniem przed wypadkami?

- Mniej więcej. Jeżeli wampir ginie w kwiecie wieku, przy czym śmierć następuje w jednej chwili i ciało pozostaje względnie całe, zaczyna ochronną mimowolną transformację, nie regenerując się, ale jak gdyby przetapiając się.

- W wilka?

- Tak, bo to jest najprostsze. Poza tym nie da się uniknąć utraty jakiegoś procentu ciała na skutek krwotoku czy rozerwanego w strzępy organu, a zwierzęta lepiej znoszą wycięcie i szybciej dochodzą do siebie. Widziałaś używaną przez nas broń, gword? Ma trzy ostrza, gęsto zazębione do zadania możliwie szerokiej i rozerwanej rany.

- Widziałam. Lecz czy wy w ogóle międzysobą walczyście?

- W tej chwili nie, ale jeszcze jakiś tysiąc albo dwa tysiące lat temu nam się zdarzało.

- A dlaczego wilk nie może zmienić się z powrotem w wampira, gdy zagrożenie minie?

- To nie jest takie proste. - Uśmiech na twarzy Rolara wyszedł krzywy i niezbyt wesoły. - Wy, ludzie, wierzycie, że po śmierci dusza odlatuje sobie w wymiary niebiańskie albo spada do piekła.

Co do wymiarów i piekła mamy nieco inne zdanie, ale w jednym jesteśmy zgodni: ciało bez duszy jest niewiele warte i wszystko jedno, czy wyłazi z mogiły jako rozkładający się zombi czy biega w wilczej postaci. W związku z czym trzeba możliwie szybko przywrócić ją, czyli duszę, na miejsce, i to nie później niż w dwanaście dni od chwili śmierci. I właśnie na tym polega sens obrządku. Aktywując wiedźmi krąg, jak to się u nas mówi: „zamykając”, władca jednoczy duszę z ciałem. I to właśnie dlatego w każdej dolinie powinien być minimum jeden krąg i minimum jeden władca.

- A co się stanie, jeśli zabije się wilka? - zaciekawiła się Orsana.

- Pogrzeb - chmurnie odburknął Rolar. - Dokładnie to samo w przypadku, jeżeli się spali albo rozczłonkuje ciało po śmierci. Jeśli nie macie ochoty na zabawę z toporem czy opalem, wystarczy wbić w ciało kilka kołków i poczekać parę godzin, aż do końca obumrze. W chwili gdy Wolha wyciągnęła miecz, Arr'akktur się przekształcił, ale gdy zmienił się w wilka, nie poznał jej, ponieważ wygrały zwierzęce instynkty.

- Potem jednak poznał - zaprzeczyłam niepewnie, przypomniawszy sobie ból i zdziwienie, które błysnęły w żółtych ślepiach stojącego przede mną zwierzęcia.

- Tak, ale nie ciebie, tylko rear - poprawił Rolar. - Gdy władca oddaje swój amulet ukochanej kobiecie, najlepszemu przyjacielowi czy doradcy, oznacza to bezgraniczne zaufanie w życiu i po śmierci. Mało który wampir, nie mówiąc już o ludziach, dostępuje tak wysokiego za-szczytu, i właśnie dlatego siedzę tu i z wami rozmawiam, chociaż zgodnie z zasadami powinienem podciąć wam gardła i zakopać w najbliższym rowie, żeby nikt w mieście nie dowiedział się o moim istnieniu.

- Ce, wy tyłki podywicesia na cego złydnia - - paskudę! - ucierpiała zawodowa duma Orsany. -

Jeszcze nie wiadomo, na kim by po jesieni mlecz zakwitły!

- A skąd wiesz, że nie zdjęłam reara z trupa zabitego przez siebie wroga? - spytałam, również z pewną pretensją w głosie.

- To wykluczone. - Rolar odchylił się na oparcie krzesła, rzucając krótkie tęskne spojrzenia w kierunku kuchni, w której dawno temu bez śladu znikła Miletta z naszym zamówieniem. - Jeżeli rear nie został oddany dobrowolnie, to po jakiejś chwili zionie ogniem nie gorzej od smoka, dzieląc złodzieja na osmalone górę i dół, a sam zamieni się w kurz. A po tobie widać, że nosisz go co najmniej rok.

Schowałam amulet pod kurtką, z pewnym drżeniem oczekując na wybuch, jednak nic się nie stało.

- Co znaczy: widać? A dlaczego nikt przed tobą nie zauważył?

- Jesteś naprawdę pewna, że nikt? - Wampir puścił do mnie oczko.

- Smoczyca! - skojarzyłam. - To o to jej chodziło! I mistrz zielarz wyskoczył z jakimiś durnymi pytaniami, i Kella ze Starszym wpatrywali się we mnie, jakby pierwszy raz w życiu widzieli. A przecież widzieli ledwie tydzień wcześniej!

- Zmiany następują stopniowo - potwierdził Rolar. - Otoczenie mogło ich nie zauważyć albo nie zwrócić uwagi.

- A co takiego się zmieniło? - spytałam podejrzliwie.

- Nie jestem pewien, czy mogę ci dokładnie powiedzieć. - Wampir rozłożył ręce. - Nie wiem, wyraz oczu?

„Masssz piękne oczy... Zbyt piękne...”

Smoki stanowczo wiedzą za dużo!

No dobra, oczy jakoś przeżyję. Bo już się bałam, że teraz nic, tylko czekać, aż mi zaczną kły rosnać. Czyli chodzi o rear, a nie o mnie! I pewnie w nim znajduje się źródło mocy, która niezbędna jest dla przeprowadzenia obrządku, a ja nieświadomie z niej korzystam. Dziwne, bo mnie rear wydawał się zupełnie bezużytecznym kamyczkiem, i to nawet raczej odpychającym magię niż ją przyciągającym. Jeszcze potrafiłam zrozumieć, w jaki sposób chroni przed telepatią, ale skąd bierze się cała reszta: widzenie w ciemności, natychmiastowe leczenie ran, szybka regeneracja rezerwy? I dlaczego nie potrafiłam korzystać z jego mocy wcześniej, chociażby na tym całym egzaminie, gdy jednak musiałam biec do źródła w auli? Czy wówczas, gdy się tak strasznie spaliłam na słońcu? Zresztą te pytania mogły poczekać.

- Dobra, a do czego potrzebni są opiekunowie?

- Widzisz, może się okazać, że nieboszczyk nie ma najmniejszej ochoty na powrót do życia.

Trudno jest przewidzieć, w jakich okolicznościach nastąpiła śmierć, a poza tym po tamtej stronie kręgu mogło mu się spodobać bardziej. Wampiry zawsze słuchają swoich władców, lecz władca nie przyjmuje rozkazów od nikogo. I on powinien mieć poważny powód do powrotu: przyjaźń, miłość, obowiązek. Jeden władca nie może zamknąć kręgu dla drugiego, zwykłemu wampirowi to się nie uda, zatem trzeba zawczasu przygotowywać opiekuna. Najlepiej przez jakieś pięć -

dziesięć lat, choć oczywiście nie da się przewidzieć, kiedy będzie potrzebny.

- A czy jeden władca może mieć kilku opiekunów? - spytałam z nadzieją. Przecież Len nie mógł

tak po prostu, na łapu - capu, po trzech tygodniach znajomości oddać mi tak ważnego dla siebie przedmiotu, nie czyniąc nawet jednej aluzji na temat jego wartości! Tani kamyczek na cienkim rzemyku był zwykłą błyskotką i nie skusiłby nawet najbardziej zdesperowanego złodzieja ani nie

nadawał się na ozdóbkę, a ja w tym czasie nauczyłam się skutecznie bronić przed telepatią. Był mi drogi jako pamiątka i tyle. Kto mógł zaręczyć, że przy moim roz-targnieniu go nie zgubię, na przykład podczas kąpieli w rzece albo przy okazji zdejmowania koszuli nocnej. Kto mógł zaręczyć, że go komuś nie podaruję?

- W jednym czasie wyłącznie jednego - rozczarował mnie Rolar. - Niestety, Wolho, nie wykręcisz się.

Tak naprawdę nie miałam najmniejszego zamiaru się wykręcać. Na odwrót - przekonanie, że droga w tył jest odcięta, wprowiło mnie w stan pobudzony, skupiony i żądny działań.

- Czyli mam nie więcej niż sześć dni. Droga do Arlissu zajmie cztery albo pięć, jednak muszę odnaleźć wilka, czyli trzeba wrócić tam, gdzie znalazłam ciało Lena. W takim razie chyba będzie lepiej przeprowadzić obrządek w Dogewie.

Rolar pokręcił głową:

- Nie ma takiej potrzeby. Jeżeli wilk żyje, to jest gdzieś w okolicy.

- Tu w mieście?! - nie uwierzyłam.

- Albo w zagajniku kolo miejskich murów, co jest najbardziej pewne. Rear przyciąga go jak magnes i gdyby waszego pierwszego spotkania nie przerwali rozbójnicy, to poznałby cię jako swoją opiekunkę i zaczął słuchać. Teraz jest zbity z tropu, ale wcześniej czy później się pojawi.

Szukanie go nie ma sensu, chyba żebyśmy urządzili pełną nagonkę. Lecz i wtedy szanse są marne.

Jest mądrzejszy i bardziej przebiegły od zwykłego zwierzęcia, zalegnie pod krzakiem i nie ruszy się, nawet kiedy naganiacz z kołatką nadejmuje mu na ogon.

Miletta zakończyła wreszcie przekomarzenie, ze strażnikami, przypomniała sobie o naszym zamówieniu i zastawiła stół parującymi talerzami. Rolar i Orsana rzucili się na jedzenie jak wygłodniały żebracy, ja natomiast ze zdenerwowania nie mogłam przełknąć ani kęsa.

- W takim wypadku mój plan jest prosty jak drut. Jadę do Arlissu i mam nadzieję, że wilk ruszy za mną.

Rolar, będę bardzo wdzięczna, jeżeli dasz mi list z rekomendacją do władczyni albo kogoś ze Starszych.

- Nie dam. - Wampir, mrużąc oczy z zachwytem, wgryzł się w wytęskniony barani udziec.

- Dlaczego?! - zdębiałam.

- Y - y - o e a - e o ais su f ofą.

- Że co?!

Rolar rzucił mi nieprzychylnie spojrzenie znad udźca, przełknął nieprzeżuty kęs i odpowiedział na moje pytanie wyraźniej:

- Ponieważ jadę do Arlissu z tobą.

- A twoja służba?

- Wzmę u - op. - Rolar znowu zabrał się do udźca, ale tym razem domyśliłam się, co miał na myśli.

- Urlop? No dobrze, ale dlaczego się w to pakujesz? Słyszałam, że stosunki pomiędzy Arlissesem i Dogewą są dosyć napięte.

Wampir zrozumiał, że z normalnego posiłku nici, i z westchnieniem odsunął talerz, by uniknąć pokusy.

- Nie pomiędzy Arlissesem a Dogewą, tylko pomiędzy ich władcami. Arrakktur i Lereena są w podobnym wieku, zostali zaręczeni prawie podczas narodzin i ich obowiązek jako władców polega na pozostawieniu dziedzica w każdej z dolin. Niestety, ani on, ani ona nie żywią do siebie nawet letnich uczuć, lecz o ile Lereena odbiera taki stan rzeczy jako coś normalnego i podchodzi do kwestii przedłużania rodu poważnie i rzeczowo, to Arr'akktur zapiera się rękoma, nogami i skrzydłami. Lereena kilka razy przyjeżdżała do Dogewy, ale na swoim terenie Arr'akktur nie miał

najmniejszych problemów z unikaniem jej, a jego pierwsza i jedyna wycieczka do Arlissu zakończyła się „porwaniem”.

- Ale Len mi mówił, że nigdy nie wyjeżdżał poza Dogewę - przypomniałam sobie. - A przynajmniej nie wyjeżdżał przed poznaniem mnie.

- Tak naprawdę nie kłamał. Trudno określić jazdę w zamkniętym powozie z jednej doliny do drugiej jako pełną przygód podróż. Wtedy towarzyszyły mu wampiry z dogewskiego garnizonu, które nie potrafiły zdobyć się na zignorowanie rozkazu władcy. Tak więc został on wysadzony na granicy Arlissu, a one na kilka dni ukryły się w pobliskim mieście, nie dając o sobie znać. Teraz Lereena postąpiła chytrze, przysłała swoich ambasadorów, żeby tym razem niedoszły narzeczony jednak dotarł na miejsce. Mnie tam osobiste sprawy władców nie obchodzą, ale gdy zagrożone jest życie jednego z nich, nie mogę po prostu stać i patrzeć.

- Ale to przecież nie twój władca - zauważyłam.

- Co to znaczy „nie mój”? - Rolar wyglądał na zdziwionego, a nawet lekko obrażonego. - Władca to nie jest przechodni tytuł króla, którego można w każdej chwili usunąć, to nazwa kasty. Każdy władca może liczyć na pomoc każdego wampira.

- Nawet jeżeli takiej pomocy trzeba będzie udzielić wbrew życzeniu drugiego władcy? - spytałam po chwili namysłu. - Lereenie twoja gotowość do działań może się nie spodobać.

Len kiedyś zażartował, że może nawet zabić dowolnego ze swoich poddanych przy użyciu słowa

„umrzyj”.

- Mam nadzieję, że sprawy nie zajdą aż tak daleko. A poza tym... Jest mi już wszystko jedno. -

Rolar spochmurniał, a ja odniosłam wrażenie, że w swojej opowieści pominął on parę istotnych kwestii.

- Rolar, a jaka ona jest?

- Lereena? Piękna. Mądra. Wyrachowana. Pewna siebie i patrząca na innych z góry. W sumie wcale niczego sobie. Jak na władczynię.

- Ale uroda stoi na pierwszym miejscu? - ironicznie sprecyzowała Orsana.

- Uroda elfiej róży. - Rolar nie wytrzymał, odłamał kawałek chleba i wpakował go do jeziora sosu pod kawałkiem mięsa. - Niezwykła. Magiczna. Ale, niestety, obca i zimna. Moje panny, czy może w końcu pozwolicie mi coś zjeść?

- No dobrze, jedz sobie - zlitowałam się. - Orsano, a ty? Kiedy jest ten twój turniej egzaminacyjny?

- Zdążę. - Dziewczyna lekko machnęła ręką.

- Co zdążysz?

- Pojechać do Arlissu i wrócić.

- Po co?

- Jeszcze pytasz?! - obruszyła się. - Co ty myślisz, że ja jakaś najemniczka jestem? Zrobiłam swoją część roboty i mam się wynosić? O nie, kochana przyjaciółko, najpierw to ja się upewnię, że cię po drodze nie zjadły wilki albo jakieś inne wampiry, a potem z czystym sumieniem zacznę służbę w legionie.

- Jesteś aż tak bardzo przekonana, że cię przyjmą do legionu? - Rolar zniemacka zrobił ruch nożem w kierunku talerza dziewczyny, zagarniając stamtąd kawałek cielęciny.

- Skoro biorą tam wampiry, to ja się na pewno nie mam o co martwić. - Orsana przeprowadziła udany manewr ściągnięcia mięsa z noża pod samym nosem Rolara i z czarującym uśmiechem wpakowała wywalczony kawałek do własnych ust.

Koniec części pierwszej